

KULTURA

Szkice • Opowiadania • Sprawozdania

PARYŻ

Nr 3/20

1949



P. HOSTOWIEC — Niemcy zimą 1948-1949 (c. d.) * F. TOPOLSKI — Lato i Jesień * J. ZAHEYKAŃSKI — Francuzi w Polsce ♦ *ARKUSZE POETYCKIE* ♦ *SCIEŻKI*: J. CZAPSKI — Maritain miał rację? ♦ Z. FLORCZAK — Podróż na horyzonty * A. KORCZYŃSKI — Być albo nie być * *SPRAWY I TROSKI*: S. KONARSKI — Analiza rozkładu * J. R. — Perspektywy emigracji do St. Zjednoczonych ♦ *NAJNOWSZA HISTORIA POLSKI* ♦ *STRATY KULTURY POLSKIEJ*: W. POBÓG-MALINOWSKI — Wacław Socha-Lipiński ♦ *KSIĄŻKI* ♦ *VARIA*

SPIS RZECZY

Paweł Hostowiec:	<i>Niemcy zimą 1948-1949 (c d)</i>	3
Feliks Topolski:	<i>Lato i Jesień</i>	21
Jan Zadeykański:	<i>Francuzi w Polsce</i>	25

ARKUSZE POETYCKIE

J. Pietrkiewicz (przeł.):	<i>Barok angielski</i>	39
Marian Czuchnowski:	<i>Kawiarenka artystów</i>	48
»	<i>Nadmorski park</i>	48
»	<i>Ryba bałtycka</i>	49
»	<i>U sprzedawcy szarf</i>	49
»	<i>Znajoma w chustce</i>	49
»	<i>W kilkunastu zdaniach</i>	50
»	<i>Zołnierka</i>	51
Jan Leszcza:	<i>Piosenki na drugie skrzypce</i>	52

ŚCIEŻKI

Józef Czapski:	<i>Maritain miał rację?</i>	55
----------------	---------------------------------------	----



Zbigniew Florczak:	<i>Podróż na horyzonty</i>	61
Aleksander Korczyński:	<i>Być albo nie być</i>	72

SPRAWY I TROSKI

Szymon Konarski:	<i>Analiza rozkładu</i>	79
J. R.:	<i>Perspektywy emigracji do Stanów Zjednoczonych</i>	85

NAJNOWSZA HISTORIA POLSKI

Wacław Zyndram-Kościałkowski:	<i>Litwo, Ojczyzno moja</i>	96
Stefan Korboński:	<i>Testament Podziemia</i>	103

STRATY KULTURY POLSKIEJ

Wł. Pobóg-Malinowski:	<i>Wacław Socha-Lipiński</i>	107
-----------------------	--	-----

KSIAŻKI

Michał Sokolnicki:	<i>Polska Nieśmiertelna</i>	120
Zygm. Bohusz-Szyszko:	<i>Jak powstało dzieło «Bitwa o Monte Cassino»</i>	127
Wiesław Żyliński:	<i>Epizod ukraińskiego romansu historycznego</i>	132
Józef Ursyn:	<i>O książkach Adolfa Rudnickiego</i>	139

VARIA

Aleksander Janta:	<i>Przewodnik dla piszących Polaków</i>	147
-------------------	---	-----

Wydawca: EDITION ET LIBRAIRIE « LIBELLA »

12, rue St-Louis en l'Île, Paris (IV^e)

Directeur-gérant: Roger Grosjean.

KULTURA

Szkice • Opowiadania • Sprawozdania

PARYŻ Czerwiec-Juin 1949

INSTITUT



LITERACKI

W związku z okresem letnim następny numer *KULTURY* ukaże się w połowie lipca w zwiększonej objętości — jako numer podwójny (lipiec - sierpień 1949) i cena jego w sprzedaży detalicznej będzie wynosić we Francji — 200 frs; w W. Brytanii — 5 sh; w Argentynie — 4 peso; w Niemczech — 4 DM; we Włoszech — 300 lirów; w Kanadzie — dol. 1,25; w Belgii — 35 fr. belg.

W najbliższych numerach *KULTURY* ukażą się m. in.:

Ostatnia powieść ANDRÉ MALRAUX pt. *Walka z Aniołem* w tłum. M. CZAPSKIEJ;

Szkice: M. KUKIELA *O Czartoryskim*, ST. VINCENZA: *Czym może być dziś dla nas Dante*, K. HOŁOBOCKIEGO: *Z dialektyki postępu*, X. GLINKI: *Wspomnienia o Leśmianie*, R. P. JEAN DANIELOU S. J.: *Prądy intelektualne współczesnej Francji*, ST. TORA: *Sytuacja Żydów w Polsce*.

Wspomnienie o Piotrze Borkowskim.

Utwór poetycki B. PRZYŁUSKIEGO: *Poemat nielogiczny*.

Bibliografie: *Uzupełniona bibliografia druków Polski Podziemnej* w opracowaniu H. LERSKIEJ; *Bibliografia polonistów niemieckich* w opracowaniu J. KOWALIKA; *Prasa polska w Niemczech* ST. KOPERA.

IMPRIME EN FRANCE.

Tous droits de traduction et reproduction réservés pour tous pays.

Imprimerie S.N.I.E., 32, rue de Ménilmontant — Paris (20^e)

Dépôt légal: 3^e trimestre 1949.

Niemcy zimą 1948 - 1949

2

VII. RUCH WYDAWNICZY I LITERACKI

W ciągu długich okresów czasu Niemcy były największym producentem książki w Europie. Wytwarzając w kraju sprzęt drukarski, papier i posiadając chłonny rynek wewnętrzny, Niemcy stworzyły wielki przemysł wydawniczy i sprawny aparat handlowo-księgarski. W różnych czasach drukowano w Niemczech wiele książek w językach obcych: w polskim (Brockhaus), angielskim (Tauchnitz) i rosyjskim (1920 — 1925). Różne działy produkcji książkowej niemieckiej — jak publikacje naukowe, teksty greckie, łacińskie i zbiorowe wydania klasyków niemieckich — posiadały znaczny zbyt za granicą. Inne kraje, posiadające ludność mówiącą po niemiecku, pokrywały w Niemczech większą część swego zapotrzebowania na książki. Warto jest przypomnieć sobie tę niedawną przeszłość, aby móc lepiej ocenić sytuację obecną i losy książki niemieckiej w ciągu ostatnich 15 lat.

Zagranicą książka niemiecka jest obecnie towarem niezmiernie rzadkim i przez nielicznych nabywców pilnie poszukiwanym. Brak jej na oficjalnym rynku księgarskim, nawet w Szwajcarii, mimo wspólnego języka. Przyczyna tego leży częściowo w ograniczeniach ciążących wciąż na handlu niemieckim. Księgarze obcy muszą płacić za książkę niemiecką markami po kursie urzędowym. Cena jednego tomu wynosi w tych warunkach kilka dolarów. Nawet numer niemieckiego miesięcznika, który wewnątrz kraju kosztuje 2 marki, równe cenie 5 papierosów, kosztuje zagranicą bez mała dolara. Za numer czasopisma naukowego jeden z moich znajomych zapłacił nie dawno 22 dolary. Po tej cenie książki i czasopisma niemieckie nie znajdują nabywców nawet w Szwajcarii, gdzie książki miejscowe w języku niemieckim kosztują też 3 do 7 dolarów za tom.

Koszt druku książki niemieckiej w Szwecji czy w Szwajcarii pozostaje bardzo wysoki ze względu na fakt, że książki wydane za granicą nie mają dotąd normalnego debitu w Niemczech okupowanych i nakłady ich — obliczone dla czytelników poza obszarem niemieckim — są niewielkie. Gdziekolwiek drukowa-

na, w Niemczech czy zagranicą, książka niemiecka nie jest dziś artykułem eksportowym, mogącym interesować księgarzy.

Na granicach władze celne nie stawiają przeszkód przewożowi książek w niewielkich ilościach. Dzięki temu — jak niegdyś w XVIII wieku — ciekawsze książki niemieckie są przywożone w kieszeniach podróżnych i czytane przez przyjaciół tych ostatnich. Liczba podróżujących do Niemiec jest niewielka, osoby zaś interesujące się książkami stanowią wśród nich znikomą grupę. Można by niemal policzyć je na palcach. Mimo to, po rozluźnieniu przepisów paszportowych, w Szwajcarii np. powstał niewielki rynek nieoficjalny, na którym nowe książki z Niemiec sprzedawane są antykwarycznie.

Drugą ważniejszą jeszcze przyczyną braku książki niemieckiej zagranicą jest jej dotkliwy brak wewnątrz kraju. Głód książki w Niemczech jest zjawiskiem bezprzykładnym w Europie, nasilającym się wciąż od 1933. Podczas pobytu w Berlinie w 1936, chciałem tam kupić kilka nowych książek z zakresu Gestaltpsychologie. Na próżno szukałem ich w kilku wielkich księgarniach. Dopiero w Universitätsbuchhandlung na Dorotheenstrasse znajomy księgarz wyjaśnił mi ówczesną sytuację. Żaden szanujący się czytelnik nie kupował książek wydanych po pożarze Reichstagu. Książek naukowych drukowanych po 1933 w ogóle nie trzymano w księgarniach berlińskich. Jedyne istotne obroty istniały tylko w handlu antykwarskim, i ceny książek starych osiągnęły poziom nigdy przedtem nie notowany.

Po 1933 r. znaczna część autorów niemieckich i proporcjonalnie mniejsza, lecz ważna grupa czytelników opuściła Niemcy i wyszła na emigrację. Najciekawsze książki niemieckie tego okresu ukazały się drukiem w Holandii, Szwajcarii, Szwecji, Czechosłowacji. Za przywóz ich do Trzeciej Rzeszy groziły drakońskie kary. Książki te do dziś dnia na próżno szukają drogi do Niemiec.

Od wybuchu wojny produkcja książek wewnątrz Rzeszy malała, nakłady stawały się coraz mniejsze. Bibliografia niemiecka rozpadła się na katalog A i katalog B. Ten ostatni zawierał tytuły książek wydawanych w subskrypcji, dla ograniczonej liczby nabywców. W 1933 katalog B przerósł swego chudego brata A. Wreszcie ogromny *Bombenteppich* spadł w Lipsku na dzielnice wydawców, zapalając giełdę książek i znaczną część składów wydawniczych. Od tego dnia ustała wysyłka książki niemieckiej zagranicę i znalezienie jej wewnątrz kraju zaczęło nastęrczać coraz większe trudności.

Po upadku Trzeciej Rzeszy i okupacji kraju, książek przez pewien czas wcale nie drukowano. Istniejące jeszcze zapasy papieru władze okupacyjne przydzielały nielicznym gazetom. Druk książek wznowiony został dopiero w 1946. Z powodu trwającego wciąż braku papieru władze okupacyjne nie pozwalały drukować więcej niż 10.000 egzemplarzy jednej książki. Zakaz ten trwał do końca 1948. Cała np. literatura dramatyczna tego

okresu istnieje dotąd tylko w kopiach odbitych na powielaczu, w kilkuset egzemplarzach.

Liczba książek w posiadaniu prywatnym spadła w Niemczech zapewne o połowę, jeżeli nie więcej. Podczas bombardowań spłonęło 40-50% nieruchomości miejskich. Zważywszy, że pożarom uległy w pierwszym rzędzie dzielnice zamożne, najbogatsze w księgozbiory prywatne, można stąd wnosić, że większa część tych ostatnich uległa zniszczeniu.

Biblioteki publiczne, w porę ewakuowane, poniosły zapewne mniejsze straty. Większość ich pozostaje nadal zamknięta, bo dawne pomieszczenia ich leżą jeszcze w gruzach.

Nowemu ruchowi wydawniczemu brakło zrazu podstaw finansowych wobec nieustalonej wartości pieniądza. Wynikające stąd trudności wydawcy mogli pokonać tylko dzięki ogromnej chłonności rynku. Każda nowa książka zostawała po kilku tygodniach lub nawet dniach całkowicie wyprzedana.

Powyższe warunki zmieniły zupełnie tryb handlu książką i nawet sam wygląd zewnętrzny księgarni niemieckiej. Lipsk, dawna centrala handlu księgarskiego z jej zrujnowanymi składami, znalazł się w zonie sowieckiej. Aby wyprzedać 10.000 przypisowych egzemplarzy książki, wydawca nie musiał szukać daleko nabywców ani zastanawiać się nad obsłużeniem całego rynku krajowego. Na miejscu znajdował nabywców, wykupujących od razu cały nakład. Tylko nieliczne egzemplarze trafiały do innych miast niemieckich. Księgarzom nie są potrzebne wielkie pomieszczenia: wystarczą kilka półek i stołów. Książka nie popasa na nich długo. Księgarz ofiarowuje klientom tylko to, co ma w tej chwili na stole, nie robi żadnych poszukiwań i niczego nie obiecuje. Co najwyżej przyjmuje zamówienie na książki mające się ukazać w najbliższych dniach, ale i to robi tylko przez uprzejmość, mając pewność, że nową książkę wyprzedza też w ciągu kilku dni.

Przez dłuższy czas wydawcy i księgarze mogli nie liczyć się niemal wcale z gustami czytającej publiczności. Jeżeli nie wiadać aby wydawcy korzystali w jakiś uderzający sposób z tej wolności, wynika to zapewne stąd, że uważali tę sytuację za przejściową, i że wyobraźnia nie podsuwała im wzorów odbiegających daleko od ustalonych tradycji.

Przy takim stanie rynku księgarskiego trudno wyrobić sobie jasne pojęcie o całości produkcji książkowej w ciągu ostatnich trzech lat. Nawet osoby zajmujące się zawodowo nową książką — krytycy, pisarze, wydawcy — posiadają najczęściej tylko książki, które ukazały się w ich ośrodku wydawniczym. Zapoznanie się z literaturą innych ośrodków nastęrcza nieraz wiele trudności, wymaga podróży i stosunków. Podczas pobytu w Niemczech mogłem przekonać się, że wiele książek nowych znanych jest tam głównie ze słyszenia.

Opisane wyżej warunki rynku księgarskiego uległy zmianie dopiero w końcu 1948. Wprowadzenie nowej monety stworzyło pewne przesłanki dla kalkulacji wydawniczej. Zmianie uległo

również zachowanie się publiczności. Rynek jest nadal niezmiernie chłonny, ale nabywcy nie posiadają już pieniędzy w ilości nieograniczonej, i pojawienie się innych towarów daje im możliwość wyboru. Władze okupacyjne zniosły zakaz drukowania więcej niż 10.000 egzemplarzy jednej książki. Z drugiej jednak strony wydawcy zmuszeni są do kupowania papieru na wolnym rynku. Aby sprostać wzrastającym kosztom druku, wydawcy dążą do powiększenia nakładów i poszukują nadających się do tego celu rękopisów.

Pojawienie się tych tradycyjnych elementów kalkulacji zmusza wydawców do brania w rachubę także gustów czytelnika. Czytelnik stał się znów zagadnieniem aktualnym.

Gust nabywców książek skryształizował się w Niemczech po wojennych szybko i dość jednostronnie.

W gabinecie jednego z wielkich wydawców slyszalem następujące zdanie: „Wszyscy, którzy znaleźli jakieś, chociażby najskromniejsze mieszkanie i najniezbędniejsze meble, mają teraz jedno życzenie: mieć znów te same książki, które utracili podczas pożaru.”

Sądząc z prospektów książek, mających się ukazać w 1948-1949, zdanie to wydaje się być gwiazdą przewodnią całego ruchu wydawniczego.

Jakie jednak książki posiadali Niemcy przed wielkim pożarem? Według mojej pamięci, w bibliotekach ich — obok Schillera i Goethego — musiało być nie mało powieści kryminalnych, żółtych Ullstein-Bücher, długich romansów tłumaczonych z angielskiego i innych druków określanых jako *Lesestoff*. Czy czytelnik dzisiejszy tęskni i do tej literatury? Wydawcy zdają się być innego zdania, w każdym zaś razie wykonanie programu odtworzenia zniszczonych bibliotek rozpoczęli od innej strony.

Jako zjawisko nowe uderzają mnie w tym programie klasycy w wydaniach dwujęzycznych. W okresie rewolucji i wojen napoleońskich, kiedy młodzież nie miała czasu na gruntowną naukę greki i łaciny; paryski wydawca Panckoucke zaczął wydawać klasyczne teksty z dosłownym tłumaczeniem „en regard”. Ten typ książki utrzymał się do naszych czasów w Collection Budé i w Loeb's Classical Library. Przed wojną Niemcy posiadali niewiele takich wydań. W małych nakładach zaczął je wydawać monachijski wydawca Ernst Heimeran. Jego prospekt na 1948-1949 zapowiada dwujęzyczne wydanie Iliady w cenie 20 marek, Oresteja Ajschylosa, Petroniusza, Plauta, Bukolik i Georgik Wirgiliusza. Na sezon następny Heimeran zapowiada Propertiusa, Owidiusza, Rutillusa Namatianusa, Alkalosa, Salustiusa. Inni wydawcy rzucili na rynek dwujęzyczne wydania Racine'a, Baudelaire'a, Mallarmé'ego...

Ponowne wydanie klasyków niemieckich wysuwa się na jedno z pierwszych miejsc tegorocznego programu. W drugiej połowie XIX wieku wydawcy niemieccy zasypali całą europę tanimi wydaniami swych klasyków, w tekstach prawie kompletnych i

najczęściej poprawnych. Wydania te można było znaleźć w każdym szanującym się domu Europy Wschodniej. W braku stosownych warunków finansowych, Republika Wejmarska nie podtrzymała tej tradycji. Ponowne wydanie kompletnych tekstów klasyków niemieckich w łatwo dostępnych wydaniach jest zadaniem na dłuższą metę, mogącym zatrudnić całe pokolenie wydawców. Obecna chłonność rynku pozwala rzucić fundamenty przyszłego dzieła. Jeden z największych dziś wydawców niemieckich, Kurt Desch, rozpoczął druk klasyków w wyborze obejmującym zrazu główne dzieła, które następne tomy będą mogły uzupełnić. W 1949 mają ukazać się pierwsze tomy Goethego, Möricego, Novalisa, Lessinga, Grabbego, Kleista, Hölderlina, E.T.A. Hoffmanna i Büchnera.

Nie brak zresztą wydań posiadających większą ambicje. Stary dom wydawniczy stuttgartarki, Cotta, rozpoczął druk krytycznego wydania dzieł Hölderlina, z zaskiku rządu würtemburskiego. W frankfurckim Siegel-Verlag wyszedł piąty z kolei tom dzieł Wilhelma Humboldta, zawierający „Grenzen des Staates”, książkę dziś mało znaną, o niezwyklej aktualności.

Obok klasyków szkolnych, w tegorocznych katalogach wydawców znajdujemy też wielu autorów zanesionych do Panteonu dopiero w ciągu ostatniego pięćdziesięciolecia. U Descha ukazał się znów Flaubert, Maupassant, dziennik Goncourtów w ilustrowanym wydaniu, Portret Doriana Graya itd., u Droemera w Würzburgu wyszły 4 powieści Chestertona. Z niemieckich pisarzy tego okresu niespodziany renesans przeżywa mało przed tym czytany Theodor Fontane, powieściopisarz przypominający nieco temperamentem naszego Bolesława Prusa. Fontane z pogodnym humorem maluje życie i obyczaje szlacheckich Prus końca XIX wieku, o których dziś można powiedzieć: nec locus ubi Troia. Dwuch wydawców naraz rozpoczęło druk jego głównych powieści.

Wszystkie te pozycje cytuję tytułem przykładu, ponieważ wzmiankowana już parcelacja Niemiec nie pozwala bez długich studiów i podróży ogarnąć całości ruchu wydawniczego. W katalogach uderza brak powieści kryminalnej i innej „lekkiej” literatury. Jedyną pozycją, jaką widziałem z tego zakresu jest chyba nowa powieść dawnej austriackiej rywalki Vicky Baum. Grety von Urbanitzky.

W opisanych wyżej warunkach rynku trudno jest oczywiście dokładnie wycenić, co w tym programie wydawniczym przypada na inicjatywę wydawców, co zaś na gust czytelników. Z różnych szczegółów, zwłaszcza z ostatnich nowości literackich, można jednak wnosić, że między grupą producentów i odbiorców nie ma zasadniczej rozbieżności. W każdym razie pozostaje faktem, że w ciągu najbliższych lat czytelnicy niemieccy będą wychowywani na najlepszych wzorach klasycznych.

Taka orientacja czytelników nie jest niespodzianką. Po 15 latach awantur i skoków w nieznanne, Niemcy muszą odczuwać instynktowną potrzebę powrotu — choćby w myśli — do war-

tości ustalonych. Podobne zjawiska widziano przed kilkunastu laty w Związku Sowieckim, gdzie warstwa wyniesiona w górę przez rewolucję uznała za niezbędne przejęcie „spadku literackiego” po pokoleniach poprzednich.

Podobnej ewolucji gustów kazała się spodziewać także sytuacja demograficzna Niemiec. Wojna wyrwała największą lukę w pokoleniu liczącym teraz 23 do 45 lat. Ubytek czytelników w tym wieku jest zapewne największy. U starszych zrozumiała jest chęć powrotu do warunków i lektur z czasów przedhitlerowskich. Dla młodszych, wychowanych w okresie głodu książki i zabawianych przez *Geländeübungen*, klasycy posiadają urok nowości, z którym autorem żyjącym trudno będzie rywalizować.

W dwóch moich dawnych essayach usiłowałem wykazać, że literatura o charakterze romantycznym lub „modernistycznym”, pociągającym przez urok nowości, osiąga największą aktualność w okresach dezintegracji społecznej, kruszenia się starych hierarchii i dochodzenia do władzy i posiadania nowych grup społecznych. W okresach reintegracji, ludzie nowi, wyniesieni przez przewroty, otwierają na nowo starych autorów dla nawiązania ciągłości i utrwalenia przez to nabytej sytuacji. Literatura „klasyczna” staje się wówczas znów aktualna i pociągająca.

Na przestrzeni niespełna 40 lat ludność Niemiec została kilkakrotnie przetasowana. Bardzo niewiele tylko mieszka dziś w swych dawnych domach lub posiada resztki fortuny z 1913. Całe Niemcy obecne są nowe i przez to samo dostępne dla tendencji zachowawczych i klasycyzujących. Ktokolwiek zdobył z trudem własne mieszkanie, nauczony doświadczeniem może życzyć sobie tylko utrwalenia obecnego stanu rzeczy i powrotu do warunków stałych, w których posiadanie skromnego mieszkania nie budziło zdziwienia i zazdrości. Lektura Iliady, czytanej bez przerwy przez dwa i pół tysiący lat, daje mu poczucie wspólnoty duchowej ze wszystkimi pokoleniami poprzednimi i dostarcza kompletnego złudzenia stałości i ciągłości życia.

Na szczególną uwagę zasługują książki ilustrowane.

Ich ewolucja od początku obecnego stulecia zawiera w skrócie historię instynktu posiadania u dwóch ostatnich pokoleń. Kto widział w dawnym Frankfurcie domy pełne starych mebli, okurzanych starannie każdego dnia, wie jak instynkt ten silnie przemawiał do Niemców. W Rydze, od zamieszkałej tam rodziny niemieckiej słyszałem kiedyś, że w 1919 bolszewicy zaczęli z miasta wywozić wszystkie meble, ulica za ulicą. „Ewakuacja” doszła wreszcie do domu sąsiadującego z domem moich znajomych. „Wówczas”, powiedziała starsza kobieta, „zapaliliśmy świece, uklękliśmy wszyscy i modliliśmy się przez całą noc. Wydawało się nam, że gdy nasze meble znikną i zostaniemy wśród gołych ścian, nie będzie już dla nas żadnego ratunku, nie będziemy widzieli żadnej przyszłości, i przed nami zostanie już tylko jakiś niejasny koniec, coś w rodzaju Sądu Ostatecznego”.

Od niepamiętnych czasów istnieje tradycyjna lista przedmio-

tów, ku którym zwracał się instynkt posiadania: dom, otaczający go ogród, umeblowanie, stroje, wyroby rzemiosła artystycznego, dzieła sztuki, drogie kamienie. Przedmioty te wyrabiano zrazu na własny użytek, nadając im indywidualną formę i wykończenie, będące nagrodą pracy i talentu. Dawni zdobywcy gromadzili je, jak gdyby były zapłatą tradów wojennych. Zaw sze śmiano się ze skąpców gromadzących złoto i kontentujących się nie spełniającą się nigdy obietnicą posiadania.

Cywilizacja przemysłowa zrujnowała warunki niezbędne do wytwarzania i posiadania tych wszystkich przedmiotów. W milionowych miastach powstałych w XIX wieku nie ma dla nich miejsca. Jakie dzieło sztuki lub stary, piękny mebel nie zwiądłby i nie szerniał w mieszkaniach, w których spędziły życie dwa ostatnie pokolenia Europejczyków?

W wydanej ostatnio w Hamburgu książce pt. *Orient und Okcident* niemiecki essayista Friedrich Georg Jünger zwraca uwagę na fakt, że cywilizacje starożytne dawały swym obywatelom poczucie bogactwa i szerokich możliwości życia, gdy obecna cywilizacja przemysłowa, znacznie zasobniejsza w środki, ofiarowuje nam egzystencję ubogą, oszczędną, obracającą się w ciasnych granicach. Posiadanie pięknych przedmiotów nie leży na pewno w tych granicach.

W tymże okresie uprzemysłowienia Europy rozwój muzeów udostępnił najszerszej publiczności dostęp do dzieł sztuki ukrytych dotąd w wnętrzach pałaców. Wystawy i nowe działy muzeów pozwoliły oglądać sztukę Bliskiego i Dalekiego Wschodu, dzieła mistrzów i rzemieślników wszystkich czasów i krajów, dostarczając obecnym pokoleniom olbrzymiego materiału porównawczego. Doświadczenia te uświadomiły im naocześnie miżerję i brzydotę otoczenia, w którym przebywają dziś mieszkańcy wielkich miast.

Posiadanie czegoś pięknego jest w tym otoczeniu marzeniem spychanym coraz głębiej w nastrój ponurej rezygnacji, opisywany tyle razy w literaturze naszych czasów. Jedyną nadzieją stało się ośmieszona niegdyś skąpstwo — książeczka oszczędnościowa — lub bilet na loterię, których posiadacz mógł któregoś dnia porzucić mieszkanie i — nie biorąc zeń nic — wyjść na ulicę wolny, oczyszczony z codziennej miżerji cywilizacji przemysłowej. Co pewien czas nowa fala inflacji zmywała i tę niepewną nadzieję. Historię oszczędności europejskich można by spisać pod tytułem *la torture par espérance*.

Ze wszystkich wytworów przemysłu nowożytnego najpowszechniej ceniony jest automobil, dający możliwość ucieczki od wszystkich pozostałych tworów tego przemysłu, od frigidairów, radia, gramofonu, kuchni elektrycznej i maszyny do pisania. „Wyciągajcie wnioski z natury obecnej cywilizacji” — woła genewski pisarz Léon Bopp — „budujcie wozy mieszkalne i domy na kółkach”.

Mieszkając przez długie lata w takich miastach, miałem nieraz przecucie, że — powstałe z chciwości, wyzysku i pogardy

ludzi dla samych siebie — spłoną kiedyś jak Sodom i Gomora. Nikt nie będzie ich bronił od zagłady, bo dla każdego były zwierciadłem jego ubóstwa. Od dawna też nikt nie wierzył w stałość naszej obecnej cywilizacji, i jej końcowa katastrofa jest już od pół wieku tematem rozmów, studiów i nawet wierszy.

Pozbawiony swego tradycyjnego przedmiotu, instynkt posiadania przenosił się na przedmioty zastępcze, coraz bardziej fikcyjne i nierealne. W *Hermannie i Dorotei* znajduje się zastanawiający passus, w którym ojciec bohatera, właściciel gospody pod Złotym Lwem, dowiaduje się, że żona oddała uchodźcom nie noszony przezeń od 15 lat szlafrok *mit indianischen Blumen*. Szlafrokowi temu gospodarz poświęca obszerną pochwałę, jak gdyby chciał przedłużyć radość posiadania, przenosząc ją choćby na cień, na wspomnienie, na legendę nie istniejącego więcej szlafroka. W przenikliwej antycypacji Goethe ukazał rozciągłość instynktu posiadania, który z przedmiotów rzeczowych o trwałej wartości przenosił się na coraz bardziej iluzoryczne, na oglądane tylko przez nielicznych urzędników kolonie, efemeryczne gałęzie przemysłu, doktryny uniwersalne i wreszcie na czyste abstrakcje, cyfry statystyczne i rekordy, którymi prasa i radio karmiła ludność państwa nowożytnego.

Popularna w czasach hitlerowskich powieść Hansa Grimma *Volk ohne Raum* może służyć za przykład takiej degeneracji zmysłu posiadania. Grimm stara się narzucić czytelnikowi prawdziwą mistykę przestrzeni, obiecując narodowi posiadającemu kolonie jakąś niejasną metamorfozę moralną, nawet gdyby jego posiadłości kolonialne składały się z samych bagien i pustyni.

W opisanym procesie dezorientacji zmysłu posiadania książka ilustrowana zajmuje odrębne miejsce. Książki takie znano już dawniej: iluminowane, ozdobione rysunkami sławnych mistrzów, oprawne w ozdobne skóry, były nieraz arcydziełem rzemiosła artystycznego i nawet czymś więcej. Książka drukowana pozostała przez długi czas wierna tradycjom pięknego rzemiosła, razem ze zdobiaczami ją sztychami. Rozwój fotografii i powstała z niej technika graficznej przyniósł wreszcie obecną formę książki ilustrowanej.

Dzisiejsza książka ilustrowana — *livre d'art* — jest dziełem wysokiej techniki, wymagającej kosztownych instalacji. Mimo to zachowała coś z rzemiosła. Nie jest czystym produktem maszynowym, bo wymaga ekipy wyszkolonych i trudnych do zastąpienia robotników. Dlatego też, niezależnie od swej treści, często jest lub może być sama przez się dziełem rzemiosła artystycznego. Substancję swą książka ilustrowana czerpie nie z techniki, ale przeciwnie, z dzieł sztuki i tych wszystkich przedmiotów, które obecna cywilizacja przemysłowa wyparła z zakresu naszego posiadania. Wszystko to, czego pokolenia obecne musiały się wyrzec, wraca do nich in effigie w książce ilustrowanej.

W książce ilustrowanej możemy odróżnić dwa zasadnicze as-

pekty. Zamknięta, jest przedmiotem dyskretnym, znoszącym bez sprzeciwu sąsiedztwo kuchni elektrycznej i maszyny do pisania. Otwarta, pochłania czytelnika i odrywa go od otoczenia. Nie trzeba więc stwarzać dla niej — jak dla obrazów lub rzeźb — sprzyjającej atmosfery, ani wznosić specjalnych budynków. Nie naprzykrza się nigdy, bo otwiera się tylko z inicjatywy jej posiadacza. Dzięki tym właściwościom książka ilustrowana jest jedynym przedmiotem artystycznym dostosowanym do ubogich i ciasnych mieszkań z okresu późnego kapitalizmu. Od dawna już książka ilustrowana — obok muzeów i zabytków pozostawionych in situ — jest jedną z głównych więzi łączących nas z poprzednim, przedmaszynowym okresem naszej cywilizacji i jednym z ważnych czynników ciągłości życia.

W Niemczech cywilizacja techniczna przeszła jeden ze swych paroksyzmów samozniszczenia, odrywając ludność nawet od niedawnej przeszłości. Sama pamięć dzisiejszych Niemców nie zdaje się sięgać daleko wstecz. „Problemy okresu przedhitlerowskiego wydają się równie odległe jak wojna trzydziestoletnia lub historia starożytna”, powiedział mi pewien pisarz monachijski. Wielu Niemców odczuwa coś w rodzaju lęku metafizycznego, widząc siebie stojących na oderwanym już od reszty i najbardziej wysuniętym ku końcowi etapie naszej cywilizacji. Nawiązanie łączności z przeszłością wydaje się w takich chwilach deską ratunku. Stąd płynie klasycyzm lektur. Jest też oczywiste, że książka ilustrowana — z racji wyżej opisanych właściwości — stała się niezmiernie poszukiwana.

Zburzenie części drukarni, brak stosownego papieru i rozproszenie wyszkolonego personelu stawiają renesansowi niemieckiej książki ilustrowanej liczne przeszkody. Mimo to książki tego typu ukazały się znów na rynku i cieszą się ogromnym powodzeniem.

Można je podzielić na kilka grup. Na pierwszym miejscu stoi klasyczny zeszyt poświęcony jednemu artyście, z krótkim tekstem i 20-40 planszami. W tej grupie uderza od razu powrót do rzeczy znanych powszechnie przed wojną i przed 1933. Leżący przede mną prospekt z Filser-Verlag zaczyna się od następujących nazwisk: Toulouse-Lautrec, Barlach, Munch, Chasseriau, Delacroix, Holbein, Hildebrand, Francesco Guardi. W katalogu Descha widzę w tymże dziale nazwiska Van Gogha, Gaugina i Grünewalda. Dalej figurują książki poświęcone archeologii i architekturze: wykopaliskom greckim z Olympii z 80 ilustracjami, późno-barokowym budynkiem Baltazara Neumanna, portalom romańskim w Remagen i Grossen-Linden itd. Mimo braku podręczników z różnych dziedzin, historia sztuki egipskiej i greckiej Hamanna z 300-400 ilustracjami są znów do nabycia w nakładzie Droemera za skromną sumę 15 marek za tom. W tym dziale Desch ogłosił bogato ilustrowaną pracę Thielego *das Leben in der Gotik*.

Powyższe tytuły przytaczam dla przykładu. Wszystkie odpowiadają programowi dokładnego odtworzenia bibliotek prywat-

nych sprzed wielkiego pożaru. Szukając nowych typów książki ilustrowanej, zatrzymuję się na paru nowych publikacjach monachijskich Kurta Descha. Są to książki zawierające po 48 rysunków lub sztychów mistrzów od Boticellego do Goyi, Corota i malarzy niemieckich ostatniej doby. Wybór ich jest dość arbitralny. Jeden tom zawiera rysunki i sztychy przedstawiające młodzieńców, drugi poświęcony jest starcom, trzeci madonnom. Każdy kosztuje 8 marek. Druk ich, bardzo staranny, zdradza jednak warunki w jakich powstały: brak papieru, i różne trudności techniczne. Książki te zdają się odpowiadać zadaniu: jak w najskromniejszych warunkach dostarczyć niezamożnemu nabywcy możliwość posiadania czegoś pięknego.

Do tej samej grupy należy np. *Hyperion-Kunstkalender* kalendarz ozdobiony 64 rysunkami mistrzów różnych epok, kosztujący niespełna 6 marek. W publikacjach tych uderza ich eklektyzm. Każda, posługując się jakimś przypadkowym kluczem, daje skrót kilku wieków. Patrząc na ten kalejdoskop sławnych rysunków w skromnej oprawie, widzę współczesnego wędrowca notującego w ruinach — w śpiworze, pod parasolem — i przed snem wyjmującego z plecaka taki właśnie *Bilderbuch*. Kto znajdował się w podobnym położeniu, zrozumie wartość nawiązania kontaktu ze światem wyobraźni plastycznej. W książkach tych jest coś z samarytańskiej pierwszej pomocy dla ofiar barbarzyństwa naszych czasów.

Dla gustów czytelnika i orientacji wydawców rewelacyjny jest również wygląd czasopism artystycznych. Leży przede mną np. numer monachijskiego miesięcznika *Prisma*. Treść jego wznosi się na szczyty eklektyzmu. Poważną część jej stanowią przedruki i tłumaczenia ze starszej już literatury. Obok siebie figurują: Christian Reuter, pisarz początku XVIII w., Puszkina, E. A. Poe, A. Czechow i fragment z *Doktora Faustusa* Tomasza Manna. Z dwóch essayów jeden tylko zawiera aluzje do aktualności. Kilka nowel współczesnych autorów niemieckich uzupełnia tekst. Jeszcze większa różnorodność cechuje 48 ilustracji. Osiem foliowych stronik zajmują nie związane z tekstem rysunki Boticellego, Rembrandta, Goyi, Fragonarda, Delacroix, Dorégo, Slevogta i Maneta. Czternaście mniejszych, również nie związanych z tekstem rysunków lub sztychów noszą podpisy mistrzów od Dürera do Pawła Klee i Picassa. Nadto wszystkie nowele są ilustrowane przez współczesnych grafików niemieckich. Podobnie wyglądają inne numery. Każdy z nich jest mikrokosmosem graficznym, obejmującym kilka stuleci. I tu również sprawą najbardziej aktualną wydaje się — jak u chorego na amnezję — odzyskanie utraconej przeszłości i powrót do ciągłości życia.

W Monachium i Stuttgarcie trafiłem na wystawy obrazów francuskich: Georges Braque, Fernand Léger, abstrakcyjniści. Wystawy te powinny być posiadać pewien urok nowości, bo malarstwo tego typu było zakazane w Trzeciej Rzeszy. Sale wystawowe świeciły jednak pustką. Oglądając te znane mi od

20 i 30 lat kaligrama, uświadomiłem sobie ich n. aktualność w obecnych Niemczech. Dziś już wprawdzie nie młode, niemal klasyczne, obrazy te powstały niegdyś z pędu naprzód, ku nieznamnej przyszłości, gdy dla Niemiec aktualny jest ruch w kierunku przeciwnym.

Z naszkicowanego wyżej obrazu ruchu wydawniczego czytelnik odnosi zapewne wrażenie, że żywa literatura współczesna nie wchodzi w program wydawców niemieckich. Wrażenie to nie jest nieuzasadnione. Książki nowe, wydane z rękopisu, zajmują niewielkie miejsce w tegorocznych katalogach nowości księgarskich. Już w 1918 przemysł wydawniczy w Europie oderwał się od ruchu literackiego i umysłowego. Obecna sytuacja na rynku księgarskim niemieckim uwydatniła tylko w jaskrawy sposób wzajemną niezależność tych zjawisk.

Specyficznie niemieckie przyczyny tego stanu rzeczy są dwójakie. Znaczna część autorów niemieckich wyemigrowała i dotąd znajduje się zagranicą. Wrócili do kraju tylko nieliczni stosunkowo pisarze, którzy lata emigracyjne spędzili w Związku Sowieckim. Pisarze, którzy wyjechali na zachód, związani są umowami i korzyściami walutowymi z wydawcami szwedzkimi i szwajcarskimi i wraz z tymi ostatnimi czekają na otwarcie dla ich książek rynku niemieckiego. Stąd brak dopływu świeżych rękopisów z kół emigracyjnych.

Pisarzom pozostałym w kraju brak często warunków niezbędnych do pisania. Uderzający jest również brak nowych, młodych piór. Ruina uniwersytetów i wciągnięcie całej młodzieży w tryby piekielnej maszyny hitlerowskiej stworzyło wielką lukę w życiu literatury. Po kilkunastu latach *Geländeübungen* organizowania, rozkazywania, wojowania lub uchylania się od tych zajęć, wielu „młodych” między 30 i 40 latami życia usiłuje odzyskać stracony czas, próbuje uczyć się i pisać.

Przeważna część nowej produkcji literackiej ukazuje się w czasopismach, będących znacznie wierniejszym zwierciadłem współczesności niż nowości księgarskie. Miesięczniki, walczące z brakiem papieru i rozchwytywane bez reszty w ciągu kilku dni, są również rozparcelowane między poszczególne miasta. Liczba ich jest znaczna i poziom bardzo niejednorodny. Najlepsze są oczywiście najszybciej rozchwytywane i najtrudniejsze do znalezienia. Spośród znanych mi miesięczników najżywszym i najbardziej interesującym dla obcego czytelnika wydaje się być *Deutsche Rundschau*, wydawana przez Rudolfa Pechela zrazu w Berlinie, potem zaś w Stuttgarcie. Dzięki uprzejmości wydawcy mogłem zapoznać się z jej ostatnimi rocznikami. Wbrew utartym zagranicą mniemaniom, Niemcy już od czasów *neue Sachlichkeit* piszą bardzo Zwiezle. W czasopismach znajdujemy wiele złożonych i aktualnych zagadnień traktowanych w formie krótkiego essayu.

Formą pokrewną czasopisma są almanachy, oddające czytelnikowi ogromne usługi. Zimą z 1948 na 1949 ukazały się u Descha w Monachium dwa doskonałe wydawnictwa tego typu:

der Theater-Almanach i *der Musik-Almanach*. Każdy stanowi obszerny tom, zawierający omówienie wszystkich nowości niemieckich za ostatnie trzy lata i wyczerpującą bibliografię przedmiotu. Prócz tego każdy przynosi kilkanaście rozpraw na tematy aktualne i zasadnicze, stanowiąc coś w rodzaju luźno związanego podręcznika. Uważny czytelnik spostrzeżę w nich luki powstałe z długoletniej izolacji Niemiec od świata zewnętrznego. Wiele najważniejszych manifestacji artystycznych i pozycji bibliograficznych ostatnich dziesięciu lat znanych jest w Niemczech jedynie ze słyszenia. Z drugiej strony prace i informacje zawarte w almanachach świadczą o ogromnym wysiłku w celu ponownego ożywienia w Niemczech ośrodków badań.

Chłonność rynku niemieckiego i obudzony po długim poście gust badań i wiedzy sprawiają, że pracę naukową łatwiej jest dziś ogłosić w Niemczech niż w jakimkolwiek innym kraju Europy. W moich notatkach znajdują się materiały do niewielkiej pracy z zakresu socjologii sztuki, którą odkładam od lat, nie widząc większych szans ogłoszenia jej drukiem. Gdybym był napisał ją po niemiecku, mógłbym ją dziś oglądać w druku. Język niemiecki ma znów pewne szanse odzyskania utraconego w początku bieżącego stulecia stanowiska języka uczonych. Jest to jeden z paradoksów obecnej sytuacji, wynikłej z narzuconego Europie pokoju sowiecko-amerykańskiego.

Trudno na razie osądzić, czy dalsza „marshallizacja” Niemiec i ich polityka deflacyjna nie położą w krótkim czasie końca obecnej koniunkturze na rynku księgarskim i nie zmuszą wydawców do drukowania samych best-sellerów i powieści kryminalnych. W marcu i kwietniu 1949 pojawiły się pierwsze oznaki pozwalające przewidywać tego rodzaju ewolucję.

Głównym celem mojej ostatniej podróży do Niemiec było zapoznanie się na miejscu z tamtejszym ruchem literackim. Kilka książek, które przywieźli z Niemiec znajomi, obudziło we mnie przypuszczenie, że istnieją tam początki jakiegoś nowego piśmiennictwa i poszukiwanie form artystycznych, odpowiadających tragicznej sytuacji naszego kontynentu.

W Monachium zgłosiłem się przede wszystkim do mego znajomego dra B., którego zrównoważonemu i pogodnemu sądowi zawdzięczam oswojenie się z wielu na pierwszy rzut oka niejasnymi zagadnieniami Niemiec współczesnych. Dr B. wysłuchał mnie z łagodnym zdziwieniem, po czym oświadczył, że nie słyszał dotąd o istnieniu w Niemczech jakiegoś ruchu literackiego. Narodziny takiego ruchu wymagałyby jego zdaniem istnienia jakiegoś stanu poprzedniego i żywych tradycji literackich, a w razie ich braku istnienia zorganizowanego społeczeństwa lub przynajmniej uporządkowanych stosunków rodzinnych. Wszystkie tych przesłanek obecnie brak. Już literatura Republiki Wejmskiej znajdowała się zawieszona w powietrzu. Jej modernizm oderwał ją od tradycji literackich, jej estetyzm postawił ją poza zasięgiem spraw społecznych. Potem przyszyły wiel-

kie wakacje literackie. Wreszcie, z okresu przewrotów i wojny, naród niemiecki wyszedł w postaci plastycznej masy, której brak dotąd własnych idei porządkowych. Niemcy czytają więc najchętniej autorów obcych, i sztuki tłumaczone cieszą się największym powodzeniem.

Jak się potem przekonałem, opinia taka jest w Niemczech bardzo rozpowszechniona. Nie znalazłem też żadnej, najbardziej nawet sumarycznej próby opisanie niemieckiej twórczości literackiej ostatnich trzech lat, odpowiadającej temu, co dla życia teatru i muzyki przyniosły zmiany wzmiankowane już wyżej almanachy. Żyją i piszą nadal poszczególni, w ogromnej większości starsi i znani już przed wojną pisarze. Ukazało się kilka zaledwie talentów przedtem nieznanymi. Rozparcelowane na różne ośrodki, życie literackie jest jednak jeszcze mało przejrzyste i nie zachęca do układania go w panoramy ani wyciągania zeń wniosków ogólnych. Chciałbym więc zatrzymać się na jego paru zewnętrznych aspektach.

Jest faktem uderzającym, że w cztery lata po zakończeniu wojny i upadku Trzeciej Rzeszy Niemcy posiadają wciąż ogromną emigrację i literaturę emigracyjną. Emigrantom z innych krajów i świeższej daty fakt ten daje wiele do myślenia. Emigranci niemieccy, którzy wyjechali na zachód i rozproszyli się po różnych krajach starego i nowego świata, poza nielicznymi wyjątkami nie wrócili do kraju. Nawet pisarze, którzy przebyli w kraju całą wojnę, szukają często odpoczynku i warunków pracy w Szwajcarii. Gdyby nie trudności paszportowe, ujrzelibyśmy ich też w innych krajach.

Wiosną 1949 jeden z moich przyjaciół odwiedził w Stanach Zjednoczonych różne koła emigrantów niemieckich, zgrupowanych dokoła ośrodków naukowych. Nikt z nich nie zrobił tam większej kariery, życie ich jest ubogie i pełne codziennej troski o skromny zarobek. Wielu pisze po angielsku, ale w języku obcym trudno im odnaleźć własny styl. Inni mają się różnych, najczęściej źle płatnych zawodów lub żyją z dnia na dzień.

Zjawisko to ma dwie przyczyny: jedną ogólną, drugą wynikłą z obecnej sytuacji Niemiec. Doświadczenie wskazuje, że po upływie pewnego czasu emigranci w ogóle nie wracają. Nie wrócili hugonoci, ani nawet Saint-Evremond i chevalier de Grammont, którzy wyjechali byli na odpoczynek do Londynu, nie mogąc znieść złego smaku Ludwika XIV. Z Ludwikiem XVIII wrócili tylko ci, „którzy niczego nie zapomnieli i niczego się nie nauczyli”. Inni zostali zagranicą, zbudowali między innymi Odesę i założyli wiele sławnych potem zakładów gastronomicznych. W XIX wieku nie wrócili Polacy, w XX-tym Rosjanie. Widocznie zdolność przystosowania się do życia się bez reszty na emigracji i nie starcza jej potem na oswojenie się ze zmienionymi warunkami życia we własnym kraju.

Obecnie Niemcy, okupowane lub zagrożone przez okupację sowiecką i będącą terenem przyszłych rozgrywek zbrojnych mie-

dzy mocarstwami, mają oczywiście jeszcze mniejszą siłę przyciągającą niż miała ją Francja po upadku Napoleona.

Rezygnacja i pesymizm emigrantów niemieckich mają inne jeszcze, głębsze motywy.

Emigracja pisarzy, profesorów i inteligencji z Trzeciej Rzeszy oraz działalność ich w krajach Zachodu miała rozmiar o wiele większy niż o tym powszechnie wiadomo. Obecnie posiadamy doskonały przewodnik po literaturze emigracyjnej niemieckiej w książce Waltera Berendsohna *Die humanistische Front*, której ogłoszony dotąd pierwszy tom obejmuje czas od 1933 do 1939. Książka jego wymienia setki pozycji bibliograficznych. Autorzy, którzy opuścili w tym czasie Niemcy, posiadali częściowo imię poza granicami kraju i mieli najlepsze widoki na możliwość utrzymania się z pióra. W *Index translationum*, ogłoszonym przez paryski Instytut współpracy umysłowej, prof. Berendsohn znalazł, że w ciągu 6 lat objętych jego sprawozdaniem ogłoszono drukiem 688 tłumaczeń utworów napisanych przez emigrantów niemieckich. Na samą Polskę przypada 76 tytułów. Literatura Trzeciej Rzeszy nie mogła pochwalić się podobnym sukcesem.

Działalność pisarzy emigracyjnych niemieckich znalazła więc ogromny odźwięk zagranicą, mogący służyć za przeciwwagę całej propagandzie Göbbelsa i jego towarzyszy. Mimo to — wbrew opinii prof. Berendsohna — trudno jest określić działalność publicystyczną i literacką emigracji niemieckiej inaczej niż jako całkowitą klęskę.

Przedstawiciele literatury, nauki i inteligencji niemieckiej opuścili kraj w celu prowadzenia dalej walki z narodowym socjalizmem i zmobilizowania przeciw niemu opinii świata. Po krótkim czasie spostrzegli, że w walce z Trzecią Rzeszą są całkowicie odosobnieni. Wszystkie państwa pośpieszyły uznać nowy rząd niemiecki i nawiązać z nim najpoprawniejsze stosunki. W krajach, do których przyjechali emigranci, patrzono na wypadki niemieckie z całkowitą obojętnością lub szukano korzystnego porozumienia z nowymi władcami Rzeszy. Wszystkie informacje, jakie posiadali emigranci, tłumaczone były na wspak ich intencjom. Gdy mówili o sile nowych Niemiec grożących reszcie świata, wysnuwano stąd wniosek, że z Hitlerem nie należy zadierać, nie cofając się przed żadnymi ustępstwami w celu utrzymania dobrych stosunków z niebezpiecznym dyktatorem. Gdy, przeciwnie, emigranci przedstawiali słabość wewnętrzną Trzeciej Rzeszy, słuchacze przychodzili do wniosku, że wobec tego sytuacja nie wymaga od nich żadnej inicjatywy. Po kapitulacji Francji rozpowszechniło się mniemanie, że emigranci oszukali Zachód, łudząc go fałszywymi wiadomościami o rzekomej słabości Niemiec hitlerowskich. Od tej chwili emigranci nie mieli już nic użytecznego do powiedzenia. Przeżyli kolejno wszystko to, czemu działalność ich miała zapobiec: triumfy Hitlera i ostateczną być może ruinę własnego kraju. Wskutek powyż-

szego biegu wypadków emigracja utraciła sens polityczny i stała się jedynie faktem społecznym.

Od chwili upadku politycznego emigracji, poszczególni jej uczestnicy stoją samotni, pozostawieni własnej domyślności. Niektórzy popełnili samobójstwo jak Kurt Tucholski i Stefan Zweig. Wielu przyjęło obce obywatelstwo i odwróciło się od doczesnych spraw kraju, który stał się symbolem klęski całego ich życia. W tej kategorii znajduje się kilku najwybitniejszych pisarzy niemieckich jak Tomasz Mann i Hermann Hesse.

Podczas mego pobytu w Niemczech mówiono wiele o „dezercji” emigrantów i nieaktualności ich literatury. W Stuttgarcie odbył się w przepełnionej sali wieczór poświęcony czemuś w rodzaju procesu Tomasza Manna. Większość obecnych uważała go za wstrętne egoistę, który „urządził się” w Ameryce. Dla patrzącego z boku dyskusja była popisem oratorskim, przesłizgującym się po powierzchni zagadnienia. Zarzucający mu „dezercję” zdawali się sądzić, że Tomasz Mann powinien był wraz z innymi siedzieć w obozie koncentracyjnym, wchodzić w kompromisy z Göbbelsem i pisać w własnym kraju za licencją władz okupacyjnych. Co powiedziałyby Eckermannowi Goethe po wysłuchaniu takiej dyskusji?

Wielu emigrantów przestało pisać. W 1948 zmarła w Genewie po długim milczeniu wybitna essayistka Helen Diener, pisząca pod pseudonimem Sir Galahad. Moi czytelnicy przypominają sobie być może jej *Idiotenführer durch die russische Literatur*, książkę do napisania na nowo, w zastosowaniu do obecnych okoliczności. W krótkiej wzmiance, jaką poświęciła jej szwajcarska gazeta, przeczytałem, że Helen Diener zmarła samotnie: była zbyt dumna i wymagająca, aby mieć przyjaciół. Słowa te są być może najpiękniejszym epitafium dla dzisiejszego emigranta.

Dla czytelnika polskiego historia literatury niemieckiej na emigracji jest bardzo pouczająca. W książce Berendsohna znajdujemy wiele tematów aktualnych dla emigracji polskiej, jak spór między literaturą walczącą i pretendującą do funkcji autonomicznej. Przed nami już emigranci niemieccy stanęli zaskopotani przed pytaniem postawionym im przez kuriera wożącego nielegalne wydawnictwa do kraju: „Czy dla tej książki warto ryzykować życie?”

W 1947 wyszła drukiem w Monachium antologia nosząca tytuł *De profundis*. Wyczerpana natychmiast po ukazaniu się, antologia zawiera wiersze 66 poetów, którzy w ten lub inny sposób w czasach Trzeciej Rzeszy dali wyraz uczuciom i myślom źle widzianym przez ówczesny régime. Znajdujemy wśród nich nazwiska znane przed wojną — jak Kasimir Edschmid, Ricarda Huch, Erich Mühsam, Frank Thiess — obok nazwisk, które stały się głośnie dopiero w latach ostatnich, jak Werner Bergengrün, Rudolf Alexander Schröder i Ernst Wiechert. Znaczną część autorów jest nieznaną; niektórzy zginęli młodo, zosta-

wiając zaledwie kilka wierszy przechowanych przez towarzyszy. Są wśród nich prozaicy, którzy zaczęli pisać wiersze dopiero podczas wojny, pozbawieni możliwości wypowiedzania się inaczej.

Ze względu na charakter okolicznościowy tych wierszy nie będziemy się zatrzymywali dłużej nad ich zasługą literacką. Większość wierszy niemieckich nosi dziś ślady wpływów Rilkego i Stefana George. *Sie Rilken und Georgen*, jak mówił pewien berliński znajomy. Wpływy te widoczne są też u wielu autorów antologii. Ich obrazy poetyckie przypominają czytelnikowi, że nie darmo sztuka baroku została odkryta i była tak szczerze podziwiana przez pokolenie mające teraz 50 lat. Już na pierwszych stronicach znajdujemy wspaniały wiersz w stylu barokowym Bergengrūna, *Die letzte Epiphanie*, który po wojnie obiegał całą prasę literacką. Anioł z trąbą i inne emblematy znane z okresu wojny trzydziestoletniej, z Gryphiusa i Anioła Słazaka, powtarzają się wielokrotnie u różnych autorów. Talentem oryginalniejszym wśród 66 autorów zdaje się być zmarły niedawno Rudolf Alexander Schröder, tłumacz Wirgiliusza i Horacego, założyciel znanej dawniej firmy wydawniczej Insel-Verlag i autor licznych poezji religijnych zakazanych w czasach Trzeciej Rzeszy. W tych ostatnich wierszach czuć żywo oddech niemieckiego XVII wieku:

*Gericht, Gericht! Nun kam die Zeit:
Der Feind ist nah, und Gott ist weit.*

De profundis zawiera krótkie biografie 66 poetów opozycyjnych. Jakkolwiek bardzo sumaryczne, życiorysy te pozwalają wejrzeć w skład personalny obecnych Niemiec piszących.

Z 66 autorów tylko 30 ma dziś mniej niż 50 lat. Mimo starań wydawcy, nie udało mu się znaleźć więcej niż 20 autorów poniżej czterdziestki.

Cyfry te są dowodem nie tylko wyrwy, jaką wojna zrobiła w młodszym pokoleniu, ale także zmysłu praktycznego młodzieży. Wyrażanie wierszem uczuć nie pochwalanych przez władze kosztowało drogo 66 poetów antologii. Dwu z nich zginęło z ręki oprawców, jeden popełnił samobójstwo przed aresztowaniem, 21 odsiedziało krótsze lub dłuższe terminy w więzieniach i sławnych obozach koncentracyjnych, 17 doznało innych przesładowań, konfiskaty majątku, pozbawienia pracy itd. Pisma kilku autorów zostały publicznie spalone. Zakaz publikowania objął na ogół 38 autorów antologii.

Z jakich sfer rekrutowali się pisarze stawiający czoło władzom Trzeciej Rzeszy i niosącemu je fanatycznemu tłumowi? Krótkie dane biograficzne nie dają na to pytanie wyczerpującej odpowiedzi. Wnosić z nich tylko możemy, że olbrzymia większość 66 autorów wyszła z tzw. sfer burżuazyjnych. O kilku z nich jedynie wiadomo, że byli związani z ruchem socjalistycznym lub komunistycznym. Wbrew rozpowszechnionemu mnie-

manii istniała więc w Niemczech podhitlerowskich opozycja burżuazyjna.

O 42 autorach wiemy lub mamy podstawy przypuszczać, że odbywali studia uniwersyteckie. W czasach, kiedy rektorzy uniwersytetów przydzielali osobiście paleniu książek i wyklinali wszelką wiedzę bezinteresowną, okoliczność ta daje wiele do myślenia. Objasnienia tego faktu szukać być może należy w rodzaju wykształcenia pisarzy opozycyjnych. Ci, którzy w swych danych biograficznych podają o tym bliższe szczegóły, wymieniają zawsze fakultet filozoficzny I, filozofię, filologię, historię sztuki. Jeden tylko jest doktorem medycyny, o drugim wiem skądinąd, że ma za sobą studia medyczne. Ci dwaj przebiegli zresztą lekką stopą lata hitlerowskie, i w wierszach ich trudno dojrzeć bez pomocy lupy coś niecenzuralnego. Ani jeden z 66 pisarzy nie wzmiankuje studiów technicznych, ani nauk ścisłych. Opozycja pisarzy jest więc wyłącznie buntem humanistów.

Znaczna stosunkowo liczba poetów antologii wykonywała poza literaturą inne jeszcze zawody artystyczne, wychowywała się w środowiskach artystów, studiowała historię sztuki lub pracowała w teatrze. Szczegół ten pozwala jeszcze raz stwierdzić, że szkoły artystyczne są jedną z najlepszych dróg do wychowania humanistycznego.

Z tych skromnych danych wnosić można, że mimo powszechnego upadku i demoralizacji warstw dyplomowanych, w Niemczech zachowały się także poza emigracją resztki niezależnej inteligencji.

(Dokończenie nastąpi).

Paweł HOSTOWIEC.

SPROSTOWANIE

Do I. części szkicu Pawła Hostowca pt. „Nowy Dziennik podróży do Niemiec”, zamieszczonego w Nrze 2/19 „Kultury” wkradła się pomyłka. Mianowicie zdanie na str. 41 (wiersz 37) winno brzmieć:

„Wydaje się mało prawdopodobne, aby wpływy, jakie posiadał tam Stany Zjednoczone i Anglia z tytułu okupacji, mogły przyczynić się do uzdrowienia Niemiec z nacjonalizmu zagrażającego pozostałej Europie i do odrodzenia moralnego i kulturalnego kraju.

“ORZEŁ BIAŁY”

TYGODNIK POLITYCZNO-LITERACKI

Redakcja i Administracja
c/o St. Starzewski
45, WARRINGTON CRESCENT, LONDON, W. 9.

Przedstawicielstwa w Austrii, W. Brytanii, Francji
Holandii, Norwegii, Szwajcarii, Szwecji i we Włoszech
Nadto w Argentynie, Kanadzie, Libanie, Płd. Afryce
w Stanach Zjednoczonych.

● Cena egzemplarza:

We FRANCJI 25 franków fr. ★ W BELGII 5 franków belg.
W WIELKIEJ BRYTANII: 1/-

● Prenumerata:

We FRANCJI miesięcznie 100 fr. fr.; kwartalnie 300 fr. fr.
W BELGII miesięcznie 20 fr. belg., kwartalnie 60 fr. belg.
W WIELKIEJ BRYTANII: miesięcznie 4/4, kwartalnie 12/
rocznie 45/.

● Prenumeratę przyjmują:

WE FRANCJI: *Libella*, 12, rue St. Louis en l'Île, Paris IV,
nr. konta pocztowego Paris cc 565.150.

W WIELKIEJ BRYTANII: *Griff Publications*, 59/61, Hatton
Garden, London E.C.1.

OGŁOSZENIA: (za 1 cal przez 1 łam = £ 1)
przyjmują przedstawicielstwa «Orla Białego»,
na terenie zaś W. Brytanii wyłącznie firma
BERRY Co, 437, Grand Buildings, Trafalgar Sq., LONDON W.C.2.

Lato i Jesień

Klaska Wisła o płaskie dno. Upycham pod prąd, nakierowuję zębatym wiosłem zgrabną perspektywę puchów na kępy obdmuchane wiatrem. Niebo niesie się wysoko, kamieniołomy postukują z lewa — jestem goły i mokry po pływaniu. Tak oto próbuję żeglować, Charon krnąbrny, wbrew prądowi czasu — 15-20 lat wstecz.

Wiosło posłuszne narzuca łódź, jak kiedyś, na brzeg, nogi chlupią po wodzie, ręce naciągają dziób na biały piasek, wwijają łańcuch w wikliny — automatycznie. Rozkładam się w sypkich miętkościach, zagapiam w daleki brzeg: Kazimierz . . . Zamykam oczy (słońce praży i łacha dmucha piaskiem) i daję półmyślom, strzępom asocjacji fruwać po głowie. Oto jestem tu z pielgrzymką egoisty — w głąb, ku początkowi siebie. Rewia wspomnień zasupłuje się nieskładnie. Otwieram oczy: zwierzątko okrągło-okie sterczy przede mną — patrzymy na siebie; Wisła, ptaki na niebie, dzwony z miasteczka — ot komunał niezmienniej żywotności. Płoszę zwierzaczka i spływam do Kazimierza.

I już rybacki ludek nad rzeką gada inaczej niż kiedyś. Sączą się opowieści o terrorze, o lasowcach, o tatarskim pochodzie ruskich, o niepokojach i nadziejach. Już na kurzącej drodze podklasztornej i u mostów nieswojo. Ale na rynku, jak wczoraj przy wjeździe, żałość niepomierna i obraza bezsilna.

Mieścina, kąleka wojenna, żałośliwie a szpetnie kuśtyka poprzez popołudnie. Najpiękniejsza kiedyś, teraz spodlona, na próżno przyrumienia się słońcem — odraża tylko. Bo przyjaciele mówią o krzywdzie i zdradzie; bo z Żydami wymordowano ich graciastą architekturę i szczyrby biją w oczy znaczeniem straszliwym, jak ołtarze ludzkiej ofiary, kiedy domy, co zostały, stoją jak pod pręgierzem; bo sklepikarz „goj” stoi za ladą żydowską; bo tkanina folkloru polskości przeplecionej czarnym żydowskim ornamentem przestała istnieć. Bo w ciasnocie małego znajomego miasteczka tragedia mieści się w zasięgu wrażliwości ludzkiej i wprost uderza w morde, kopie w krocze, wydusza ozór, drze pasy, opluwa — torturuje fizycznie, kiedy w Belsen, czy Warszawie zmysły widza nie nastarczają.

Wyłażę opłotkami na starą bóżnicę wpół rozebraną („przez miejscowych i dopiero teraz — po Niemcach” — objaśnia ko-

lega), wchodzę w zachwaszczoną, kałem zaszarganą ruinę — już antyczną, zapatrzam się na niezrozumiałe napisy, na freski niepojęte, na ślady egzotyzyму co żył obok mnie, nieuważnie zlekceważony, i został starty z powierzchni ziemi niepowrotnie.

Jakżeż strasznie stać na gruzach świata co przeminął na moich oczach i wiedzieć, że już nie naprawię mojej obojętności; stać wobec końca ostateczniejszego niż śmierć.

Odwiedzam resztki przyjaciół co przetrzymali — płócienna, stalugi w izbach cienistych, ale ich prawda utrupiona. Większy, wiek kłęski — słówko stało się ciałem straszliwie okaleczonym. Ludzie i pejzaż mojego czasu w ruinie — zła, zła sprawa.

Drapię się na górę trzy-krzyską; patrzę w dół na zapługawione czary i na rzekę co cofnęła się od brzegu i skurczyła jak gdyby zbolała. Wodzę po mapie wspomnień okiem potykającym się na gruzach.

Odwracam się od zdruzgotanej przeszłości. Udęczony rozglądam się za pociechą. Dzień kuli się ku drzemce, ale wciąż grzeje i suchymi woniami, jak kadzidłem, koł.

Siedmioletni syn przyjaciela, długoloki, bosi i nagotorsy chyca, faunik dziwny i wdzięczny, ponad panoramę rozległą, łukiem skoku obejmuje niezagalone jeszcze ruiny i romantyczną ozdobę obrazu — ruiny zamku i baszty — ślady zapomnianej tragedii sprzed wczoraj; a też w podskok się mieszczą Trzy Krzyże — memento tortury i zbawienia.



Nakryty kobiałą lasu, brnę, drę się przyziemnie poprzez zamokłe, pordzewiałe paprocie-giganty. Laska-stołek, co próbuje zawadzić, a też lewa noga zakotwiczają mnie w podszyciu. Tak unieruchomiony zataczam okiem, jak cyrklem: miętka, pagórzysta fala ugrowych paproci gubi się w kole patykowatych, jakby gotowych na podpałkę, zimowych krzaków; drzewa, górą spojone, zachodzą za horyzont; szara podgnięta cisza cięta wieiórkami.

Wyszarpuję nogę i laskę i idę dalej, świadom bezludzia — stropiony, ale też trącony wzruszeniem...

Wtem paprocie rozdeptane w mokrą miazgę. Poddają się więc nieodwołalnie i z dewocją prawom ludzkiej ścieżki („w natłoku miasta szuka się osobności, a w górach, w puszczy ślad człowieka jest pokusą” — przemyślam) — dają sobą kołować, obwodzić parowy i pnie zwalone, aż przychodzą konflikty skrzyżowań, namnażających się raptownie ścieżynek, umykających, wabiących, niszczących leśne sprawy i moją pozę odkrywcy. I już pieśń ludzkiej nędzy i spalenizna wtasowują swe smrodziki w jęlczejacą naturę. Parę kroków i czarne chropawe dżdżyny, nakłute szybami i kurzące rzędami kominów; odrutowane kapuścińce; małe, reumatyczne ludziki pstrzące pejzaż sromotny. Autko skąpe. Plotkujące babiny w miejskiej tande-

cie wywatowanych paltocików. Wiadro i człowiek-„squarter”. „How goes it in the army barracks?” („Jak idzie w żołnierskich barakach?”) — pytam. „Good or bad — as you make it” („Dobrze albo źle — zależy co z tego sam zrobisz”). Pionier. Palcem mierzy w swoją grzędę jarzyn i tymże palcem natrząsa się nad dziczyzną lasu — wierzy, że naturze wydziera ziemię.

Ale obok sklepik: czekoladki, papier klozetowy, żyłетки, puszki i malowana dziewczyna; a już zaraz za zakrętem szosa łomocząca upaństwowieniem i eksportem. Ale od drugiej strony lasu zmurszała tablica zabrania wielu rzeczy — z pańskiego polecenia lorda Darnleya.

Koczownik, socjalista i feudał spotkali się pod tą angielską miedzą i mierzą się oczami.

Popod łukiem herbowej („Finem Respice”) bramy, w bok, roztrącając kurczaki, przez furtkę „no entry” wkradam się w zamierający park. Urny kruszą się na zakrętach, pleśniowozielone pawilony brzęczą, jak pagody, rozbitymi szybami. W dole, nad zatechłym jeziorkiem stoi pseudo-gotycka „folly”;*) ześlizguję się ku niej po liściastych lawinach, skrzypię drzwiami — i, objęty drzemiącą ciszą, wdrapuję się powolutku po łamliwych schodkach do bzdurnego wnętrza: pnące przebiły cegły, ale, jakby w popłochu, przeczołgały się czym prędzej napoprzek dziurawej posadzki (podnosząc po drodze załękę, pobielając twarze liści) ku ciasnym otworom okiennym i opadły płynnie, z ulgą w gmatwaninę wolności.

Teraz idę łopocząc zaliścioną i ciemną aleją, kiedy ku lewej (poza ogrodzeniem) przejasne ale z zimna posiwiałe zielenie obramione pasmami drzew i równoległe ze mną kroczące dalekie, syntetycznie dufne figurki golfiarzy i klekoty fruujących piłek.

Tragiczna grupa: drzewo-Laokoon, z pniem uwikłanym pasorzytniczym metalowo-zielonym gąszczem, wydzierające nagie, rozpaczliwe gałęzie rzadko owieszzone zszarzałym dębowym listowiem; u stóp inny, powalony już olbrzym.

Mijam te śmiertelne a milczące zapasy obojętnie, jak w gabinecie figur woskowych, i, wedle zwyczaju, występuję w progi szwajcarskiego pawilonu, w którym Dickens spisywał swą prozę: maciupęńki pokoił jak zawsze dech zapiera — okna otwarte na cztery strony świata wpuszczają zielono-żółte światło, ale ciasne ściany ujmują mnie, jak czaszka mózg. Pokój pisarza. Śmiesznie jest myśleć, że podobno sosnowe wnętrza pokryte było lustrami, że pewnie Dickens miny stroił, odgrywał dla siebie swoich bohaterów.

Alejka zapada teraz w kamiuszkami kryte cienie tunelu. Sennie wybijam laską takt echu i sennie wynurzam się w powra-

*) folly — w tym znaczeniu «fantazja» — nazwa dawana w Anglii pawilonom, grotom, obeliskom, ruinom, umieszczanym w komponowanym pejzażu parków XVIII i XIX wieku.

cający (choć gasnący od wiatru) dzień i w zmianę scenerii.

Wielki dywan trawnika, klamra pałacu wkręcona w pejsaż czterema wieżycami. Lewe skrzydło (spłowiła elżbietńska cegła) objęte powolną procesją kalek: o kulach, na noszach, fotelach, ramionach bliskich — w drodze ku uzdrowieniu: Mrs. Gilbert, cudotwórcza znachorka leczy w sekciarskich modkach co niedzielę o trzeciej, w sali portretowej, za specjalnym pozwoleniem *h e r i a d y s h i p*. Z prawej, z rękopisem pacyfistycznej mowy w ręku, czyha na mnie (ale wypatrując z przeciwnej strony) choleryczny pan domu (długości niezmiernej) w płaszczu i kapeluszu czarnym, jakby w drodze do Izby Lordów, ale wsparty na pasterskim kijku.

Przemykam się środkiem ku wrenowskiej cynobrowej fasadzie, klucząc w smugach rodzącego się deszczu, i, przegalopowawszy poprzez kolumnady wyziębionej jadalni i wypłowiata, łaściste, biblioteczne godności, skaczę po schodach kuchennych ponad kocimi drzemkami, gmatwam się w podwójnych drzwiach amfilady zagastych galerii, zaglądam do ubaldachimionej w strzępach sypialni — szukam rodziny.

Aż w wiktoriańskiej bawialni znajduję przy ogniu ugrupowanych: Marionę z Danielem, Teresę w ramionach niani, panią domu stylowo ciężarną. Wstępuję nieswojo w żywy obraz, zapadam w fotel — gazeta, pogodne narady, godne przyzwolenie dziecięcym zbytkom.

Udaję, udajemy (na trochę) zasiedziałe szczęście rodzinne, upozowani jak w drzeworycie pisma ilustrowanego z lat siedemdziesiątych.

Jutro, przeniesiony w Londyn, będę niechluił się neurastenicznie w pracowni przed stalugą. Miesiąc temu, przeniesiony powietrzem w daleki kraj, błądziłem po straszliwym pobojuwisku i borykałem się z „nową rzeczywistością”.

Feliks TOPOLSKI.

Francuzi w Polsce

Jesteśmy bezwątpienia jednym z nielicznych narodów, które w ciągu wieków podlegały wpływom aż kilku kultur: jedne z nich wsączały się nieprzerwanie przez cały prawie przeciąg naszych dziejów, np. niemiecka i ruska, inne miały tylko swoje okresy rozkwitu, jak np. włoska czy francuska. Były też inne jak np. czeska, która w zaraniu naszych dziejów i w średniowieczu (za Wacława) lub węgierska za króla Ludwika weszły — na pewnych jedynie odcinkach — w nasze życie. Trudno byłoby odpowiedzieć na wiele pytań łączących się z tym zagadnieniem, trzeba by każdą z tych kultur i jej wpływ wziąć pod uwagę osobno, można jednak powiedzieć, że niektóre z nich promieniowały wzdłuż granicy z danym krajem, inne, choć należące do krajów oddalonych i nie posiadających z nami wspólnej granicy, odbiły się na życiu całego społeczeństwa względnie jednej z jego warstw na całym obszarze Rzeczypospolitej.

Czemu przypisać tę hierarchię wpływów obcych kultur? Przede wszystkim warunkom życiowym i technice stosunków naszego narodu z danym krajem. Po drugie ciężarowi gatunkowemu kultur, ich użyteczności w naszym życiu jak również roli tej kultury w reszcie świata. Można by w ten sposób ustalić całą hierarchię wpływów obcych. Mówiąc tutaj o wpływie obcej kultury trzeba się zastrzec, że istniał on nieraz jedynie na odcinku życia praktycznego, będąc, po prostu przejęciem pewnych urządzeń czy ulepszeń codziennego życia itd. Zapożyczenie od Węgrów czy Turków niektórych części stroju, broni, uprząży itd. nie można nazwać wpływem kulturalnym lecz raczej cywilizacyjnym, natomiast zasługuje na takie miano przejęcie od Francuzów w XVII wieku pewnych poglądów na sprawy społeczne, lub wpływ ich literatury na naszą. W dziejach naszych zauważyć można wpływ o skomplikowanej budowie np. niemiecki i ruski. Jakkolwiek zapożyczyliśmy wiele instytucji, zwłaszcza wojskowych od Niemców, wpływ ich — do upadku Rzeczypospolitej, — nie poszedł nigdy w głąb narodu, nie wniknął w jego duszę. To samo można powiedzieć o wpływie ruskim, który bezwątpienia pozostał na kresach nalotem lokalnym. Oczywiście, że po rozbiorach oba wpływy zdobyły niejedną pozycję mentalności narodu.

Historia wpływu francuskiego jest zagadnieniem bardzo skomplikowanym, gdyż działanie jego następowało w kilku nawrotach. Było ono uzależnione w pierwszym rzędzie od stosunków politycznych, łączących lub dzielących oba narody.

Jakkolwiek większość autorów zajmujących się wpływami francuskimi w Polsce upatruje ich początek w XVII. wieku, z powodu ingerencji polityki francuskiej w wewnętrzne sprawy Polski, to jednak pierwsze kulturalne kontakty polsko-francuskie sięgają jeszcze pierwszych wieków naszego państwa.

Jak to wykazało szereg współczesnych historyków (P. David, St. Arnold, Berlière, a ostatnio — w r. 1946 — znany historyk Marian Friedberg w swej pracy „Kultura polska a niemiecka”) w pierwszym okresie zamykającym się rokiem 1194 (data śmierci Kazimierza Sprawiedliwego) Piastowie dążyli w swej polityce kościelnej do powierzenia zadania chrystianizacji Polski w ręce nie-niemieckie, obawiając się, słusznie, aby misjonarze niemieccy nie wykorzystali swej roli w celach politycznych. Stąd większość zakonników, biskupów i innych duchownych, grających wybitną rolę w nawróceniu Polski na wiarę chrześcijańską, była pochodzenia romańskiego. Nie byli to oczywiście sami Francuzi: byli między nimi Belgowie, Lotaryńczycy, ale i jedni i drudzy znajdowali się pod wpływem kultury francuskiej, co w tym wypadku jest miarodajne.

Nie mogąc poświęcić temu ciekawemu rozdziałowi naszych dziejów kultury więcej miejsca, ograniczymy się do wymienienia kilku wybitniejszych postaci francuskich lub o francuskiej kulturze na wybitnych stanowiskach duchownych. Pierwszym naszym biskupem był — zapewne — Francuz Jordan, pochodzący z diecezji leodyjskiej, stąd krzewiący kult św. Lamberta, patrona tej diecezji. Z biskupów krakowskich narodowości francuskiej byli: Baldwin, Maurus, Robert, zapewne Franko, który doradził Władysławowi Hermanowi wysłanie poselstwa z darami do St. Gilles w Prowansji. Z biskupów wrocławskich: Heymo był Lotaryńczykiem, Robert uważany jest za Francuza, Walter brat biskupa płockiego Aleksandra, pochodził z Malonne, w diec. leodyjskiej. Jeśli chodzi o klasztory, to rozwój ich w Polsce przypada na wiek XI i XII. Są to benedyktyni, kanonicy regularni z reguły św. Augustyna, norbertanie. Cystersi wywodzą się przeważnie z Morimond (Burgundia), kanonicy regularni to w większości Francuzi, a opaci ich do XIII. w. też należą do tej narodowości. Słynne opactwo tyńskie, składające się z zakonników sprowadzonych przez Kazimierza Odnowiciela z Leodium odegrało ważną rolę kulturalną. Benedyktyni w Sieciechowie zapewne przyszli z St. Gilles w Prowansji. W XVII. wieku dzięki królowej Marii-Ludwice Gonzaga przybędą do Polski misjonarze, otrzymując parafię św. Krzyża w Warszawie, a z nich wyjdzie wielki dobrodziej biednej ludności stolicy ks. Gabriel Boudouin.

O wpływie kulturalnym, religijnym i artystycznym tych duchownych dałoby się dużo powiedzieć: ograniczymy się do

stwierdzenia, że biskup płocki Aleksander (brat Waltera), fundował i konsekrował w r. 1144 katedrę płocką, że utrzymywał na swym dworze malarzy i złotników, że kościoły w Płocku, Czerwińsku i Tumie wykazują wyraźną zależność od architektury północnej Francji i Belgii. Nazwiska artystów, którzy pracowali przy wzniesieniu tych świątyń, niestety, się nie zachowały. — Pochodzenie Gallusa, pierwszego naszego kronikarza, jak również autora pierwszego poematu powstałego w XII wieku, Maurusa, jest dziś pewne: byli oni Francuzami lub Belgami o kulturze francuskiej. Wiadomo też, że mistrz Wincenty, zwany Kadłubkiem, biskup krakowski studiował, jak wielu innych, w Paryżu. Dla ilustracji poglądów ówczesnych Polaków na rolę kulturalną i religijną Francuzów warto wspomnieć o liście, wystosowanym przez biskupa krakowskiego Mateusza i Piotra Włostowica, do św. Bernarda z Clairveaux, a zapraszającym go do pracy misyjnej na Rusi.

Bardziej systematyczne stosunki zadzierzgnęły się dość późno: wśród posłów wysłanych przez państwa europejskie celem złożenia życzeń królowi Władysławowi Jagielle z racji objęcia tronu, brakowało jedynie posła francuskiego. Król Karol VI. naprawił tę omyłkę dyplomacji francuskiej posyłając na dwór polski Burgundczyka Gilberta de Lannoy, kawalera Złotego Runa w r. 1421. Pierwsza styczność dyplomatyczna nastąpiła w r. 1500, kiedy, za pośrednictwem Wenecji, Polska podpisała z Francją przymierze w związku z niebezpieczeństwem tureckim. Zacieśnia się te stosunki za Franciszka I. i Zygmunta Starego, gdyż przyszył rywal Karola V. szuka sprzymierzeńca na wschodzie przeciwko cesarzowi. Wynikiem z tych dążeń plan podwójnego małżeństwa dzieci obu monarchów: Zygmunt Stary proponuje nawet daleko idącą kombinację, opierającą się na małżeństwie syna króla, Henryka, ze swoją córką, która by w posagu otrzymała pretensje polskie do Mediolanu, jako dziedzictwa Sforzów, których ród wygasł w owym czasie. Gdy tymczasem stosunki dyplomatyczne ożywiały się stale, powodując wymianę poselstw, szersze warstwy, oczywiście szlachty, a raczej magnatów, zetknęły się z Francją dopiero od chwili wyboru Wależjusza.

Ówczesne stosunki kulturalne między Polską a Francją były już dosyć żywe: młodzież polska coraz częściej udawała się na studia do Francji. Gdy wysłannik dworu francuskiego, biskup Walencji, Jean de Montluc, zdążył do Polski po śmierci Zygmunta Augusta celem propagowania kandydatury księcia d'Anjou, zatrzymuje się w Wielkopolsce w domu kasztelana łędzkiego, Stanisława Wysockiego, którego syn studiuje w Paryżu. Wiemy, że w tym samym mniej więcej czasie Jan Kochanowski, spędza w Paryżu cały rok i tutaj — podobno — powstaje jego pierwszy polski utwór poetycki. Włochy przestawały być wtedy jedynym krajem gdzie młodzież nabywała nauki i poloru. A jakżeż ciekawie brzmią słowa pana de Thou, piszącego o ambasadzie polskiej, która dnia 19. sierpnia 1573

przybyła do Paryża celem powitania świeżo wybranego króla Henryka: „*Il n'y avait un parmi eux qui ne sût parler latin et plusieurs savaient encore l'italien et l'allemand, quelques uns même parlaient notre langue si purment qu'on les eût prit plutôt pour des hommes élevés sur les bords de la Seine et de la Loire que pour des habitants des contrées qu'arrose la Vistule et le Dnièpr*”. O poziomie intelektualnym naszych przodków świadczą słowa, które, zapewne *à contre coeur* de Thou dodaje do swej relacji: „*...ce qui fit grande honte à nos courtisans qui non seulement ne savent rien, mais sont ennemis déclarés de tout ce qu'on appelle science. Aussi quand ces nouveaux hôtes les interrogèrent ils ne répondaient que par signe ou en rougissant*”. W swym liście pisze inny świadek ówczesny, Henri de Noailles do księcia de l'Isle: „*tous les Polonais, petits et grands, maîtres et valets, riches et pauvres, parlent le latin*”.)

To pierwsze, na większą skalę, zetknięcie się Polaków z Francuzami, ujawniło sporą różnicę temperamentu, poglądów i charakteru. Dwór ostatnich Walezjuszy nie grzeszył cnotami ani nawet inteligencją, był typowym środowiskiem ludzi schyłkowych, gdy tymczasem ówcześni Polacy o mentalności ukształtowanej w złotym wieku byli ludźmi głębokimi. Znow zapożyczmy ocenę ich u obiektywnego — na pewno — świadka. Wspomniany już de Thou opisuje wrażenie jakie na nim wywarli ambasadorowie, którzy z arcybiskupem gnieźnieńskim Konarskim, ukazali się w uroczystym pochodzie na ulicach Paryża: „*...ils étaient vêtus de longues robes d'étoffes d'or et cet habit joint à la gravité convenable à des sénateurs ne représentait pas mal l'ancienne majesté du sénat romain*”. Istotnie, to byli mężowie stanu, senatorowie odpowiadający swemu stanowisku wykształceniem i charakterem. Nic dziwnego, że zachowanie się Henryka Walezjusza, jego rozwiązłość, obyczaje więcej jak podejrzone — specjalne zgorzenie wywołały tańce wprowadzone przez niego na dworze wawelskim, zwłaszcza tzw. „Volta”, o którym wspomina Orzelski²⁾ — nie mogły wywrzeć dobrego wrażenia na Polakach. Ucieczka króla i fiasco nieostrożnej elekcji, na długi czas zmroziły uczucia Polaków do Francji, i, oczywiście, na odwrót. Jeden z towarzyszy Henryka, Philippe Desportes w swym wierszu „*Adieu à la Pologne*” wyraża swój pogląd naówczas zapewne ogólny — o Polakach:

*Adieu, pays d'un éternel adieu!
Barbare peuple, arrogant et volage,
Vanteur, causeur, n'ayant rien que langage,
Qui jour et nuit dans un poêle enfermé
Pour tout plaisir se joue avec un verre,
Ronfle à la table et s'endort sur la terre,
Puis comme un Mars vent être renommé.*

Jan Kochanowski odpowiedział na ten wiersz względnie na tym podobne krytyki wierszem „*Gallo crocitant*”.

Wpływ kultury francuskiej na Polaków, pogłębia się dopiero w XVII. wieku, kiedy cała Europa, będąca pod urokiem Wersalu, potęgi króla Słońce, ale też słusznie oceniająca olbrzymi wkład duchowy tego narodu, wraz z modami francuskimi, przyobleka francuskie oblicze, niby maskę przylegającą ściśle do twarzy. Przecież jeszcze król Ludwik II. bawarski, ulegać będzie urokowi Ludwika XIV, choć żyje na schyłku XIX. wieku a dla wielu innych mężów stanu i monarchów twórca Wersalu pozostanie niedościgłym wzorem.

Do zrozumienia tego wpływu przyczyni się bezwątpienia poznanie charakteru społecznego francuskiej imigracji, jej liczebności, epok jej największego nasilenia, tym więcej, że temat ten do dziś nigdzie szerzej nie był opracowany. Drugi rozdział tego wpływu kulturalnego rozegra się już na ziemi francuskiej, w czasach licznych emigracji polskich.

Imigracja licznych Francuzów, zwłaszcza wojskowych do Polski rozpoczyna się w połowie XVII. wieku. Małżeństwo ks. Marii Ludwika de Gonzague, ks. de Nevers, poślubionej „*per procura*” w Paryżu Władysławowi IV. otworzy tamy imigracji francuskiej, obejmującej przede wszystkim dworzan i oficerów. Brat króla, książę Karol wita królowę w okolicy Sopot. Dnia 10 marca 1646 małżonka Władysława IV. odbywa w karocy niebiesko-złotej, ciągniętej przez sześć koni, swój wjazd do stolicy. Za królową ciągną liczne karety z paniami i panami dworu, z pannami „*fraucymeru*”: de Mailly, des Essarts, de Langeron, d'Aubigny, oraz dzieckiem kilkoletnim, Marią Kazimirą de la Grange d'Arquien. Ta ostatnia jest niby „*koniem trojańskim*” którego los „*przeszmuglował*” do polskiej historii...

Projekty ambitnej Marii-Ludwika, widzącej jasno, że Polskę może z zupełnego upadku wyratować tylko silna monarchia, prowadzone, zgodnie z duchem czasu, na tle dynastycznych kombinacji, były pracą syzyfową, skazaną z góry na niepowodzenie. Szlachta coraz bardziej opanowana manią prześladowczą „*absolutum dominium*”, nie godzi się na obiór króla „*vivente rege*” Kandydat do tronu polskiego, książę d'Enghien, żonaty z siostrzenicą Marii-Ludwika, ks. Wittelsbach, przepada ostatecznie, mimo iż liczni magnaci zyskani przez królową lub pożenieni z damami jej dworu (Jan Zamoyski z Marią-Kazimirą de la Grange d'Arquien, kanclerz Krzysztof Pac z panną de Mailly lub Andrzej Morsztyn z p. Gordon) starają się utorować mu drogę.

A tymczasem dwór królewski i dwory magnackie francuzieją coraz bardziej, a raczej zapełniają się Francuzami: obok sekretarza królowej Piotra des Noyers, wtajemniczonego w wszystkie wielkie sprawy polityki, jest lekarzem dworu p. de la Courvée, Stefan Baluze łowczym dworu, inny Baluze, Antoni, zarządza kuchnią królowej, panna de Vielle i Machaud mają pieczę nad garderobą, Jakób Brisot pełni obowiązki mu-

zykanta dworskiego, a niejaki Morin wróży Ich Królewskim Mościom przyszłość z gwiazd! Ważniejszą bezwątpienia rolę grają w owym czasie liczni oficerowie francuscy, którzy wstępują na służbę do regimentów cudzoziemskiego autoramentu.

Wojskowi francuscy w polskiej służbie piszą bardzo piękny rozdział dziejów w Polsce. Spotykamy wśród nich nie tylko dobrych żołnierzy, ludzi o wielkich zdolnościach fachowych, ale pełnych poświęcenia i sentymentu dla swej nowej Ojczyzny. Kilka nazwisk otoczyło się wieńcem laurowym, jak np. imię Wilhelma Levasseur de Beauplan, który w ciągu 17-letniej służby pierwszy opisał Ukrainę, narysował mapę tego kraju, poczynił ważne pomiary Dniepru, ufortyfikował Lwów, Kudak, Nowy Koniecpol, Krzemieniec itd. Spełniwszy szczerze powierzone mu zadania wrócił do Francji w 1648 roku. Franciszek Andrault de Buy jest w r. 1660 komendantem twierdzy w Toruniu, dwa lata później jest nim inny Francuz, Henryk de Beaulieu, (zwany Debolim) który w końcu mianowany zostaje komendantem wszystkich twierdz pomorskich, a następcą jego na tym stanowisku jest p. d'Argelles. Rodzina Marian pochodząca z Nivernais, wydaje dzielnego oficera polskiego Jana de Marian, uczestnika wojen szwedzkich, komendanta Kudaku, i współpracownika Beauplana, który w bitwie pod Chocinem wpada w ręce nieprzyjaciół i dopiero po roku wydostaje się na wolność. Wspomnijmy, że inny Marian, kanonik Marcin używany jest przez Jana Kazimierza do misji dyplomatycznych. Umiera on w Warszawie w r. 1778.

Rzeczpospolita, czuła na zasługi obcych, nagradza też hojnie oficerów francuskich nie tylko awansami, ale też udzielając im największej nagrody tj. nobilitacji lub indygenatu. Raz po raz też konstytucje wspominają o nadaniu szlachectwa na „zalecenie hetmanów”. I, jesteśmy pewni, dyplomy te były dobrze zasłużone.

Nie należy tutaj zapomnieć brata królowej Marysieńki, Ludwika hrabiego de Maligny, który również walczy pod Chocimem, Wiedniem, jest w 1672 dowódcą pułku dragonów, zostaje generałem w r. 1677 i do śmierci pędzi żywot żołnierza, za co Rzeczpospolita (stosunkowo późno) w r. 1690 nagradza go indygenatem.

Później, już w XVIII. wieku znów liczne nazwiska oficerów francuskich, zwłaszcza za Stanisława Augusta, znajdują się na kartach dziejów naszej armii. Dostatecznie wymienić generałów Ludwika Mangeta, dzielnego współpracownika Kościuszki w organizowaniu powstania, biorącego udział w bitwie pod Racławicami i nagrodzonego zań stopniem generała-majora, Franciszka de Poupart, walczącego pod Zieleńcami, nagrodzonego indygenatem 1790. Hr. Oliviera Chavannes de Larguier, przybyłego wraz z Dumouriezem, celem zasilenia konfederacji barskiej, który pozostał na służbie Rzeczpospolitej i pełnił również funkcje dyplomatyczne. Przodek rodziny Deskurów (des Cours) dostał się do nas wskutek pojedynku, który go zmusił

do opuszczenia Francji, inni trafili do nas przypadkiem, dzięki zbiegom okoliczności, lub szukając pola do popisu i upustu dla swej krewkości. Za Wiedeńską batalię otrzymuje indygenat, poza kilkoma innymi, również Antoni de Ducheaume de Heimat.

Nie potrzeba chyba podkreślać, że epoka napoleońska również dała nam szereg wybitnych wojskowych, którzy, po większej części, zrosli się uczuciowo z Polską i przysporzyli Jej korzyści. Takim był np. Mikołaj Rouget, urodzony w Warszawie w r. 1782 z ojca Francuza i matki zdaje się Niemki, który w wojsku ks. Warszawskiego odznaczył się jako kartograf. Drobny epizod świadczy o prędkim polszczeniu się tych przybyszów. Gdy pewnego razu przedstawiono go Napoleonowi, cesarz usłyszawszy nazwisko rzekł: — Partout des Français! Na co jednak Rouget odparł:

— Najjaśniejszy Panie, Polska jest moją ojczyzną!

Na zapytanie Napoleona czego sobie życzy, wyrzekł Rouget słowa pełne szlachetności:

— Abyś o nas pamiętał, Najjaśniejszy Panie! — Cesarz uściśnął mu dłoń i pogalopował na swym białym koniu. Gdy go znów spotkał, idąc na Moskwę, rzucił mu z daleka: — Idę wykonać twoją prośbę!³⁾

Do wybitnych oficerów należał też gen. Mallet, który przyjął w Polsce nazwisko Malletski, rola jego jednak w powstaniu 1831 nie była bez zarzutu. Był on żonaty z Krasieńską i zostawił córkę znaną autorkę Walerię Marrené-Morzakowską.

Obok służby wojskowej liczni Francuzi pełnią przez cały przeciąg istnienia Rzeczpospolitej służbę dworską i dyplomatyczną. Wspomnieliśmy już ks. Marcina de Marian, Chavannes'a de Larguier: reprezentantem dyplomatycznym przy Stolicy Apostolskiej był przez lat 33 Jakób-Benedykt du Puget (przodek polskich Puszetów), którego król odznaczył indygenatem (dyplom, wspaniale malowany, pokazywał mi jego potomek, znany rzeźbiarz, Ludwik du Puget, który zginął w Oświęcimiu), oraz tytułem barona. Puszet, zmarły w r. 1777 pozostawił syna Bernarda, który zostaje polskim generałem.

Obraz imigracji francuskiej byłby niezupełny, gdyby w nim zabrakło francuskich kupców i przemysłowców oraz bankierów. Przypuszczam nawet, że właśnie oni, (oczywiście poza duchownymi, którzy na pewno jako pierwsi przybyli do Polski, zadzierżgnęli wcześniej od innych stanów kontakty z Polską. Rola ich jest niestety trudniejsza do nakreślenia, gdyż czyny ich nie wykraczały poza stosunkowo skromny zakres życia. Ale znajdujemy też osobistości wybitniejsze jak np. rodzinę Mattych (Mathis, Matti) osiedloną w Gdańsku i cieszącą się protekcją Marii-Kazimiery i Jana III. Dwaj bracia, Jan i Klaudiusz, zrobią karierę i to nie tylko jako kupcy, ale też odegrają rolę w wielkiej polityce: syn Klaudiusza, Ludwik będzie w czasie kiedy Francja odwoła z dworu polskiego swego ambasadora, barona de Besenval, tj. od

1736 do 1744 r. agentem francuskim. Fortuna tej rodziny zasilili również kieszonki Stanisława Leszczyńskiego, w czasie kiedy zjawi się on w Gdańsku celem odebrania korony Augustowi III. Zadziergnięte wtedy kontakty odświeżą się znów, kiedy eks-król zostanie księciem Lotaryńskim i osiadł w Lunéville'u, gdyż wystara się on dla Wiktora-Antoniego Mathy o rangę kapitana w pułku Royal-Barrois, a dla brata jego, Józefa-Benedykta o probostwo St. Rémy w Lunéville. Za Stanisława Augusta odznacza się i majątkiem i patriotyzmem Antoni Chevalier, finansista, który da na powstanie kościuszkowskie 18 tys. złp. Pozostał on majątek 4 milj. złp. gdy umrze w r. 1815, jedna z siostr wychodziż zamaż za Gautiera, również Francuza i kupca, druga za Rautenstraucha. Gautierowie posiadali na ul. św. Jana w Warszawie magazyn z francuskimi wyrobami tekstylnymi, cieszący się pewną sławą w stolicy. Inny kupiec i bankier Klemens Firmin Berneaux, (pochodzący z Pikardii, stąd uszlachcony z przydomkiem „de Picardi”), figurujący na liście mieszczan warszawskich w r. 1774, dorobił się znacznego majątku i nabył dobra ziemskie Budy, Iwanowice itd. Franciszek Longchamps de Bérier, zostaje w r. 1767 burmistrzem Lwowa.

W czasie, kiedy Rzeczpospolita w pierwszych latach panowania Stanisława Augusta poczęła się budzić z gospodarczego letargu i pod wpływem króla oraz wiel. podskarbnika Antoniego Tyzenhauza, starała się nadrobić zaniedbania przeszłości, Francuzi znaleźli tutaj pole do popisu. Pozbawiona fachowców zwróciła się Polska w pierwszym rzędzie do dwóch narodów: Niemców i Francuzów o specjalistów wszelkiego rodzaju. Na tle też tej epoki wyrastają ciekawe postacie Filsjeana, Bécu, Mezera i inn. Filsjean przybył zapewne z Lyonu jest specjalistą w wyrobie jedwabnych tkanin, toteż obejmuje w Kobyłce pod Warszawą kierownictwo persjarni, czy wytwórni pasów litych; założonej przez starostę Unruga, i wkrótce ją zadzierżawi. W r. 1787 staje się wyłącznym właścicielem tej placówki przemysłowej, a pasy sprzedawane są w kamienicy Łazarewiczowej w Warszawie. Rzeczpospolita nagradza go szlachectwem za tę inicjatywę gospodarczą. Persjarnia istnieje do r. 1794, do chwili, kiedy w czasie powstania kościuszkowskiego zostanie rozbita. Odznacza się również w tej dziedzinie: Selimand, Iuard, Dupiney. Rodzina Bécu, której nazwisko jest związane z życiem Słowackiego, zjawia się w Polsce z Pomorza, dokąd przybyła z Brandenbургии w tułaczkę spowodowaną prześladowaniami religijnymi we Francji w XVII. wieku. Nie byli oni więc Francuzami „z pierwszej ręki”. Jan-Ludwik i Jakób odegrali w polskim przemyśle montowanym przez Tyzenhauza sporą rolę: pierwszy staje się buchalterem manufaktury wełnianej, ale też autorem licznych artykułów na tematy gospodarcze, jest on ojcem profesora Bécu, żonatego z matką Juliusza Słowackiego. Brat jego Jakób zostaje kierownikiem zakładów przemysłowych grodzień-

skich, w ich też interesie odbywa liczne podróże zagranicą celem werbowania specjalistów. Obaj bracia — jak zapewnia P. Słownik Biogr., gdyż inne źródła o tym milczą, — otrzymują szlachectwo w r. 1773. Bracia Mezer — Franciszek i Michał, — odgrywają w powstającym przemyśle porcelanowym dużą rolę. Czartoryscy angażują Franciszka de Mezer w r. 1783 jako dyrektora fabryki fajansu do Korca, który nieco później wyrabiać będzie słynną porcelanę. Mezer jest nie tylko organizatorem, ale też czyni doniosły wynalazek w zakresie fabrykacji „farfuru”. Zakomunikowawszy go Stanisławowi Augustowi, pełnemu zrozumieniu dla przemysłu artystycznego, Mezer otrzymuje od niego odręczny list i pieczęć diamentową, wkrótce potem też polski indygenat. Istotnie, placówka to ważna: zatrudnia 1000 robotników. Ale de Mezer opuszcza Korzec, którego dyrekcję obejmuje brat jego i przenosi się do Tomaszowa. Michał natomiast, po spaleniu się fabryki w Korcu zakłada fabrykę w Baranówce. Nowa fala francuskich przemysłowców czy po prostu majstrów, ale rozporządzających bądź groszem bądź też osobistą inicjatywą, napływa w pierwszych latach Królestwa Kongresowego. Powstają wtedy znane zakłady przemysłowe Fragetów (przybyłych w 1824 r.) — pierwotnie na bardzo małą skalę, inżynier Filip de Girard również zdolny jak nieszczęśliwy w życiu wynalazca, zostaje powołany przez ministra Xawerego Druckiego-Lubeckiego na dyrektora departamentu kopalń, a bytności jego w Polsce zawdzięczamy powstanie osady fabrycznej Żyrardowa; wiele innych fachowych sił francuskich współpracuje w tworzeniu się polskiego przemysłu. Jeden z tych specjalistów, zapewne dawno osiadły w Polsce, Karol Neuville, tkacz z Wielunia, odznaczony zostaje orderem św. Stanisława 25. VI. 1829 roku. Za daleko oczywiście zaprowadziłoby nas wyliczenie wszystkich przemysłowców czy rzemieślników, którzy z czasem sami stali się właścicielami fabryk czy wielkich warsztatów. Powiedzmy tylko, że zarówno za Stanisława Augusta, kiedy kupcy francuscy lansowali mody (nowości paryskie sprzedawał w swym magazynie Richard, oraz Toussaint, który zresztą zginął podczas rzezi na Pradze, Denoyon i Nazon zaopatrywali w materiały złotolite, a pani Ledoux dostarczała elegantkom strojów), jak też za Królestwa Kongresowego stan kupiecki zaznajamiał Polaków z cywilizacją francuską w zakresie mody, drobiazgowo codziennego użytku, umebłowania itd. Nie brakło też kontaktów z francuską gastronomią, którą reprezentował godnie znany w kilku okolicznych krajach Perosier, cukiernik. Kucharze francuscy, jak również służba wszelkiego szczebla byli już od dawna zjawiskiem częstym na dworach magnackich. Książę de Lauzun opisując swoje amory z Izabellą z Flemmingów Czartoryską wspomina o niejkiej p. Parisot, którą polecił księżnej, a w loży masońskiej „Bouclier du Nord” zasiada w r. 1819 służący Pierre Duchâteau.

Jeśli tamte dwie kategorie imigrantów francuskich, tj. woj-

skowi i kupcy odegrali sporą rolę w udoskonaleniu techniki życia narodu, dotykając jednak jedynie jego naskórka, to artyści, nauczyciele, literaci wsączali w nas pojęcia zachodu, tak często nieraz sprzeczne z naszymi własnymi i byli właściwymi krzewicielami kultury francuskiej. Datą niejako przelomową był tutaj rok 1661, kiedy to na dworskim teatrze warszawskim przedstawiono „Cyda” Corneille’a w tłumaczeniu w. podskarbiego kor. Andrzeja z Raciborska Morsztyna. Omówienie wpływów literatury francuskiej na naszą mentalność nie wchodzi w ramy niniejszego szkicu, którego tematem jest uwypuklenie rodzaju, ilości i czasu imigracji francuskiej oraz jej wpływu na naszą kulturę, literatura natomiast działała niejako ponad głowami imigracji, używając swoistego „telegrafu bez drutu”, w którym iskrą jest... książka. Język francuski stający się od Ludwika XIV. nowoczesną łaciną Europy, coraz bardziej szerzył się u nas dzięki licznym nauczycielom w domach możnej szlachty, a nieraz bogatego mieszczaństwa. Oczywiście, że nie dociera ani do zaścianków, ani do wioskowej szlachty, choć jak bardzo musiał być wpływ francuski rozpowszechniony w połowie XVIII. wieku świadczy o tym „Żona Modna” Krasickiego, nakreślona na pewno na autentycznych wzorach. Już od czasów reformy szkolnej zaprowadzonej przez ks. Stanisława Konarskiego język francuski włączony został do programu szkolnego, a przedstawienia teatralne w języku francuskim na scenach szkolnych zbliżają młodzież do mentalności francuskiej. Nadto sama Komisja Edukacyjna zasila się Francuzami: w r. 1774 przyjmuje na sekretarza Piotra-Samuęla Dupont de Nemours, przeznaczonego pierwotnie na wychowawcę synów Adama Czartoryskiego. Inny Francuz, Jan Chrzyciel Dubois zostaje, po Filipie Thévenot de Tanny, również Francuzie, bibliotekarzem, sekretarzem i wykładowcą w Szkole Kadetów, najwybitniejszy drukarz ówczesny, Piotr Dufour, wypuszcza z swej oficyny sporo książek francuskich, (ilość szczytowa osiągnie w r. 1787, mianowicie 117 druków). Wśród członków łóż masonskich, z których kilka założonych zostało przez Francuzów, „Les trois déesses” przez Franciszka de Longchamps, „Persévérance” przez markiza de Seignelay, Jan Mioche organizuje lożę w Lwowie, a Jan-Lukasz Thoux de Salverte „L’Académie des Secrets” — znajdujemy sporo nauczycieli prywatnych: Croisy, Dumay, d’Estrac, Fils-jean, Gravin itd. którzy na pewno wpajali w swych uczniów poglądy scharakteryzowane przynależnością do łóż masonskich.

Nie wchodząc w szczegóły, powiedzmy, że i Stanisław-August i jego wujowie Czartoryscy i wiele innych większych i mniejszych osobistości, aż po Stanisława Worcella, znanego socjalistę pocz. XIX. w., wychowanego w Stepaniu przez Galle’a, wyszło z szkoły francuskiej. Pyrrhys de la Varille, pułk. wojsk pol. i autor kilku dzieł o Polsce w końcu XVIII. w. był poprzednio nauczycielem domowym u Radziwiłłów, Norblin przybył do Polski jako nauczyciel u Czartoryskich itd. Dodajmy tych, któ-

rzy zdobyli swój młodzieńczy światopogląd w Szkole Rycerskiej w Lotaryngii, a zrozumiemy jakie silne korzenie francuzczyzna u nas zapuściła.

Artyści francuscy w Polsce, a więc Norblin, miniaturzyści Béchon i Lesseur, Marteau, Desportes, Vésus itd. pozostawili spore ślady swej działalności w sztuce polskiej. Balet polski dużo zawdzięcza Franciszkowi Ledoux, uczniowi słynnego Vestris, założycielowi szkoły baletowej, zaś Jan Chrzyciel Dubois (1753 — 1808), literat, zachęcał Polaków do stworzenia teatru narodowego, a Lemoine wystawił w Warszawie swoje operetki, jak „Bouquet de Colette” (1775). Pinabel de Varier jest lektorem jęz. franc. na uniwersytecie wileńskim, kilku innych Francuzów, — lekarzy — staje się profesorami polskich wszechnic, jak de Virion, Marek Cambon i inni.

Lekarze francuscy są u nas dosyć liczni: już na dworze hetmana w. kor. Jabłonowskiego spotykamy w XVII. wieku przybocznego lekarza Piotra René, jest ich zawsze kilku przy dworze królewskim, praktykują też w Warszawie. Są między nimi ludzie wielkiej wartości, jak Jan Chrzyciel Dupont (zmarły 1801), który leczy wielu ubogich za darmo, jest w r. 1780 naczelnym lekarzem miasta Warszawy, i jako jeden z pierwszych krzewi szczepionki. Zazwyczaj dorabiają się oni majątku: ojciec wspomnianego Duponta, Franciszek, również lekarz za wizyty u Ludwika Marii z Morsztynów Bielińskiej, liczy sobie 150 czerwonych zł. i otrzymuje od spadkobierców plac przy ulicy Senatorskiej.

Duchowni francuscy, których ze względu na ich odosobnioność od reszty społeczeństwa żywot zostawiliśmy na koniec, pozostawili trwałe ślady w kraju, gdyż obok ks. Gabriela Piotra Baudouina, twórcy pierwszego szpitala dla ubogich i pierwszego żłobka, było sporo innych, którzy przyczynili się do moralnej i materialnej organizacji narodu, np. misjonarze, sprowadzeni dzięki osobistej znajomości królowej Marii-Ludwiki z św. Wincentym à Paulo, w r. 1651 do Polski, zapisali w dziejach naszych piękną kartę i dobrze wywiązali się z swego zadania szerzenia wiary. Zresztą pierwszych sześciu superiorów zakonu w Polsce było Francuzami (ks. Lambert Cousteaux, Karol Ozemme, Wilhelm Desdames, Franciszek de Puich, Jakób Eveillard i Paweł Godequin). Wkrótce po przybyciu do Warszawy otrzymali parafię św. Krzyża, gdzie też wiele rodzin francuskich zawierało związki małżeńskie i chrzcilo swe dzieci

O ile te wszystkie kategorie — z punktu widzenia stanu i zawodu — przybyszów francuskich, napływały do Polski zgodnie z własną wolą, o tyle od roku 1790 poczęli zjawiać się u nas emigranci w pełnym tego słowa znaczeniu, opuszczający Francję z powodu rewolucji. Liczba ich — na krótki zresztą przeciąg czasu — wzmoże się znacznie z chwilą przekroczenia granicy rosyjskiej w r. 1798 przez korpus ks. Kondusza celem zajęcia kwater na Wołyniu. Z czasów tych dochowały się licz-

ne pamiętniki wspominające — wszystkie prawie bez wyjątku — naszą gościnność i sympatię jakiej doznali w Polsce. Hr. de Puymaigre pisze np. w swych pamiętnikach: „*Les Polonais s'empressèrent d'exercer une noble hospitalité envers les Français... Les femmes surtout se montrèrent tellement enthousiastes qu'elles nous mirent à la mode*”.⁴) Wydawca pamiętników markiza de la Ferronnays, tak reasumuje nasz stosunek do emigrantów: „*Ce mot d'émigré si décrié ailleurs, était au contraire entre Français et Polonais le mot de ralliement. Il créait entre eux une sorte de solidarité. Le malheur présent des uns était hier celui des autres, eux aussi vagabonds à travers l'Europe*”.⁵) Zjawia się na kresach największe nazwiska francuskie: Polignacowie, (w Tulczynie u Potockich), Choiseul-Gouffierowie, (ambasador Ludwika XVI. w Konstantynopolu, który stamtąd przeszedł do Rosji), d'Abancourtowie, hr. de Marassé, Marcoin de Roccocheval i wielu innych. Czytając o tych dziwnych dziejach garstki „ci-devants”, którzy się upierali przy swej emigracji, nawet wtedy, gdy faktycznie mogli wracać, wnikając w ich codzienne, bolesne przeżycia i troski, śledząc kręte drogi jakimi los prowadził tych wyrwanych z swego kraju i rzuconych na rubież cywilizowanego świata, trudno nie zauważyć Polakowi dziwnej analogii z naszymi emigracjami. Mieszkający w chatach, brudnych żydowskich domach małych miasteczek wołyńskich, ci eks-właściciele zamków i pałaców paryskich istotnie przechodzili ciężkie chwile. Pani de la Ferronnays opisuje jak jej syn musiał spać w piecu piekarskim w jakiejś ruderze wołyńskiej, co go zmuszało do otwierania okna, nawet w zimie, bo zaduch w piecu był nie do zniesienia. A pewnego razu, rodzina La Ferronnays, otrzymuje, niby uśmiech niespodziewany fortuny, wspaniałą prezent od ks. Sapieżyny, posiadającej w pobliżu majątek, w postaci kilku wozów pełnych zwierzyny, masła, cukru, kawy itd. Darowi towarzyszy zaproszenie księżnej do jej majątku. W 40 lat po tych wypadkach markiz de La Ferronnays, opisuje następująco te jedyne w swym rodzaju chwile, gdy znalazł się w pałacu sapieżyńskim: „*Je crus entrer dans un palais enchanté. C'étaient partout des dorures, des tapis, des meubles, des tentures d'une magnificence inouïe. C'étaient encore en plein hiver, des fleurs les plus rares et des fruits merveilleux. On nous servit la chère dans une vaisselle d'or. La châtelaine, en costume d'homme, nous faisait les honneurs avec une grâce et un attendrissement que je n'oublierai jamais. Elle nous avait embrassés, mon père et moi, à notre descente de cheval...*”

W ocenie ciężaru gatunkowego i wartości wpływów francuskich na naszą mentalność, której należałoby poświęcić prace wykraczając oczywiście znacznie poza ramy niniejszego szkicu, trzeba rozróżniać dwa elementy, dwa niejako źródła tych wpływów: obcowanie z Francuzami w Polsce i stąd wynikające wzbogacenie naszej mentalności nowymi nabytkami, oraz wpływ tegoż narodu w Francji, gdzie tylokrotnie Polacy prze-

bywali, począwszy od licznych przybyszów na dworze Stanisława Leszczyńskiego w Lunéville, uczniów w Akademii lotaryńskiej (których było 167), a skończywszy na emigrantach w latach 1794, 1830, 1848, 1863, 1918 i w końcu 1939. O ile w pierwszym wypadku wpływ ów wsaczył się kropla za kroplą, poprzez lata, o tyle w drugim wypadku wpływ ten działając w chwilach stanowczej decyzji, w chwilach, kiedy jedno pytanie zaprzętało wszystkich „to be or not to be”, był niejako piorunujący, porywał na nowe drogi życia, wprowadzał w nowe światy poglądów. Uważam, że okresem bezwątpienia najbardziej decydującym była epoka od 1794 do stworzenia Legionów w Italii, gdyż była ona realizacją hasła literatury z końca XVIII. wieku odawna czytanej i uważanej — oczywiście przez mniejszość — za alfę i omegę rozumu społecznego i politycznego. Dziwny to okres, od 1789 r., kiedy reżimy dwóch państw — Polski i Francji — dochodziły do kresu swej egzystencji, oba potrzebowały zasadniczej reformy, ale każdy z innych powodów i na innej płaszczyźnie (Polska, gdyż wolności stanowe rozsadziły władzę królewską, Francja, gdyż władza królewska skostniała i stany dopominały się inicjatywy) i kiedy w obu krajach uwierzono „w panacaeum” wolności, tak różnie zresztą, w zasadzie, rozumiane tu i tam. Rewolucja francuska dążąca po trupach do wzniosłej abstrakcji wolności oszołomiła patriotów, którzy poprzez tyle zmian reżimu i okoliczności, pozostają jej wierni aż do kongresu wiedeńskiego, a właściwie i poza tę datę. Ten monopol na wolność, jaki Francja umiała sobie wtedy zdobyć, ten subtelny sceptycyzm tego narodu będący zaprzeczeniem wiernopoddanych ideologii reszty Europy, fascynował naszych przodków przez kilka generacji. Od „Esprit des Lois” Monteskiusza, od „Contrat Social” J. J. Rousseau, poprzez piewów wielkiej epopei napoleońskiej, jak Victora Hugo, pełnej dla nas nadziei i obietnic a w końcu goryczy, aż do nowej literatury francuskiej, do dzieł wartościowych, ale też różnych przemijających sław, w rodzaju Prévosta, Pierre Lotiego czy jego słabego odbicia Claude Farrère'a, książka francuska jest częstym towarzyszem przeciętnego polskiego inteligenta. Francja bowiem pozostała — mimo „Entente cordiale” z Rosją, mimo wizyty carów w Paryżu i towarzyszące im objawy sympatii, — ciągle jeszcze krajem wolności, którego urok wzmagał się w miarę jak u nas trzej zaborcy wpędzali nas w coraz ciemniejsze lochy niewoli i starali się zdławić naszą kulturę i psychikę. Ale to wszystko mogło się ziścić jedynie po owych licznych, codziennych, nie-raz bez większego znaczenia, ale trwałych kontaktach z Francuzami, czego bezpośrednim skutkiem było poznanie języka. Uważam, że wielki wpływ Francji na naszą mentalność dokonał się na tułaczce, we Francji samej, ale stał się możliwy przez owe życie się z Francją w Polsce.

Nie można tutaj pominąć często omawianej cechy naszej kultury, mianowicie prędkiego asymilowania obcych przyby-

szów. Ci liczni Francuzi osiedli w Polsce stawali się Polakami z krwi i kości w przeciągu jednej nieraz generacji. Z drugiej strony przypomnijmy, że wielu wybitnych polskich patriotów miało przez matki krew francuską: Józef Sułkowski, syn nieślubny ks. Józefa i Zofii de Fléville, Ludwik Mierosławski, syn Francuski Kamilli Notté de Vaupaleux, Cyprian Godebski wielki rzeźbiarz, syn kapitana legii naddunajskiej Cypriana i Justyny Godfrinon, Wincenty Pol syn austriackiego urzędnika Franciszka Pohla i Leonory Langchamps de Bériér, córki wspomnianego burmistrza Lwowa Franciszka i Genowefy de Mercenier; inna panna Longchamps de Bériér wchodzi w spolszczoną i zasłużoną rodzinę Estreicherów itd. Ciekawa jest w końcu „morfologia” francuskiej emigracji: jedynie dwa a najwyższe trzy pokolenia (i to rzadko), tych rodzin zawierają związki małżeńskie jedynie w swym kółku, co je odróżnia od rodzin pochodzenia niemieckiego lub od „frankistów”.

Jeśli by się chciało ująć w krótkiej formule nasze nastawienie do francuskiej kultury, poznanej w kraju przez napływ jej reprezentantów, a pogłębionej zagranicą, to można by zaryzykować zdanie, że kultura francuska za monarchii została u nas jedynie zewnętrzną polor, ale nie wstrząsnęła głębią duszy narodu. Dopiero epoka rewolucyjna, względnie poprzedzające ją hasła dotknęły naszej czulej strony — umiłowania wolności, Sobiepański „szlachcic na zagrodzie”, drżący nieraz podświadomie w każdym Polaku, „dogadał”, się z burzycielami tronów: wyczuł, że obaj pracować będą nad obaleniem „absolutum dominium”, chociaż — jak to nieraz bywa w szerzeniu się obcych ideologii — nie zauważył wcale głębokich różnic w obu koncepcjach wolności. I dziś jeszcze różnice są olbrzymie: te same słowa mają inny dźwięk w każdym z krajów.

Jan ZADEYKAŃSKI.

- 1) Henri de Valois et la Pologne mquis de Noailles, Paris 1867, 3 t.
- 2) ibidem
- 3) J. K. Wojcicki, *Cmentarz powązkowski*
- 4) cte. Alexandre de Purmaigre *Souvenirs sur l'émigration*, Paris 1884.
- 5) *Souvenirs tirés des papiers du cte. A de la Ferronays par le mquis Costa de Beauregard*, Paris 1900.

Arkusze poetyckie

Barok angielski

CHIDIOCK TICHBORNE (1558 ? — 1586)

ELEGIA, NAPISANA JEGO WŁASNĄ REKĄ
WE WIEŻY LONDYNU PRZED EGZEKUCJĄ

(ELEGY., WRITTEN WITH HIS OWN HAND IN THE TOWER
BEFORE HIS EXECUTION)

*Wiosnę młodości mej mróz troski ścina,
Na ucicie uciech moich — ból potrawą,
O plonie moim kółko przypomina,
W nadziei zwodnej — całe moje prawo.
Dzień przeszedł, ale nie widziałem słońca,
Żyje, a oto żywot dobiegł końca.*

*Słów mych słuchano, chociaż nie zabrzmiały,
Owoc mój opadł — w zielony czas lata,
Straciłem młodość — lecz włos mój nie biały,
Choć świat widziałem — minął mnie wzrok świata.
Przecięto pasmo jeszcze nie uwite:
Żyje, a życie me przecież przeżyte.*

*Shukałem śmierci — w tonie ją odkryłem,
Patrzałem w życie — a ujrzałem cienie,
Po ziemi chodząc — wiem: w grobie mym tkwiłem,
Mam umrzeć — ledwo zacząwszy istnienie.
Klepsydra pełna, a ciecie obficie:
Żyje, a przecież przeżyłem już życie.*

JOHN DONNE (1576 — 1631)

Wschód słońca

(THE SUN-RISING)

Słońce, kpie stary, niesforny, a żwawy,
 Czemu zaglądasz
 Przez okna i kotary nasze? Zali żądasz
 Od kochanków, by w ślad twych pór biegly ich sprawy?
 Idźże, a łajaj, zuchwały nicponiu,
 Uczniów spóźnionych i chłopców w terminie,
 Myśliwym dworskim powiedz, że król już na koniu,
 Mrówki zwotuj, niech każda z plonem się uwinie.
 Miłość jednaką. Nie zna pór roku, ni zmiany
 Stref, godzin, dni, miesięcy. To czasu łachmany.

Iż promienie twe zacne, pełne oraz mocy,
 Nie myśl tak snadnie,
 Przycmiałbym je zmrużeniem powiek, lecz mrok kradnie
 Jej obraz na zbyt długo, — mamże przymknąć oczy?
 Skoro cię nie oślepi jej spojrzenie,
 Zajrzyj tu jutro, znowu o tym czasie,
 I powiedz zali Indii skarby i korzenie
 Są tam, gdzieś je ostawił, czy tu leżą zasie;
 I spytaj się o królów, coś ich widział w świecie.
 Usłyszysz: wszyscy oni tu, w tym tożu przecie.

Ja — to Księżęta, w niej Królestwa żyją.
 Cóż reszta przy tym?
 Księżęta nas udają. Udany zaszczytem
 Jest przy nas każdy honor, skarby — alchemiją.
 Połowy naszych szczęść nie masz w swym stanie,
 Słońce! Bo tak już jest na tym tu świecie.
 Iżes stare — popołguj, a że twe zadanie
 Świat ogrzewać, ogrzałeś już nas dwoje przecie.
 Świeć nam tedy, bo wszędzie blask twój jest rozlany:
 To tożę twoim centrum, a sferą — te ściany.

Anniwersarz

(THE ANNIVERSARY)

Wszystkie króle i wszystkie królów faworyty,
 Wszystka chwata i piękność, dowcip i zaszczyty,
 Słońce nawet, co czasy tworzy z czasów przemijania,
 Starsze o rok od chwili naszego poznania,

Gdym cię raz pierwszy ujrzał, gdyś ty mnie ujrzała.
 Wszystkie rzeczy niszczeją i ginie ich chwata,
 Jenó się nasza miłość nie psuje, ani nie jest chora,
 Bo dla niej jutra nie ma, tak jak nie ma wczora,
 Choć biegnie wciąż, to przecie od nas nie odbiega,
 Pierwszy dzień jak ostatni w wieczny dzień się zbiega.

Kiedys muszą dwa groby ukryć nasze ciała,
 Gdyby jeden wystarczył — i śmierć by nie śmiała
 Rozłączyć nas. Tak jak inni księżęta, co już legli w grobie
 (Bośmy księżęmi przecie: ty mnie, a ja — tobie),
 Śmierci w końcu oddamy słuch nasz, oczy nasze, które byty.
 Karmione przysięgami, co z też słodkich i z też słonych żyty.
 Lecz w duszach mieszka miłość jeno, (inne myśli zasie
 Są w nich gośćmi przez chwilę) miłość więc w swej krasie
 Urośnie mocna i za dusz onych przyczyną
 Z grobów ujdzie nietknięta, kiedy ciała w grobach zginą.

A wtedy błogostawieństw wszelkich dostąpimy,
 Tyle, co drudzy wszako, dzieląc się z innymi.
 Tu na ziemi my króle i nikt poza nami
 Takimi być nie może jak my monarchami.
 Któż od nas bezpieczniejszy, skoro znikąd zdrada,
 Przyjść nie może, chyba że ją z nas dwojga kto zada.
 Lecz po co mieć prawdziwe trwogi albo fałszywe.
 Kochajmy się i wzniośle żyjmy — a lata szczęśliwe
 Przydawajmy do dawnych lat, aż wreszcie wpisać pozostanie
 Po trzykroć lat dwadzieścia. Dziś rok drugi zaczyna nasze
 panowanie.]

Tekst wierszy podług wydania Herberta J. C. Griersona; *The Poems of John Donne*, Oxford, 1912.

GEORGE HERBERT (1593 — 1633)

Śmierć

(DEATH)

Śmierci, ohydny ongi straszny byłeś w świecie:
 Nic tylko kości —
 Smutny twój jeszcze smutniejszej żałości.
 Gębę rozwartaś, ale nie do śpiewu przecie.

Tak ciebie widzieliśmy: sześć minie jesieni,
 Lub zim dziesiątek —
 Zastygną zmysły, zmilknie życia wrzątek
 Ciało — w popiół, a każda kość w kostur się zmieni.

Boć jedną oglądałim tylko twoją stronę:
Widzący mało.
Z dusz opierzonych — skorup stos, proch — ciato;
Proch też nie roni, — innym wyciska tzy one.

Lecz odkąd Zbawiciela śmierć krwi ci dodała,
Twarz barwiąc twoją,
Piękniejsz, wdzięki ciebie liczne stroją,
Świat cię pożąda, jakbyś dobrem była cała.

Wesołą dziś cię widzim, lice ci się śmieją,
Jak w Dzień Ostatni,
Gdy dusze włożą strój nowy, dostatni
I wszystkie twoje kości pięknem się odzieją.

Umrzeć jak zasnąć można, — niech każdy zawierza
Życia połowę
Mogile wiernej, niech tak skłania głowę,
Iżby mógł mieć poduszki z popiołów lub z pierza.

Tekst oryginalny w cyklu *The Temple*, wydanie F. E. Hutchinsona: *The Works of George Herbert*, Oxford, 1941.

RICHARD CRASHAW (1613 ? — 1649)

Na rany ukrzyżowanego Pana Naszego

(ON THE WOUNDS OF OUR CRUCIFIED LORD)

Ach, zali czujne rany Twoje
Ustami abo oczyma są?
Czy usła w nich, czy oczu zdroje,
Członki je karmią własną swą krwią.

Patrz, usta! Ich rozkwitłe wargi
Różam, — droga cena tych róż.
Oko krwią zasłało roni skargi.
Ile okrutnych też ściekło już!

Ty, coś na stopy umęczone
Prócz pocałunków tzy liczne kładł,
Wszystko ci będzie odpłacone,
Przewiny każdej zmazany ślad.

Na stopach usta są i wargi,
By pocałunki optać ci:

By płacić tzy — oko, co skargi
Roni, patrz! stawem klejnotów lśni.

I w tym różnicy ślad jedyny,
(Lecz do obrazu nie będzie wiódł!)
Oto dług płacą tzy — rubiny,
W pertach zaś dałeś pożyczkę wprzód!

Tekst ze *Steps to the Temple*, wydanie L. C. Martina: *The Poems English, Latin and Greek of Richard Crashaw*, Oxford, 1927.

HENRY VAUGHAN (1622 — 1695)

Oto odeszli wszyscy w kraj światłości

(THEY ARE ALL GONE INTO THE WORLD OF LIGHT)

Oto odeszli wszyscy w kraj światłości.
Jeden ja tylko zwlekam, w miejscu stoję.
Pamięć ich tyle ma w sobie piękności,
Że smutki rozjaśnia moje.

lśni, błyszczy w piersi mych skłębionej chmurze,
Jak gwiazda srebrna nad posępnym borem,
Jak błądy promień, co stroi to wzgórze,
Gdy Słońce zajdzie wieczorem.

Widzę ich w górze jak wśród chwaty kroczą,
Światło ich depcze moje dni powszednie,
Dni zaszczone, co w nudzie się toczą,
A każdy gnije i blednie.

Święta nadziejo, pokoro wysoka
Jak szczyty Niebios wśród planet pochodu,
Ten wasz szlak, iż jest wskazany dla oka,
Rozżarzy miłość mą z lodu.

Śmierci, klejnocie prawego człowieka,
Pięknaś, lecz w mroku kryjesz lśniące lice.
Jaka za prochem tajemnica czeka?
Któż przejrzy one granice?

Kto znajdzie gniazdo, skąd ptak opierzony
Wyfrunął, łatwo sam to dostrzec zdoła,
Lecz w jakim gaju, z której śpiewa strony —
Tego nie zgadnie już zgoła.

*Jako Anioły, które w snach czasami
Wołają dusze ludzkie, gdy śpią ciała,
Tak nad zwykłymi wznosi się sprawami
Myśl dziwna, lecąc gdzie chwata.*

*Jeśli kto gwiazdę do grobowca wrzuci,
Blask uwięziony będzie płomień niecił,
Ale gdy dłoń mu bezmiar dali zwróci,
Skroś wszystkich sfer będzie świecił.*

*Ojciec wiecznego życia, z Twojej to woli
Chwata i każde stworzenia ogniwo,
Weź ducha swego stąd, z domu niewoli,
W wolność go wprowadź prawdziwą.*

*Albo mgły rozprosz te, których podróże
Mną perspektywę zacierają w mroku,
Albo mnie zabierz tam, na one wzgórze,
Gdzie szkieł nie trzeba dla wzroku.*

Tekst w wydaniu L. C. Martina, *The Works of Henry Vaughan*, Oxford 1914 tom drugi.

THOMAS CAREW (1595? — 1639?)

Pieśń. Wieczność miłości poręczona

(SONG. ETERNITY OF LOVE PROTESTED)

*Niegodzien ten kochanka imienia ni sławy,
Którego płomień niemrawy
Nie umie zachować gorąca
W czas rozłąki, lub gdy go wzgarda dotknie drwiąca,
Lecz jak papier, co w ogniu ulega zniszczeniu,
Wygasa w jednym oka mgnieniu;
Prawdziwa miłość siedzib swych nie zmienia,
Ni nie kochał kto uciec mógł od jej natchnienia.*

*Ten płomień cny, któremu pierś daje mieszkanie,
Nawet i wówczas się ostanie,
Gdy duch z ziemskiego wyjdzie łona;
Choć ciało moje umrze, miłość z nim nie skona.
On wtedy do najniższych zejdzie ze mną cieni.
I nawet barwy swej nie zmieni,
Albowiem popiół mój, w urnie zamknięty,
Na wieki będzie płonął jako ów znicz święty.*

Tekst oryginału w wydaniu Arthura Vincenta: *The Poems of Thomas Carew* (The Muses Library), London, Lawrence & Bullen, 1898.

ANDREW MARVELL (1621 — 1678)

Do cnotliwej damy

(TO HIS COY MISTRESS)

*Gdybyśmy czasu mieli dość na świecie,
Twoja skromność zbrodnią by nie była przecie.
Usiedlibyśmy, myśląc w kolejności,
Jak mamy spędzać długi dzień miłości.
Ty znajdowałabyś, gdzie Ganges siny,
Nad brzegiem rzeki indyjskie rubiny,
A ja, gdzie Humber płynie, tu bym szlochał!
Dziesięć dni przed Potopem — też bym kochał!
Odmawiałabyś mi wedle zachecenia
Wciąż, aż do czasu Żydów nawrócenia.
Miłość ma, większa niż królów krainy.
Rostaby wolno wszakże — jak rośliny.
Wtedy by trzeba było stu lat zgola,
By oczy chwalić twe i piękność czota;
Dla każdej piersi lat dwustu, nie więcej;
Dla reszty — chyba trzydziestu tysięcy.
Wiek więc by przypadł każdej części ciała:
W ostatnim serce byś mi pokazała.
Wszystko to godne twych, Pani, przymiotów.
Do gorszych nie byłbym zdolny zalotów.
Lecz za mną słyszę wciąż: skrzydłami chyży
Gna rydwan czasu — coraz, coraz bliżej.
Przed nami zasie, aż wzrok w dali ginie,
Leżą ogromne Wieczności pustynie.
Nikt tam piękności nie znajdzie po tobie,
Ni ci nie zabrzmi w marmurowym grobie
Echo mej pieśni, lecz za to robactwo
Stoczy twej cnoty chronione bogactwo.
Twój dziwny honor zmieni się w popioły,
A w proch — mej chuci płomienne żywioły.
Grób — to prywatny dom, najlepszy w świecie,
Lecz wiem, nikt w nim się nie oblapia przecie.*

*Tedy, gdy teraz zdobiją lice twoje
Barwy młodości jak zórz rannych stroje,
I gdy przez wszystkie duch paruje pory,
Do nagłych ogni ciągle jeszcze skory,
To zabawiajmy się, jeśli los sprzyja,
Jak ptaki, które miłość w mig upija.
Czas cały jednym tchem raczej pochłoniemy
A w mocy jego gnusnej ciał nie chrońmy.
I wszystką siłę, stodec, śmiech i ból
Toczmy, aż jedną utoczmy z nich kulę.*

Zrywajmy rozkosz, aż się z nią przepchamy
 W trudzie przez życia złe, żelazne bramy.
 I tak choć wstrzymać nie potrafię słońca,
 Poganiać będziem niebieskiego gońca.

Tekst oryginału w wydaniu H. M. Margoliuth: *The Poems & Letters of Andrew Marvel*, Oxford, 1927.

ROBERT HERRICK (1591 — 1674)

Wiśnie świeże

(CHERRY RIPE)

Kup wiśnie świeże — sam sok! świeże! —
 Wotam, — kto kupi, sam wybierze.
 Skoro sam sok, spytasz mnie o nie,
 Gdzie rosną? Rzekę: W onej stronie,
 Gdzie wargi Julii uśmiech stroi
 Tam kraj, tam Wyspa Wisien stoi!
 Rok cały na niej — zimę, wiosnę —
 Widać gdzie w sadach wiśnie rosną.

Tekst podług wydania F. W. Moormana: *The Poetical Works of Robert Herrick*, Oxford, 1915, — wyjęty z *Hesperides*.

RICHARD LOVELACE (1618 — 1658)

Do Lukasty, jadąc za morza

(TO LUCASTA, GOING BEYOND THE SEAS)

I.

Ma nieobecność zali rzec przyzwala,
 Że będę z dala,
 Zali przez to odejście moje
 Samotni będziemy oboje?
 Bo jeśli tak, Lukasto, nieś mi trza błaganie,
 Prosząc wiatr szumny, fale żartoczne — o zmiłowanie.

II.

Lecz nie, nie westchnę do burz, iżby nagle
 Wydęły żagle,
 Ni nie przekupię tą wód króla,
 Co wśród fal modrych w pianie hula.

Bo czy on da czy nie da przejść poprzez fal grzywy,
 Będę, jak byłem dotąd, zawsze jednako szczęśliwy.

III.

Choć ląd nas dzieli i móż niepomierność,
 Wiara i wierność
 Na kształt dusz dwojga, dwu płomieni
 Dzierżą rząd czasu i przestrzeni.
 Wśród sfer się spotykamy, gdzie górne żywioły —
 Niewidziani — nieznani — witamy się jak anioły.

IV.

Tam wyprzedzamy los, widząc z daleka
 To, co nas czeka,
 I żywi trwamy wśród niebiosów,
 Dopóki z naszych oczu, głosów
 Mowa płynie ta sama, którą wolne duchy
 W niebie mówią, rzuciwszy ciało ziemskie jak strój kruchy.

Tekst oryginału z *Lucasta*, według wydania G. H. Wilkinson: *The Poems of Richard Lovelace*, Oxford, 1925.

Przekłady Jerzego PIETRKIEWICZA.

Wszystkie utwory wyjęto z *Antologii liryków angielskich*, zawierającej sto dwadzieścia przekładów. Przedruk, nawet w wyjątkach, zastrzeżony. — (REDAKCJA).

Kawiarenka artystów

Za wiotkim płotkiem niskiego bufetu
 Szczał talerzy, blask sztućców, żarówkowe żary.
 W misach sosy, szkarłatne salami, pstrokate jarzyny.
 A nad bufetem świeża buzia Katarzyny,
 Jak rumiane pieczywo. Katarzyna, Katarzyna;
 Mądra Katarzyna o oczach ognistych
 Kraje szynkę nożem węższym od sztyletu,
 Nucając cicho o wiązankach wina
 Wczesną jesienią, Wtórują jej świsty
 Brązowego kotła, co sapie od pary,
 Dudniąc w kącie, gdzie drżą szklane czary
 Szklanek dźwięczących rzewnie, jak wilg złote gwizdy.
 O, Katarzyno, Katarzyno ładna!
 Co masz bardziej pięknego, czy fiołkowe oczy?
 Czy maleńkie uszka, gdy puch je ciemny otoczy
 Miłego uczesania? Czy różowe policzki? Tak zdrowe,
 Że w parze z nimi nie może iść żadna
 Z najświeższych malin i róż razem wziętych.
 Wiem: jeszcze są śliczne piersi, białe i puchowe,
 Jak śniegi na polach łagodnych; o, tych jeszcze trzeba pod
 pod bluzką zapiętych,
 By cię bardziej lubić! Za szyi blask, ramiona okrągłe,
 Za słodkie uszka, które złoty cień kolczyka bezboleśnie broczy;
 Za pełne, mocne usta, za oczy ciepłe, ogromne i mądre —
 Niech się to zdanie jak perła potoczy!
 Niech się ta piosenka w stu perłach ubrocy.

Nadmorski park

W starym, bezludnym, ciemnym parku,
 Gdzie widać tylko rude chmury,
 A w głębi morze, jak zwierciadło
 Lśni twardo; jakby się mleko zorzy zsiadło,
 Chociaż w pobliżu śnieżne jachty,
 Chociaż już sporo mew usiadło
 Na żaglach; nie błyska nawet jeden promień!
 Park jest surowy i ponury,
 Jak zamek w nim z ozdobną basztą.
 Cóż mi pomoże słońca płomień
 Nagle włączący w gardła masztów?
 Co mi zwierciadło morskie powie,
 Gdy widzę tylko chmury w parku,
 Odbite słońcem w oknach zamku,
 Jak straszne i szkarłatne płachty?

Ryba bałtycka

Kto kąpał się w modrym Adriatyku,
 Lub pływał w siwym morzu Kaspijskim,
 Kto stał na zielonych wodach morza Martwego,
 Albo jadąc morzem Czarnem wzdychał za Tyflisem,
 Ten będzie tęsknił po naszym Bałtyku,
 Gdzie sosny na pomorskim brzegu z piasku ametystowego
 Wyplukują korzenie i muszle; a ryba bałtycka,
 Czasem dopłynąwszy do Anglii, wesoło pluska ogonem, gdy w
 Tamizie błyska.

U sprzedawcy szarf

Cieniu, przystańmy w szybie wystawy.
 Z dala od blasku stolicy. W maleńkim sklepiku.
 Tu sprzedają stare albumy. Tu też w ramach z niklu
 Żółkną otyłe tancerki; niegdyś modne.
 Ciała ich nawet teraz są jeszcze tegie, żwawe i pogodne.
 Choć tancerki dawno umarły. Choć nie ma ich sławy.

— Dzień dobry! — Czy mógłbym rękę w tych książkach
 zanurzyć?

Otworzyć albumy? Tancerki ożywić i z książek wypłoszyć?
 Między szorstkimi kartkami, zduszone w rozkoszy;
 Może w bólu? — lub może w rozpaczach?
 Znajduje barwne przekładki; wstążki, czyjs włos złoty, zapom-
 miany, duży!

I czyjaś purpurową szarfę, jaka nic nie znaczą.

Patrzę na odcisniętą śnieżnie w skórzanej okładce
 Białą szyję łabędzia; złoty podpis, odcisk palców aksamitnych.
 Wzruszenie nadchodzi, porywa! I tancerki żyją!
 Z kart nagle odpływają. W powietrzu wirują. Na posadzce
 Błysnęła jedna. Za nią spłynął szelest ich stóp nieuchwytnych.
 Oprzytomniałem. — Chcę pierwszą, tę z rozkoszną szyją!

Znajoma w chustce

Przechodząc miastem, lękasz się pustki
 Otwartych placów, skąd się pojazdy wyniosły
 Cicho. Skąd znajomej cień przesadnie rosły
 Mającąc na murach, wychodzi naprzeciw, aż z różowej chustki
 Odgadniesz twarz i oczy, oddychając z ulgą.

Potem z małego domku na cichej ulicy
 Pada kilka akordów muzycznych. Jedne jak garść śniegu
 Kruche; inne żwawsze, swawolne, jak chłopcy psotnicy
 Bijący w bramy, jak w blaszane pudło
 Odrzmiewające głębokim hałasem, co razem
 Daje huk i wrażenie, że pytasz obrazem:
 Co to jest muzyka? — Kamień rwany zębem blasku,
 Rozłamany w pierścionku, gdzie jak mleczna kropla
 Kipi, otoczony krasą niebieską na brzegu;
 Albo jak kropla rosy zielonej, która na obrazku
 Z natury rozmazana deszczem, zwisa jak soczysty sopel
 Jęczmiennego kłosa, rozwiana od wiatru
 I ciężka ziarnem, niby pszczoła tłusta.

W wąwozach ogrodu, gdzie słowicze szluchy
 Płaczą się z akordami zwinnymi jak krawki
 Muzycznej gonitwy, które z okna toczy
 Niewidzialna ręka, odpycha jak szklane talerze
 W powietrzu; skąd nuty, jak okrągłe grochy
 Paryskiej sukni drukowanej w prążki,
 Albo w złote cyfry; w lekkie, kryształowe klucze,
 Igrają. Wszystko drży. Także włosy krucze,
 Jak nocy skrzydło; mało znane usta
 Nie odwiedzane nigdy przez pocałunki, a tak świeże.
 Jak rozchylone usta róży — zanurzonej w miodzie!
 Chociaż nie umiesz całować na pamięć, zamknij oczy:
 Niech będzie całkiem ciemno w ogrodzie.

W kilkunastu zdaniach

Przyrzekła przyjść wczoraj wieczorem,
 Mnąc szal pajęczny w ciepłych dłoniach.
 — Dobranoc, drogi. Nie zapomnij. —
 Jeszcze ten szept na jasnych skroniach
 Pamiętam.

— Zadzwoń do mnie!

Pamiętam.

Pamiętam także pociąg. Poza torem,
 Murem, domami, pióropusz prychnął barwnych ogni
 I zgąsł na dachach. — A ja z iskrą
 Lokomotywy, tak szczęśliwy,
 Przepycham się przez gwar przechodni,
 Z jej twarzą w myślach, jakże bliską!
 Długo dzwoniłem i czekałem.
 W gniewie zatariłem ślad różowy.
 Lecz w myślach wraca uporczywie. Smutnie stałem
 Na miłym miejscu dawnych spotkań;
 Gdzie chłód zabawny i cień wyjątkowy.

Żołnierka

Warto zbłądzić w kolejce podziemnej,
 Gdy tłum odpływa, niknąc w dali.
 A głąb zatrzasnął nowy pociąg. Wrzask.
 Przeleciał. Dudni, stukając, w murze ciemnej.
 W tunelu znów łagodny blask,
 Zieloną perłę żarząc, ciemność pali.
 Inny tłum schodzi do studni.

Na przedzie, mknąc, żołnierka młoda
 Ubrana w szary, długi płaszcz,
 Uśmiecha się do wszystkich. Jej krok ścisły
 Obnaża ciężkie nieco biodra;
 Wyraźne, krzepkie ciało. Zaś soczyste
 Usta się śmieją do lusterka,
 Gdy rude włosy poprawiając, policzki ciepłe głaszczce.

Jakież to strumień śmiałej urody
 Nagle zabłysnął w mrocznym podziemiu!
 W grubej, sukiennej bluzce drżą piersi
 Kształtne i zdrowe, jak kark jej młody.
 Silne są plecy; oparte w cieniu.
 Twarde ramiona. Szyja w swej dumie
 Wpół zanurzona w jedwabnej chustce.

Czy śnie? Gdzie jestem? Skąd te czerwone
 Włosy o brzasku? Umyte chyba w zimnym winie?
 Niebieskie oczy zaryte teraz w cieniu lampy.
 Mundur i płaszcz pospiesznie na łóżku porzucone.
 Też czapka żołnierki tu niewinna.
 Słyszysz dziewczynę smacznie śpiącą. Oddech płynie;
 Porusza zwinny brzuch jedwabny, jak słodkie koło z amarantu.

Po cóż ją budzić? Niech śpi smacznie
 Urózowana swą rozkoszą. Śnieżne zęby
 Przez sen obnaża; na piastce śpiąca swej różowej.
 To lekki blask porannej gwiazdy przeszedł tędy
 I zasnął, drżąc. Już świt się zacznie.
 Nie budźmy jej, niech zdrowo śpi w omdleniu rudej głowy,
 Całując na dzień dobry jej kark pyszny.

Marian CZUCHNOWSKI.

Piosenki na drugie skrzypce

Wargi moje łekliwe śpiewajcie chorał Pański
w godzinach czarnych zwątpień i w jasnych chwilach łaski,

śpiewajcie wargi moje gorący hymn złej wiary,
nim przyjdzie Sen, nim przyjdzie Zgon, nim będę stary.

O życiu i o śmierci prawie że nic nie wiemy
i nic się nie dowiemy i właśnie tak pomrzemy.

Jakie jest imię Jego, pytamy — imię Czyje?
odkryknij mowo ludzka czy umarł On, czy żyje?

Powiedzcie, bo nie wiemy o słowa wy serdeczne,
żyje nasz Bóg Przedwieczny, a jeśli — tak! czy wiecznie?

Przyjdzie On sądzić nas, obudzi się czy wskrześnie,
jako ten głos sumienia, co budzi nawet we śnie?

Pluśnie On jak ten kamień w przepastne duszy zdroje,
w jaką to wodę, w serce moje?

Zagraj szczerze i prosto grajku, słuگو muzy,
bo najlepszy ten grajek, kto najprostszy muzyk.

Nie strój dud twych dudziarzu ino graj mi od ucha:
kto fałszuje niech ufa, że go Pan Bóg wysłucha.

Nie ma na ziemi pieśni wielkiej lub doskonałej,
to co człowiek wydumał to jeszcze wszystko mało.

Bo pomyśl, cóż zostaje, jeśli nie to, co było.
Uwierzyłeś?... a oto, umarło i nie dożyło...

Tak piosenka piosenka strzeż mnie, chroń mnie jak umiesz,
niech ja zagram najprościej i nie więcej jak umiem.

Tylko palcem trącona tamta najniższa struna
to jest dowód po prostu żem się szczerze zadumał.

No bo jakże mi wznieść się, kiedy niebo zbyt nisko,
właśnie! niebo dzisiejsze, pełne krzykliwych istot.

Z czym pośpieszę na pomoc własnemu rozumowi,
gdy w starej izbie domu świerszcz skrzypi, czarny słowik?

Jakiż będzie ratunek młodzieńczej nierozwadze?
jaką wodą ją skropię, jakim ziołem okadzę?

Bunt się zatlił w poezji i przeleciał po ranach.
Poszumiało we włosach jak w kościelnych organach.

Zabulgotało w trzcinach, konwiami zastukało,
nachyliło się nisko spragnione moje ciało.

Ale źródło nie trysło z kamiennej pustej skały,
jedne usta spragnione schylały się, schylały...

W moich nutach skrzypcowych dla wszystkich coś, każdemu!
tylko mnie już najtrudniej przebywać w nich... — (samemu) —

Wiem, że nie ma ni jednej chłodnej, ustronnej studni...
a poezja jak upał w najskwarniejsze południe!

Jan LESZCZA.

„KRONIKA”

niezależny tygodnik demokratyczny.

Adres redakcji i administracji:

Eppstein-Taunus, Hotel Bienberg
US Zone, Germany.

Przedstawicielstwo we Francji:

Librairie «LIBELLA», 12, rue St-Louis en l'Île,
Paris IV^e (Metro: Sully Morland). Prenumerata
roczna 480 frs., półroczna 240 frs. Cena pojedy-
nczego egz. 10 frs.

Prenumerata zagranicę wpłacana w markach na terenie
Niemiec kosztuje rocznie 52 DM.

„POLSKA WIERNA”

jest najstarszym i najpoczytniejszym
tygodnikiem społeczno-religijnym
Polaków na Obczyźnie

Cena pojedynczego egzemplarza 15 Frs.

Prenumerata kwartalna 180 Frs.

Zamawiać: 263-bis, rue St-Honoré — PARIS 1^{er}

C.C.P. 4955-03

Już ukazał się Nr 3 miesięcznika

Ruchu Chrześcijańsko-Społecznego

UNIVERSUM

zawierający m. in. artykuły Z. Abdanka, M. Brzezińskiego,
Al. Janty, Dr J. Jasnowskiego, B. Kopcia, R. Wragi,
W. Zaleskiego i inn.

Cena numeru (sprzedaż i prenumerata z przesyłką pocztową) w Anglii 1 sh. (Red. i adm. 17, Penywern Rd., London SW 5), w Niemczech 80 fen. (Red. i adm. Muenchen-Allach, Waldhornstr. 25).

PRZEDSTAWICIELSTWA w innych krajach: **Argentyna**, Libreria Polaca, Av. Leandro N. Alem 641, Buenos Aires; cena 1 pes.; **Belgia**, Librairie Polonaise en Belgique 42, rue Defacqz, Bruxelles. Cena 8 fr. b.; **Holandia**, Poolsch Aalmoezener, Gasthuistr. 45, Heerlen (Limburg). Cena 80 cent. tylko w prenumeracie; **Kanada**, Polish Book and Newspapers Agency, 107, Givins str. Toronto, Ont. Cena 25 cent., z przesyłką lotniczą 70 cent.; **Stany Zjednoczone**, L. Dudarew-Ossetyński. «Wilno», Ventoura Boulevard, Agoura, P.O. Box 113, California, cena 25 centów; z przesyłką lotniczą 70 centów; **Szwajcaria**, «Pod Prąd», Fribourg 1, case postale 155, cena 60 rp.; **Włochy**, J. Grochowski, via della Croce 81/8, Roma, cena 80 lir.

Podane wyżej ceny dotyczą zarówno sprzedaży poszczególnych egzemplarzy, jak i prenumeraty z przesyłką pocztową. Czytelnicy z innych krajów proszeni są o przekazywanie należności do administracji w Londynie.

Na żądanie administracja w Londynie lub w Monachium wysyła bezpłatnie numery okazowe.

Ścieżki

Maritain miał rację?

Nie pamiętam bym kiedy zaczął czytać artykuł Zbyszewskiego-Nienaskiego i potrafił się od niego oderwać. Czytam go zawsze z pasją, nieraz ze złością, ale zawsze do końca. Ileż nieścisłości na każdym kroku, wprost błędów. W jednym artykule Zbyszewski nam ukatrupił Daniela Halévy (żyje zdrow i cały), w drugim na katolicyzm przeprowadził Bierdiajewa (nigdy katolikiem być nawet nie zamierzał) itd. itd. Te nieścisłości wpływają po pierwsze z wielkopańskiej i karygodnej nonszalanckiej, którą się jakby szczyci, z drugiej jednak strony z warunków nieznośnych, w których żyjemy wszyscy: gdzie czas, gdzie biblioteki, by sprawdzić cytat, by nie wpaść w te nieścisłości i błędy. Wpadamy w nie wszyscy, pisząc bez tchu, korygując po nocach, albo nie korygując wcale.

Dlaczego artykuły Zbyszewskiego przecież tak przykuwają — bo jest w nich zawsze świetny talent i ten ton gwałtownie osobisty, to „ja”, którego w literaturze bronie, bo ratuje czytelnika od deklaracji, bezbarwnych odezów, martwych zbiorowo wypracowanych i nikogo nie obrażających banałów. Zbyszewski we „Lwowie i Wilnie” i „Wiadomościach” napisał dwa artykuły o mojej książce. Zdaje się, że nie wypada reagować na krytyki, a jeszcze mniej być tym psem, który kąsa rękę, która go głaszcze i poklepuje. Zbyszewski niemniej poruszył kwestię zbyt istotną, by mógł milczeć. Pomijam furę komplementów równie nieścisłych, jak zgon Daniela Halévy, czy katolicyzm Bierdiajewa. Ileż się napracowałem, ile napisałem artykułów napastliwych i namalowałem „gorszących” obrazów, żeby rozbić legendę „dobrego Józia” (niech się Zbyszewski spyta moich najbliższych współpracowników, jaki jestem „dobry”). Już w Polsce to mi się udało. Spotkany przypadkowo malarz w Żabiem po parogodzinnej rozmowie ze mną dowiedział się o moim nazwisku, znał mnie tylko z artykułów, powiedział mi: „A więc to jest

Pan? A ja sobie wyobrażałem, że Pan jest mały, czarny, gorzki i zły". A teraz nagle pod piórem Zbyszewskiego znowu wypływa jak Francuzi mówią „ce chien crevé”, jakiś obrazek nieistniejący „dobrego Józia”. Ale nie o to chodzi.

Chodzi o stosunek do Rosji. Nie jest on u mnie wcale stosunkiem „wytornego” podróżnika, pół - Prousta, jadącego do Rosji z wycieczką, a jest wyrazem stanowiska człowieka i Polaka, który przeżył wiele lat w Rosji, nienawidzi tego co w Rosji haniebne, podziwia to, co podziwu godne. Stosunek taki wydaje mi się jedynie godny pewnej polskiej tradycji, w piśmiennictwie polskim przeciw dominującej tradycji Mickiewiczów, Norwidów, Brzozowskich i tysiocy pomniejszych. Tej tradycji, od której się wyłgać nie możemy, obowiązuje nas, albo musimy ją wyraźnie przekreślić i zwalczać. Grydzewski mi kiedyś mówił, że mógłby z łatwością zrobić antologię ustępów w duchu brutalnego zoologicznego nacjonalizmu w literaturze niemieckiej i że taka antologia mogłaby mieć wysoki poziom literacki. Takiej antologii z literatury polskiej nie byłby — jak twierdził — w stanie zrobić inaczej, jak na poziomie bardzo niskim.

Uraganie na Rosję, kolorowe i zabawne fałszowanie rzeczywistości „z uniesieniem febrze podobnym” dlatego, żeby mieć jeszcze pretekst Rosję osmarować, wydaje mi się dziś politycznie szkodliwe i demoralizujące czytelnika.

Okropne jest to „dokoła Macieju” w polskiej literaturze. Chciałbym zamiast polemizować ze Zbyszewskim, najprościej słowo w słowo powtórzyć co śmiał pisać Norwid podczas powstania w 1864 r. do Mariana Sokołowskiego.

„Jak Duchński im wyrznie krzepko: „Moskal - Chińczyk”, to będą uradowani, a jak kto ostrzeże, że dziś: **NARÓD SIĘ SKŁADA NIE TYLKO Z DUCHA, KTORYM SIĘ RÓŻNI Z INNYMI, ALE I Z TEGO CO ŁĄCZY**, i że nie można wyciąć w pień na 20 mil kwadratowych koło Polski, aby w niej był narodowy poeta i narodowy historyk, to oni pluną na ciebie — aż tym sposobem podniosą patriotyzm nieprzyjaciela, jak zrobili i wściekłość wrogów i zręczne usunięcie się przyjaciół spowodują. Każdy anachronizm te ma zawsze owoce”.

Nie wiem ile jest mil kwadratowych tych terenów, które Zbyszewski zamierza zniszczyć od granicy polskiej do Pamiru i Kamezatkan, więcej w każdym razie niż ten pas 20 mil kwadratowych.

Nie chodzi o to, czy Kocham Rosję, czy jej nienawidzę. Chodzi o to, że wykreślić jej z historii żaden Polak nie potrafi, że jej historia, literatura, należą do kultury świata, że miała ona i ma dotychczas ogromny wpływ na formację umysłową na Zachodzie wcale nie tylko negatywną.

Trudno jest polemizować ze zdaniem takimi jak „Bóg stworzył Rosję, by była jednym wielkim naturalnym więzieniem, olbrzymim łagrem — i żadne zmiany zewnętrzne nie mogą tego wyroku Bożego odwrócić.” (Cóż za poufałość z Panem Bogiem i znajomość jego wyroków!) „Nie ma dobrych Rosjan, bo w

tym kraju nie ma ludzi — są tylko raby i niewolnicy”. Czym można tłumaczyć takie zdanie? Jedynie wyznaniem w tymże artykule, że Rosja wszystko jedno jaka budzi w Zbyszewskim „wstręt, odrazę, pogardę, bardziej niż nienawiść”.

Nie posądzam bynajmniej Zbyszewskiego o świadomą chęć podbijania narodowej megalomanii, bo czytałem zbyt wiele uwag z jego artykułów, wobec Polaków skrajnie krytycznych. Ale jaki może być rezultat **konkretny** takiego pisania. Polak, czytający Zbyszewskiego z równym smakiem jak kiedyś Duchńskiego, idzie po linii najbardziej bezpłodnej i bezmyślnej idiosynkrazji.

Wszystkie teorie polityczne wobec Rosji są według Zbyszewskiego „dziecinne”, bo ani Jedinaja Niedielimaja, ani państwa narodowe! Przyznanie państw narodowych zmusiłoby do przyjęcia faktu, że istnieje taki naród ukraiński, że Ukraińcy to nie tylko „hajdamaki”, jak lubi o nich pisać Zbyszewski, o których nie warto mówić inaczej, niż z lekceważeniem i nienawiścią.

Pism polskich coraz mniej. Zbyszewski należy do paru najinteligentniejszych publicystów polskich na emigracji. Czy się on orientuje, że go czytają także ludzie **uczciwi**, którzy z tego co czytają chcą wyciągać **czynne wnioski**, a nie tylko lechtać swoją wrażliwość artystyczną. Jakie **czynne wnioski** może wywołać taka publicystyka poza odruchami bezkrytycznej nienawiści i „podniesieniem patriotyzmu nieprzyjaciela, wściekłości wrogów i zręcznego usunięcia się przyjaciół”.

Nie wiem skąd wie Zbyszewski, że jestem już taki wzorowy katolik, i to należy do komplementów skrajnie nieścisty. Niemniej jednak mam prawo postawić zarzut Zbyszewskiemu, właśnie nie pod kątem katolicyzmu, bo on swój katolicyzm stale podkreśla. Dwa jego artykuły o mojej książce są tak głęboko niechrześcijańskie, że zdaje mi się żaden myślący katolik takich artykułów napisać nie ma prawa, tak wyklinać, tak nienawidzieć, tak deptać tę, jak mówi autor, „krajną szatana”.

Pamiętam w dzieciństwie, kiedy mnie moja Matka, na prawdę wzorowa katoliczka, więcej, bo prawie święta, uczyła katechizmu. Gdy zachodziła mowa o piekle zawsze się Matki pytali kogo nam pozwoli do piekła wyprowadzić — zawsze odpowiadała, że nikogo, że o nikim, absolutnie o nikim, nie można mówić, że jest skazany, że łaska Boża czuwa nad każdym i że nie ma takiego, którego by ta łaska na pewno opuściła. Wtedy prosiłszy ją przynajmniej, żeby nam już Judasza oddała, że ten i Pana Jezusa zdradził i powiesił się, więc już na pewno musi być w piekle. Zawsze miałem tę samą odpowiedź: „Nie, nawet o Judaszu nie wiadomo, czy jest w piekle”. Zdaje mi się, że to jest stanowisko katolickie i chrześcijańskie. A jeżeli nie wolno przekreślać człowieka, zapominając, że jest on na obraz i podobieństwo Boga stworzony i że z najgorszego mroku może się wyzwolić, nie wolno również pisać z prostacką pogardą o całym narodzie. Już nie mówiąc o tym, że politycznie jest to błędem, a pedagogicznie dla polskich czytelników rozsy-

panych po świecie, obdartych ze wszystkiego, z wymordowanymi czy uwięzionymi przez Rosjan bliskimi — to najgorsza, trująca strawa.

Nie wiem dlaczego liturgiczna formuła „rab boży” wywołuje w autorze artykułu taką anty-prawosławną zgrozę. „Kto jako wolny jest wezwany, jest niewolnikiem chrystusowym”, pisze św. Paweł, a on wiedział co jest wolność, która nie jest „zasłoną złości”. Według Zbyszewskiego cerkiew prawosławna, to „kościół Antychrysta”. Jeden z najwybitniejszych tutaj pisarzy katolickich, jezuita ks. Danielou tak o tym kościele „Antychrysta” pisze: „Myśl prawosławna rosyjska wykazuje dzisiaj dużą vitalność. Trudno jest zmierzyć wagę jaką będzie miało dla przyszłości zbliżenia między kościołami, obecność w Paryżu od 25 lat kilku największych myślicieli religijnych i teologów prawosławnych”. Danielou wymienia Bułgakowa, Bierdiajewa, Łoskiego, Fłorowskiego, Kartaszowa i innych, wymienia ich dzieła, które „pozwoliły myśli katolickiej nawiązać znów kontakt z całym bogactwem teologii wschodniej, z której od wielu wieków czerpał jedynie kościół prawosławny”. Danielou, polemizujący tutaj z marksistami, egzystencjonalistami, autor szeregu dzieł o teologii mistycznej o platonizmie i o ojcach kościoła, zdaje mi się w tej dziedzinie bardziej kompetentny niż Zbyszewski.

Ludzie prawosławni są dzisiaj rozmieleni po świecie lub w Rosji w katakumbach. Nie mogłem pisać o tym w książce mojej wszystkiego. Zbyt się bałem ludziom przypadkowo spotkanym zaszkodzić, ale jest to faktem. Nie umiem również zapamiętać o płytach XVIII-wiecznych zapisanych cyrylicą, płytach nagrobnych, rosyjskich zakonników, na których siadywaliśmy w Griazowcu, gdzie pod bladym niebem wołogodzkiem stały ruiny wysadzanej w powietrze cerkwi i gdzie 400 polskich jeńców zastąpiło ponad 1000 jeńców fińskich, by tam przez dwa lata mieszkać w grubych murach klasztornych. Nie umiem zapomnieć ani tej dziewczyny, która mi tajemniczo pokazała krzyżyk na szyi, ani staruszki, chowającej strzępek papieru cyrylicą niezdarnie zapisany, — modlitwę przedśmiertną, którą prawosławni tam kładą na twarz w chwili konania, zamiast zakazanych modłów kapłańskich. Nie zapamiętam również tego pułkownika armii czynnej, sowieciarza, który w 10 minut po poznaniu mówił mi, jak bratu, o cerkwi rosyjskiej w katakumbach, choć wiedział, że słowo niedyskrecji z mojej strony o tym co mi mówił, byłoby jego zgubą. W „Via dei fiori” opisałem los kilkunastu zakonnic rosyjskich, które jeszcze w 1941 r. czy 1940 cierpiały w obozach, były sądzone, a trzy zostały skazane na śmierć, bo żadna z nich, chociaż były wszystkie morzone głodem, nie zgodziła się na pracę dla władzy sowieckiej, dla władzy „szatana”, jak one mówiły. Było to 24 lata po zdobyciu w Rosji władzy przez partię, która wszelkimi metodami, morderstwem i zsyłką, sztucznie montowanymi konkurencyjnymi „kościółkami” likwidowała wszelką religię — „opium dla ludu”.

To wszystko są fakty. Zbyszewski nie może nie wiedzieć, że prawosławie miało także swoich świętych, swoich pustelników, ascetów, starców aż na najdalszej północy, że literatura rosyjska, którą tak ucywilizowany Zbyszewski tak się brzydzi, dała wśród tylu innych niezapomnianych religijnych postaci, postać tak cudną i tak franciszkańską jak starca Zosimę z „Braci Karamazowych”. Historycy literatury wiedzą dobrze z jakiego żywego modelu Dostojewski postać tę stworzył.

Nawet w publicystycznym artykule nie wolno w okresie, kiedy prawosławie jest w katakumbach, mówić o nim, jak o kościele antychrysta.

W okresie tragedii warszawskiej napisałem list otwarty do Maritaina i Mauriaca. Liczyłem naiwnie, że chociaż jeden z nich się zdobędzie wtedy na głos niezależny, taki, na który by się zdobył jakiś Zola, czy Peguy, czy Żeromski, czy jakiś „moskal” Lew Tołstoj. Byłem naiwny. Mauriac był wówczas jeszcze po uszy w próbie symbiozy gaullistów z komunistami poprzez Resistance, a Maritain, Ambasador de Gaulle'a przy Watykanie, patrzył najbardziej niechętnym okiem na ten drobny epizod warszawski, bo wspomnienie o nim mogło przeszkodzić w zmontowaniu stosunków Francji, Watykanu z „ludowymi demokracjami”, a poprzez nie ze stalinowskim marksizmem.

Odwiedziłem Maritaina w 1945 r. w Rzymie. Tłumaczył się dlaczego na list mój nie zareagował w ogóle:

„Musiałbym być w stosunku do Polaków bardzo surowy. Powiedziałem im rzeczy bardzo bolesne. Polacy zanadto wycierpieli, by można im teraz mówić takie prawdy”.

— Jeżeli kiedy, to właśnie w nieszczęściu trzeba mówić prawdę — odpowiedziałem. Może nigdy tak jak teraz Polacy nie są zdolni jej słyszeć. Niech mi Pan odpowie chociażby najtwardziej.

— Nie mogę darować Polakom ich antysemityzmu i ich stosunku do Rosji. Podajecie się za ludzi, którzy mają misję na Wschodzie, twierdzicie, że jesteście przedmurzem chrześcijaństwa, a z drugiej strony uważacie Rosjan za półludzi, macie do nich głęboką pogardę.

Muszę powiedzieć, że odpowiedź ta boleśnie mnie dotknęła. Mój stosunek do antysemityzmu był dobrze znany Maritainowi. Powiedziałem mu jednak, że jest dość dziwne, że Moskale wymyślili słowo pogrom, setki tysięcy Żydów, uratowanych z Rosji sowieckiej przyjęła Polska w latach niepodległości, Niemcy wymordowali Żydów miliony, ale za antysemityzm ponoszą odpowiedzialność tylko Polacy, — chociaż w myśli, w życiu społecznym Polski, w jej literaturze były nie tylko ekscesy antysemickie, był szereg pokoleń, gdzie symbioza między Polakami i Żydami istniała, wbrew różnicom charakterów, temperamentów oraz wbrew przesłankom ekonomicznym.

Może bardziej jeszcze zabolął mnie zarzut polskiej pogardy

do Rosji. Głównie, że powtarzał zdanie, jakichś dwóch hrabiów, których spotkał w polskiej Ambasadzie. Tłumaczyłem, że hrabiów i nie hrabiów, którzy mówią głupstwa po ambasadach jest dużo także we Francji, że nie pozwoliłbym sobie na tej podstawie wnioskować o myśli francuskiej. Mówiłem mu, że jeżeli chodzi o stosunek antyrosyjski, to wbrew najazdom i wywózkom, wbrew od pokoleń ciągnącej się krzywdzie polskiej, nasz stosunek do Rosji jej wyraz w literaturze jest niezrównanie mniej antyrosyjski, niż stosunek Rosjan jest antypolski, jeżeli sądzić mamy chociażby tylko z rosyjskiej literatury. Wszyscy znamy brutalny wiersz antypolski o „kiczliwym Lachu” Puszkina w wierszu „Oszczercom Rosji”, napisany w chwili gdy potężna Rosja miażdżyła Polskę w 1831 r. Wszyscy znamy wspaniałą paszkwil antypolski Dostojewskiego, ten typ polskiego blagiera, szui i kanałii z „Braci Karamazowych”. Nie wiem, czy w wielkiej literaturze rosyjskiej, poza krótką nowelą Tołstoja „Za czo” mamy jednego Polaka, zobaczonego po ludzku i nieopgardliwie, a u nas nie tylko w Mickiewiczu, ale nawet w Żeromskim, najbardziej antyrosyjskim z pisarzy naszych, ileż nut wycucia i zrozumienia Rosjan. Czy mielibyśmy Brzozowskiego, gdyby nie wpływy rosyjskie i jego namiętność dla wielkiej literatury rosyjskiej. Ileż związków, ile ludzkich spojrzeń do przyjaciół moskali mamy w literaturze i życiu polskim. Więc skąd ta sztanca Maritaina i tylu innych o tych Polakach, gardzących Moskalami i ta sztanca wyciągnięta przez niego jako argument właśnie w chwili, gdy zniszczenie Warszawy zostało dokonane przez Niemców na oczach bezczynnych, wyczekujących, opalających się na słońcu, o 10 km od Warszawy „sojuszniczych” wojsk rosyjskich?

Dziś, po przeczytaniu artykułu Zbyszewskiego myślę, że dał on wspaniały argument Maritainowi. Właśnie Zbyszewski, ten publicysta ze świetną inteligencją, takimi artykułami popiera i rozbudowuje w świadomości polskiej stosunek płaski, jednostronny i głęboko niechrześcijański do Rosji. Zbyszewskiemu nie wolno w okresie najcięższym naszej historii tak nieodpowiedzialnie harcować.

Józef CZAPSKI.

Podróż na horyzonty

Otrzymałem nareszcie coś w rodzaju umowy i już jadę. Jestem w Antwerpii. Piszę w jakiejś knajpie flamandzkiej i widzę stąd statek, którym dojadę do Włoch; leży mi przed oczyma na płaskiej fali, która zresztą wygląda z mego miejsca jak słuzowate oko, wytrzeszczone spod czupryny dymów. Nie czuję ani za grosz emocji na tę podróżniczą przygodę, która mię wypchnie Bóg wie gdzie — do Sidney — co jest mi tak samo abstrakcyjne jak Antarktyda. Z podobnym brakiem wzruszeń siedziałem w Londynie i w Brukseli. A przecież, wyjeżdżając w jesieni z Warszawy spodziewałem się, że przesunawszy siebie o tyle i tyle geograficznych szerokości, wymienię swoje myśli na inne, tu obowiązujące, tak jak na granicy wymienilem dewizy. Nic podobnego. Może, na skutek długiej podróży osiada na człowieku nalot obojętności, taki łój zmęczenia i efekty tego są w mojej sytuacji nie do pokonania.

Niebo mdleje, po prostu kona nad wodą, plamą się tam jakieś zatajone formy statków, a wszystko to głupie i irytujące, bo przecież niebo od kilku godzin spada na dół — aż chciałoby się podstawić mu morze pod brodę. Od dzieciństwa przejmowały mnie niecierpliwością wszystkie rzeczy idące w głąb i nie docierające do końca, linie co nie chcą się zetknąć, koty odwiecznie ziewające na płotach... Nie wiem dotąd czy w tym obwisłym biodrze globu wyczerpują się stale granice dotychczasowych form, czy po prostu wyczerpały się granice moich nerwów i samotność biorę za spokój a brak myśli za zdecydowanie.

...Więc zaproponowano mi porobienie malowideł w nowo-budującym się kasynie w Sidney. Dobrze, że umiem malować, zważywszy, że poza tym nic nie umiem, ani macać pacjentów, ani sprzedawać czosnek, słowem — nic. Aż dziwne, że żyję dotąd i dalej wybieram się żyć mimo niechybnego zgorznięcia, jakie ta rezolucja może ogólnie wywołać. Przyzwyczaiłem się... Słuchaj, jak to się stało, że w podobny wieczór w La Panne — pamiętasz? — mieliśmy odwagę szeptać jakby na całe życie: — „Il fait trop beau ce soir — il n'y a plus rien à penser”. Nieodżałowana poza i naiwny styl szczęścia powodowały wtedy nami. Byłaś bosa. No, jak się jest boso, myśli są wilgotne i zuchwałe, potem nie do odwołania. Bo słowa mają pewną moc logiczną, zresztą ograniczoną, a żadnej innej i nie trzeba ich

używać jako zaklęć — to się często mści. Jak się stało i w naszym wypadku.

Gdyby ta godzina korespondencji mogła nosić nazwę, nazwałbym ją „podróżą na horyzonty”. Przeszedł mi ten frazes do głowy, bo widziałem dziś na wystawie książkę „Voyage aux horizons”, która podobno dostała tam u was, w Paryżu, literacką nagrodę. Może książka słaba, ale przyznaj, że tytuł jest dobry, jeden z tych, pod którymi coś się wydaje. Są — przyznaj — frazesy, które mają możliwości magnetyczne i same w sobie zawierają szczególną dozę prawdy. Po świecie błąka się dużo tytułów wartych książki. Czemuż tak mało jest dobrych książek?

Moja obecna podróż zaczęła się przed kupnem biletu, w mnie samym: wewnętrzny exodus z jednej fazy, z kretesem przegranej, w drugą — którą sobie niejasno proponuję. Donosiłem ci krótko z Londynu, że doświadczenia polskie skłoniły mnie do wyjazdu gdzieś możliwie daleko. Wyobrażam sobie jak się ucieszyłaś, dostawszy tę pierwszą kartkę, bo wskazywała ona bądź co bądź, że myślę tak jak ty, a w ten sposób choć jednej zapory między nami ubędzie. Donoszę ci z kolei, że moje obserwacje w Polsce nie zawrą się w pojedynczym twierdzeniu, najpierw dlatego, że nigdy nie miałem zwyczaju ucinać myślom rąk i nóg, a po wtóre — bo rzeczywistość istotnie nie jest w niczym podobna do manekina. Może ci zatruję pozytywny, emigrancki nastrój, który wywołała nieopatrznie ta kartka sprzed miesiaca. Echa tego nastroju — drogie mi bardzo, ale jakże kobiece! — wyskoczyły z twego listu jak sprężynowe żołnierzyki z pudełka i rozbijały się w moim numerze przez cały wieczór. Nie od razu mogłem ci odpisać. I dziś czynię to ze wstrętem, ale i z pewnym — bo ja wiem? — prywatnym bohaterstwem, tak jakbym cię budził z omdlenia wymierzając policzek.

Co w Polsce? Znasz z gazet zewnętrzne znamiona życia krajowego i o tym nie ma co mówić. Ruiny, dużo pracy nad odbudową, zły stosunek cen i zarobków, tłok w więzieniach. Uderzające obżarstwo i opilstwo, jakby rodacy chcieli dowieść, że niektórych cech narodowych żaden ustrój nie wykorzeni.

Krawędzie życia widocznego, głównie obyczaj w miejscach publicznych, jak mówią dawne panie z towarzystwa — schamialy. Zbiedniały pozory życia, ulica nosi dość jednakowe, demokratyczne łachmany. Wszędzie widać nowe twarze, co jest pewnie skutkiem powojennej wędrówki społecznych elementów w różnych kierunkach.

W niektórych punktach przeniknęło coś ze stylu teorii marksistowskiej. Rzuca się w oczy zmiana stylu w wojsku. Oficerowie o gminnej postawie bratają się z szeregowcami, mówią ty i wspólnie kurzą papierosy. Podśledzałem w pociągu ciekawą rozmowę między świeżo upieczonym kapitanem i frajtrzem. Oficer robił apologię praktycznie pojętej nauki: — Idź, bracie, na każdy kurs jaki się zdarzy. Bez nauki nie zrobisz kariery. Mnie

dali gwiazdkę, jak się zacząłem uczyć. I teraz pójde na kurs, jeżeli coś będzie.

Jakaś była pułkownikowa, podająca u Gajewskiego, powiedziała na ten temat: chamstwo. No, cóż... Zbyt łatwo byłoby zażartować z mentalności tych pań, którym życie zredukowało przyjemność snów towarzyskich a nie potrafiło przebudować teorii snów. Wojsko i oficerowie byli najwyższym punktem po junacku ustylizowanego życia. Wiele pojęć, ba! — nawet światopoglądów rodzilo się w ostrogach. Oficer nigdy się nie liczył jako fachowiec, stał nieskończenie wyżej od notariusza czy nauczyciela, choć miał dużo mniej w głowie. Nosił w sobie nie istniejącą już współcześnie godność rycerza. W zachowaniu naszych oficerów, tak zasadniczo różnych od ich kolegów w Anglii czy Belgii, tkwiła zapewne ostatnia, cząstkowa obecność epoki feudalnej, stąd ów blichtr i gest. Na tle wojny współczesnej stylizacja taka wyglądała jak pawie czub na masce gazowej. Porównanie wartości między jednym i drugim typem wojaka wypadłoby w normalnym rozważaniu na korzyść owego prostaka, szukającego awansu drogą kształcenia i nie robiącego sobie złudzeń co do ograniczonej roli życiowej ostróg czy pistoletu.

Ale tak w kraju jak i na emigracji wszystkie zmiany, wynikające z wpływu sowieckiego są oceniane w czambuł i bez pardonu. Trudno postawić kogoś z rodaków we wstydlivszym położeniu, jak zmuszając go do pochwalenia jednego z drobniejszych zjawisk w Polsce: np. że jest dobrą rzeczą zwiększenie nakładów książkowych, albo ufundowanie w najpiękniejszych okolicach bezpłatnych wywczałów dla wszelkiego, rodzaju zaharowanej biedoty. Sprawa reżimu i gwałtu politycznego pozostaje kwestią niewątpliwą, ale nie powinna wbrew rozsądkowi i uczciwości paraliżować sądu o wielu interesujących faktach, które na naszej ziemi się dokonały — częściowo dzięki teorii społecznej bolszewizmu a częściowo przez naturalną ewolucję powojenną. W rezultacie temu nieszczęściu politycznemu nie towarzyszy żadnego rodzaju dyskusja. W Polsce ludzie nadający wewnętrzny ton życiu, a więc inteligencja, nie docierają w ogóle do meritum proponowanych zmian, bo zatrzymują się już na pierwszym piętrze rusztowań, wyłącznie w związku ze stylem. Patrząc na zbiedniałych arbitrow sarmatyzmu, rzecz by się chciało, że cała możliwa ochota i wola do dyskusji ginie już w tej pierwszej instancji: wzroku, głosu i gestu. Z jednej strony marksistowska „Kuznica” drukuje coś w rodzaju rozpraw liturgicznych, a z drugiej — w sapeżyńskim „Tygodniku” — czyta się zdrętwiałe sofizmaty robione z brakiem talentu, który musi zastanawiać w tak dewocyjnym społeczeństwie.

Zresztą dyskusja publiczna nie byłaby możliwa. Ale mówię o wielu innych okolicznościach normalnego życia umysłowego — o wymianie myśli poufnych, o wewnętrznych dysputach, o tzw. biciu się z myślami. Jednak trzeba się zgodzić, że Polak bije się wprawdzie z całym światem, ale nigdy z własnymi myślami. Przede wszystkim do każdej dyskusji byłaby potrzebna

znajomość kwestii, w tym wypadku marksizmu i ustalenie wspólnego języka. Jest ordynarną prawdą, że w Polsce nikt nigdy Marksa nie czytał i nie czyta. Marksizm był zawsze synonimem czegoś skończenie obrzydliwego i nie było mowy o tym, żeby ogół, zwłaszcza ogół młodzieży — znalazł jakiś stosunek myślowy do tej zdumiewającej bądź co bądź teorii, która od stu lat jest źródłem wszystkich fermentów ideowych. Studenti nasi, jak pamiętasz, bijali Żydów i pokrzykiwali coś o Polsce Chrobrego. Podstawą tego wesołego samopoczucia była ignorancja. Szczególny rodzaj patriotycznego nieuctwa, któremu starsze pokolenie przypatrywało się z sympatią.

Mówię to z pewnym sarkazmem i może mię podejrzewasz w tej chwili o komunizm. Nie, jestem jego wrogiem i to pewnie większym, niż któryś z otaczających cię endeków. W każdym razie umysłowe przygotowanie mych współziomków do dzisiejszości jest żalosne; bez znajomości marksizmu nie można już żyć nie tylko z czystą myślą ale wprost z czystym sumieniem. Usankcjonowana ignorancja była w Polsce jakby stajnią zarodową tzw. pełnej krwi działaczy publicznych, niestety pół-rozwiniętych umysłowo i pół-moralnie. A wygarniam ci to wszystko, bo nikt inny nie chciał by mnie słuchać, ani z tej ani z tamtej strony. Niestety, droga, jesteście bardzo zamieszana w moje sieci intelektualne i reagujesz na ich prowokujące dziury po kobiecemu, zapychając je pięściami czy łzami sklejjając. Tak, myślenie — jak sieć — jest zagadkową konstrukcją, która polega na współzyciu szeregu dziur. I tylko u bałwanów ma charakter spoiisty jak ściana.

Taki sam spokój wewnętrzny mają partie, bo wszystkie przypisują sobie monopol na prawdę. Wypowiadają to przekonanie specyficznymi żargonami, co powiększa wzajemne różnice. Partia komunistyczna stworzyła żargon szczególnie nieznośny dla liberalnego ucha na Zachodzie; nieraz myślałem, że z punktu widzenia taktyki partyjnej jest to lekkomyślność. Ale z mistycznego i wojującego charakteru partii wynika, że używane przez nią słowo nie ma założeń analitycznych, ale agresywne, jak sztylet czy dynamit. U nas każdy termin pozwala sobie na dwiokrotne powątpiewania i relatywizm — na ową wewnętrzną dwiokrotność, gdy ostatnia sylaba wyrazu albo podważa sens pierwszej, albo mówi: chociaż, chyba, jednakże... I sieje zamyślenia. Trudno sobie zdać sprawę, jak bardzo jesteście przywiązani do tych wątpliwych znaków myśli. Gdy tymczasem termin komunistyczny, nachalny i nieinteligentny („burżuj”, „czarna reakcja”, „kapitał”, „proletariat”) ma w sobie tępa afirmatywność pieczęci, jest dla jednych patentem a dla drugich wyrokiem skazującym — lecz nigdy hawańskim cygarem.

Może po tym wstępie łatwiej przyjmiesz moje sugestie, że z tamtej strony mimo wszystko ma się do czynienia z objawami agresywności ideowej a tutaj z najróżniejszymi formami konserwacji tego co było. Tam ziemia się rusza, a tu pakują wysuszone formuły do puszek. Liberalizm myślowy wyczerpał się i

przestał być źródłem życiowej aktywności, a od pewnego czasu usuwa te źródła, likwidując kolejno dogmaty. Zachodowi został, zdaje się, już tylko jeden dogmat: obrony swego bezdogmatyzmu. W ten sposób rzeczy wspaniałe doszły do nonsensu. Slogan o „obronie kultury zachodniej” wygląda czasem na pęcherz, z którego świszcząc uchodzi powietrze. Cóż tu — u licha — jest do obrony, czy muzea i archiwa? Może należałoby formułować te zarzuty z większą ostrożnością niż to robię, ale jestem zbyt młody, żeby ideały pogrobowcowe mogły mi starczyć na życie. Czemu nikt nie krzyczy, aby temu Zachodowi zastrzyknąć penicyliny w pośladek, aby poddać go masażowi, który albo go zabije, albo odrodzi!

Wyobraź sobie, że na bruku brukselskim spotkałem się z majorem Polejką, którego krzywe nogi i namaszczoony sposób wygłaszania komunałów mogłyby uzmysławiać emigrację w ogóle na jakiejś przeszłej wystawie rzeczy wykopaliskowych. Powitał nie było trudno, bo major nie mógł mi darować zaciekawienia, jakie przejawilem wobec spraw w kraju i uważał — w pewnym względzie słusznie — że ciekawość prowadzi do herezji. Prawdopodobnie myślał czy mi podać rękę, ale ułatwiłem mu to, schowawszy swoje głęboko w kieszeni. Oznajmiłem bez wstępów, że rozstałem się z Polską na zawsze. — Rzecz jasna — zaśpiewał po litewsku major — toż przestrzegałem pana, że nie wolno tam jechać. A pan wszystko jedno pojechałeś! — Udałem zdziwienie: — Jakto, drogi majorze: właśnie dobrze się stało, że do Polski pojechałem, bo dopiero teraz mam wobec siebie samego prawo zostać za granicą. — At, pleciesz. Sowioci cofają ta cywilizacja w tył. — Jakżeż mu miałem powiedzieć, że według mnie, Sowiety dają chcąc nie chcąc impulsy do przesunięcia się cywilizacji naprzód i że po nich zostanie coś na kształt żywej ławy mułu jak po wielkiej powodzi. Ale stałem wobec jednej z ofiar powodzi i trudno mi było to mówić. Za to spytałem: — Jeżeli rzeczywiście cywilizacja cofnie się w tył — to czemu major o tym z taką satysfakcją mówi? Istotnie twarz majorzyny wyrażała charakterystyczne na emigracji zadowolenie, trochę podobne do absurdałnej uciechy fizyka, któremu wyszły obliczenia o zapadnięciu się części ziemi.

Bolszewizm swoją teorią ogarnia wszystkie możliwe kwestie i rozwiązuje je w niesłychanej pod względem moralnym praktyce: dzięki rozmiarowi swych zainteresowań i całej kuchni praktycznych przepisów stał się jakby lustrem podstawionym pyzatej twarzy globu, każdy winien się w tym lustrze przegłębować, aby sprawdzić właśnie poglądy, które tu na Zachodzie rozciągają się w wielu mdłych fazach. Mój list niczym innym nie jest.

O ile gawęda z Polejką była zabawna jak anegdota, to miałem znacznie ciekawsze przeżycie w rozmowie ze Stachem. Wspomniałem ci, żeśmy się spotkali w Gdyni, nad wodą i do tego nocą. Pracuje w porcie, ma stanowisko, ożenił się. Wciąż taki sam:

drapieżna gęba a oczy uczciwe. Wypaliliśmy kilkadziesiąt papierosów na temat Wschodu i Zachodu i naszej funkcji w tym wszystkim. Nie mieliśmy tej wygody w dyskusji, jaką sobie funduje większość rodaków, potrafiąc w najważniejszym spieściu logicznym krzyknąć „boże-coś-polskę” i wszystko rozstrzygnąć wiarą ojców. Gdzieś pod pułapem głowy, istotnie w tych godzinach samotnej czułem, że wiara ojców nie zastąpi siły przekonania i nie sprostą czasem. Powstały do życia czasy — co tu gadać! — wymagające od człowieka już nie tyle etyki uczuć, co etyki myśli. Jakże często boimy się w ciągu dyskusji, że zostaniemy przekonani. Używamy nieczystych chwytów, byle tego losu uniknąć. Choć zostać przekonanym, to najszlachetniejszy los rozmawiającego. Przełać ferment myśli z dzbana do pucharu i pić za zdrowie prawdy, która przecież gdzieś istnieje, do której zbliżamy się po trochu z biegiem czasu, ciągnąc z różnych łądów, ojczyzn i lokalnych dogmatów.

Stach jest człowiekiem, którego siły i myśli o tyle tylko są warte, o ile znajdują zastosowanie w życiu. Mówił mi o tym w ten sposób: — Być może, że ludzie którzy szukają w życiu wysiłku, myślą inaczej bo brutalniej niż wy, czyniący z medytacji wyprawę krzyżową. Dla nich myśl jest benzyną, na której toczą się naprzód. Bo jeżeli procesy w mózgu nie mają pomagać życiu, to czemu mają pomagać? Śmierci? Zdechnąć można równie dobrze w stanie bezmyślności i nieróbstwa.

— Jestem młody — mówił. (Kładł na to akcent, który był jedynym śladem poezji w jego twardym zresztą wykładzie). Szukam pracy z sensem i rozmachem, nie chcę robotki chałupniczej, od której w najlepszym razie utyję ja i moja żona. Widzisz, po trzech latach mam przekonanie, że możliwość pracy, która nawet w ramach osobistego zawodu miałaby, jakby rzecz? — trochę gazu historycznego, jest tylko tutaj. No, bo tu istnieją założenia i ambicje podpychania historii na inne miejsce, wszystko jedno złe czy dobre, a po waszej stronie cała kultura robi wrażenie jakby dłubała w nosie. Połowa świata, na której do browolnie się zatrzymałem, może się okazać bazą startu na drugą połowę, na cały świat. Tutaj wszystko jest obrócone na zdobywanie przyszłości. Biorę pod uwagę wypadkową kłamstwa propagandowego i stanu rzeczywistego, i wyciągam z tego średnią prawdy. Nawet ta średnia ma jakąś iskrę prowokującą, każde patrzeć na stosunki ziemskie jak na sprawę do uregulowania, jak na łup. Podczas gdy wasza średnia jest jak kadzidło: każde wierzyć, że na świecie nie ma nic lepszego od roboty, jak czaty przy katafalku. Weź pod uwagę, że żaden człowiek silny, mający w sobie trochę sensu historycznego, nie łudzający się że jego życie jest najważniejszym wypadkiem w świecie, a jego obywatelowa skóra najbielszą na ziemi — nie może przyjąć warunków zachodnich ze spokojnym sumieniem.

— A jak tutaj z tym sumieniem?

— Tutaj nie ma żadnej wygody, nawet etycznej. Sumienie

trzeba wywrócić do góry wełną i tak chodzić. Ale nie bierz tego za cynizm.

— Nie, ale za nieporozumienie. Gdyby istota tutejszego ruchu była taka, jak ją przedstawiasz, postępową i historyczną, może by gra była warta świeczki. Zgoda, że niektóre okresy wymagają od ludzi wytrzymałości moralnej. Chodziłoby o psychologię chirurga, który zadaje cierpienie mając na celu zdrowie. Ale całe rozumowanie na nic, bo istota tego wszystkiego jest wulgarnie rosyjska a nie postępową.

— Tak, ale może nią być **mimowoli** i w to wierzę, gdy przestaje wierzyć w inne rzeczy. Dobroczynność tego co robi Rosja może być mimowolna, niejako mechaniczna. Przez samo nagromadzenie takiej masy materiału ideowego, choćby to była tylko reklama dla płaskich celów — Rosja może w rezultacie wysadzić w powietrze cały stary świat. Pomyśl, że Sowiety praktykują nieznanne dotąd metody ekspansji, drażniąc ideowo pięty społeczne innych krajów. Któż mi udowodni, że Rosja pewnego dnia nie będzie zmuszona sama ulec siłom, które rozbudziła? Doświadczenie trwa. Siły historyczne są zawsze większe, niż ośrodki polityczne, które do czasu na nich grają. Może będziemy świadkami nadzwyczajnej chwili, gdy ręce mistrza uwięzną w strunach instrumentu.

Prawie równocześnie cisnęliśmy dwa niedopałki w czarne morze na dole, rozbite światłami. Tam z sykiem kończyły się trudne myśli i bolesne postanowienia.

— Rosja? — rzekł jeszcze. — Musieliśmy dojść do tego problemu i ten jest najgorszy ze wszystkich. Być może, że Sowiety to **rosyjskie** paskudztwo. Ale oto w czym rzecz: ja nie mam absolutnej pewności, że to jest paskudztwo. A ty, czy tam na Zachodzie nie budzisz się czasem z przerażeniem, że może obóz rosyjski naprawdę zamierza „ruszyć bryłę świata”, a w takim razie ty, krótko mówiąc, poszedłeś między świnię, które bronią swojej kałuży?

Wkrótce po tej forsownej rozmowie wyjechałem z Polski. Wszędzie widziałem bardzo silnych ludzi i obecność kompletnego praktycznie systemu. Za kulisami jest Rosja, ale doszedłem do przekonania, że nie można zjawiska ograniczać. Pozwolę sobie powiedzieć, że Rosja jest mniejsza, niż system, którego zdaje się jak naboju używać. Każdy awans socjalizmu na Zachodzie robi na mnie wrażenie mechanicznej zasługi Sowietów. Siedzi gdzieś za stosem ofiarnym gigantyczny robot, konsument milionów i minuje pozostałą część terenu sloganami; zobaczymy, jak od tej roboty przebijają nogami otyłe demokracje kapitalistyczne i ile przy tym tracą sady! Na przykład: jeżeli jest jakaś krecia praca bolszewicka w koloniach angielskich czy holenderskich, to ma na celu tylko osłabienie przeciwnika. Ale w tej grze padają magnetyczne, obowiązujące słowa: równość, niepodległość. Dziwnym prawem, te słowa **zostaną**, choć wyszły z najobłudniejszych ust. Jeżeli dzięki nim odzyska wolność choć

jeden lud kolonialny, to już będzie zysk nie do cofnięcia. Kładę nacisk na to, że Sowiety nie faktyczną, ale **nominalną** stroną swej aktywności przyspieszają pewne procesy i powodują charakterystyczną cyrkulację dóbr. A taka jest natura dobra socjalistycznego, że choćby było ono robione na marginesie zbrodni i zła, dobro to zostanie na trwałe.

Jeśli o moje zachowanie chodzi, to wyjeżdżam, bo nie wierzę nawet w minimalistyczną teorię mego przyjaciela. Wyjeżdżam tam, gdzie nie trzeba wierzyć w karkołomne obliczenia historyczne a za to można jeszcze myśleć. Chciałem uniknąć w ten sposób współnictwa w ordynarnej zbrodni, która stała się na Wschodzie techniką władzy. Słowem, wyjechałem z obrzydzeniem.

Ale także z obrzydzeniem natury filozoficznej. Siedzi tam w głębi tego przedsiębiorstwa, jak w jamie a na podściółce z różnych sylogizmów, piatilettek i wynalazków — szczwany smok nonsensu i ten mi oblizał twarz jęzorem aż wzięło obrzydzenie. Pierwszą cechą bolszewizmu jest beznadziejny logicznie historyzm. Szczęście tzw. ludu sumuje się w fikcyjnej przyszłości pod spodem kolosalnych rubryk wyczerpania ludzkiego. Życie ludzkie nie jest dla historii, pojętej jako mistyczny regulamin, tylko historia — jako nauka empiryczna — służy życiu ludzkiemu. Mistyczny charakter doktryny pozbawił historię cech nauki a uczynił z niej coś wręcz przeciwnego — jakiś horyzont wysiłków czy dogmat czasu...

Jeszcze mocniej czuć w tej smoczey jamie nonsensem, gdy się pochylimy nad drugim iksem, którym wyciera sobie gębę każda teoria bolszewicka. Jest to „lud”, „ludowa demokracja”... Może człowiek ulega mrzonkom na dźwięk tego słowa, bo wyobraża w nim po prostu mnożnik swego szczęścia i szczęścia wielu takich jak on sam. Ale Sowiety lansują dzisiaj projekt demokracji „ludowej” w miejsce dotychczasowej formy demokracji indywidualistycznej. Co to znaczy? Czyli, że podstawą pojęciową i sygnatariuszem tej nowej konstytucji nie będzie jeden człowiek, ale wzięty w jego miejsce na zasadzie personifikacji „niejaki” lud — osobowość symboliczna. Konstytucje społeczeństw są wykładnikiem realizmu życiowego, a wszystkie procedery literackie jak symbol i personifikacja, muszą szkodzić realizmowi. Teoria bolszewicka daje tu dowód mistycznego stosunku do życia, co tym jaskrawsze, że realizm historyczny nie schodzi jej z ust.

Realnym pojęciem i faktem społecznym — zarówno jak psychologicznym — jest tylko jednostka. Może ona wchodzić w kombinacje zespołowe, jak klasa czy naród; może dobrowolnie ograniczyć swoje prawa na rzecz techniki współżycia. Ale poza tym nie można odstąpić od zasady jednostki, bo jej wartość jest elementarna, niejako pierwsza i ostatnia. Gdy się bredzi o misji klasy i pod tym hasłem zaprzęga życie ludzkie do traktora, wchodzi się na drogę zabobonu. Realistyczne środki w służbie zabobonu, to najdziwniejsza cecha bolszewiz-

mu. Wszystkie reżimy chciały fałszować historię w tył, ale ten zrobił to w przód.

Historia, choć stara, co pewien czas ulega **spazmom dziewictwa** — jak to chrzcze w sercu — jakby z uporem wracając do przedwiecznych zapowiedzi sprawiedliwości, którą pokolenia omieszkały zrealizować. Wtedy na powierzchnię przebijają się rewolucje, akty konstytucyjne i książki. Można sobie wyobrazić jakie oznaki nadziei towarzyszyły pojawieniu się marksizmu.

Nie trudno było uwieść się doktryną, która w radykalny sposób wyciąga kukielkę ludzką ze strychu, spośród rupieci ancien régime'u i zabobonów — aby uprzątawszy kawałek miejsca pod słońcem, pozwolić jej żyć zgodnie z naturalnymi skłonnościami do myślenia i pracy na własną korzyść. Mnie osobiście nigdy nie pociągała w socjalizmie jego łzawa strona, judymowska, polegająca na ciągłym wyrównywaniu poziomu bogactw; ten poziom można wyrównać tylko na moment, jak wysokość piasku w wydmach i założenie jest beznadziejne; najbardziej mnie pociągało wymiecione z przesądu dynastycznego czy nacjonalistycznego miejsce, które będzie można wśród społeczeństwa po ludzkiej cenie wynająć i zająć się własną pracą. Ale się okazało, że Marks zdobywa popularność nie siłą humanistyczną swojej teorii, ale dzięki stworzeniu nowego rodzaju mistyki, tym razem robotniczej. Prostytucja dokonała się ostatecznie w państwowym pragmatyzmie Stalina. I bumerang nonsensu wrócił, zakreśliwszy koło.

Byłem zawsze wrogiem egzaltowania ideałów kolektywnych, tak samo komunizmu jak nacjonalizmu, bo oba odbierają człowiekowi prawo do samotności. Jedyne prawo, którego żadne koniunktury nie wzruszą. Człowiek jest nieodwołalnie samotny jako źródło poznania i wzruszeń. Innych źródeł nigdy nie będzie. Jeżeli jakiś leader twierdzi inaczej, w chwili śmierci zmieni zdanie. To przykazanie jest mi przewodnikiem wśród tylu sprzecznych programów, zresztą tylko pozornie sprzecznych... Gdybyś była wcześniej tę podstawę mego światopoglądu zaobserwowała, zrozumiałabyś moją wrogość do demagogii narodowców i zbliżenie do lewicy, które przecież nie przejdzie nigdy poza tę linię — jak powiadam — humanistycznego dziewictwa.

Żeby żyć, muszę bez litości myśleć. To mnie uchroni od Stalina i od Trumana. Mówiłem ci już kiedyś (patrząc przeprasza-jąco w oczy), że emigracja jest tylko osobistą sprawą, nie może być inną sprawą niż osobista. Krzyczałaś: nie! — ze złością dziecka, któremu odbierają kukłę. Zostańmy każde przy swoim. Czas zbiera po swojemu argumenty, oddaję mu sprawę do rąk. Tymczasem wybieram się na horyzonty, które mi przecinają pierś bolesną kreską.

To nic, że musiałem uciec ze strony bolszewickiej, najgorzej, że po tej stronie nie osiągam celów ucieczki. Człowiek, wywiozłszy stamtąd pełne sakwy obrzydzenia, tu boi się je rozpa-

kować i tak, siedząc na walizkach, próbuje procesować się z obu stronami o należne mu miejsce.

Dziś nie ma okazji wybrać między złem i dobrem, tylko między złem większym i mniejszym. Przejeżdżając w Chebie granicę dwu stref, zamienia się nudną makulaturą jakiegoś „Głosu Ludu” na rumiany, sobą zachwycony „Life”, czy inne zachodnie wydawnictwo. W tamtym obejrzało się fotografię Iwanowa albo Kępki, bohatera ludowego, który wydobył 300% normy węgla; tuż obok fotografii jego żony wyróżnionej w swojej fabryce za pracowitość i ich syna, który na zebraniu rady fabrycznej wniósł jednomyślnie przyjęty wniosek o zrzeczenie się przez robotników prawa do strajku... Głowa boli, myśli przestają już wojować z tymi dziwadłami, ale drętwieją i wylażą na szyby wagonu jak muchy po zimie. Weźmy prasę cywilizowaną: tu widnieje zdjęcie gołych nóg pewnej „star” z podpisem, że ta para lydek kosztuje netto, bez pończoch chyba i bez majtek, prawie 30 milionów belgijskich franków. To znaczy tyle, co zarobi nauczyciel w Châtelineau czy w Quaregnon z pensją 5 tys. franków miesięcznie w przeciągu... 500 lat. Oto zmiana rewelacji prasowej. Sen w muchach taje i zaczyna głowami tępo uderzać o szyby.

Co lepsze? Czy nonsens pracy dla pracy, dopingowany coraz bardziej maniacką haussą wyników, czy zbydłecenie pieniężne, gdzie jakieś inne kolosalne cyfry wyrażają wartość damskich pośladków tak cenną, że pewien rodzaj pracownika społecznego musiałyby na nie pracować niemal przez 20 pokoleń? Czy mistyczne niewolnictwo jest gorsze, czy ludożerstwo finansowej rzeki, która niektórych wynosi z pianą w złotych ustach, a rzesze innych rozpuszcza na dnie jak sól.

Amerykanie nie mogą nic więcej w chwili obecnej ofiarować, prócz wysokiej technicznie formy barbarzyństwa. Może wskutek tego, że cywilizacja amerykańska nie ma za sobą żmudnej genezy dorabiania się od elementów, powstały w jej duszy niczym nie zapełnione próżnie infantylizmu. Stary świat musiał wynaleźć sochę, koło, druk, maszynę parową — i przez te niskie kanały trudu przeciągnąć swoją duszę ku powierzchni. Ta za każdym razem rosła w głąb siebie samej, aż aktywność moralna stała się jej naturą i celem. Aby stało się coś podobnego z quasi-kulturą amerykańską, musiałyby zaznać trudu i głodu. Ameryka jest bezmyślnie syta.

Francja umiera i robi to wrażenie, jakby likwidowano ambasadę dotychczasowej kultury. Język francuski spęła na coraz niższe miejsca, których od razu dosięga książka i kino anglosaksońskie. Z rozległego przodownictwa Francja zachowała prymat w przemyśle mody, perfum i cacek: jak zestarzałej damie, pozostawiono to świecidełko próżności. Dzieła, które tam powstają, mają wciąż stempel najwyższego smaku, tylko że poza nimi nie czuć żadnego dalszego ciągu, który by zachęcał do życia nazajutrz. Najtypowsza kultura wieczorna, niesiona jeszcze czas jakiś rutyną. Najgorsze, że świat który ginie nie ma cech

rany, jest już bliźną. W bródę po wielkości wlewa się plazma jankeska. Przeżuwacze gumy o pięknie rozwiniętych udach a scherlałym organie duszy, chcą nas bronić przed kulturą komisarzy ludowych. Ale co będzie, gdy obronią?

Niekiedy atakują mnie z tyłu marzenia. Nie masz pojęcia jak marzenia zachowują się czasem gwałtownie!

... Gdyby było trzecie miejsce — myślę, przebiegając skrótami nieznany ci teren wewnętrzny. Stamtąd zrobić dywersję w tym majonezie! Ale skąd wziąć środki na rewolucje między dwiema ścianami? Tylko myśl o ciśnieniu większym niż mechaniczny rozpęd obu rodzajów barbarzyństwa. Poszukać by trzeba ludzi i zrobić zakon: klub lokatorów Trzeciego Miejsca. Gdzie ich szukać w tym zabliznionym świecie?

No, daruj i żegnaj. Daruj rodzaj tego listu w którym czułości są skąpe a za to intelektualizm daleki i nieprzyjazny. Listy zazwyczaj służą zbliżeniu, są kompromisem punktów widzenia i komplementem. Ten oddala a nie zbliża, choć i jego pobudką była serdeczność. Może zresztą, pisząc do Ciebie, mam na myśli całą grupę ludzi, również mi bliskich a nade wszystko tak samo jak ty kobiecych. I dla nich też najważniejszą rzeczą wydaje się zgoda na miękkim gruncie. Ale piknik skończony! Uległem ciężkiej myśli, że zgoda niczego nie załatwi i że naucziwszą formą życia moralnego jest gniew.

Więc tak...

Zbigniew FLORCZAK.

Artykuł Z. Florczaka uważamy za dalszy etap w dyskusji, zapoczątkowanej artykułami A. Bobkowskiego i innych, a która ma w naszym zamierzeniu doprowadzić do uświadomienia sobie o co walczymy i co chcemy przeciwstawić Sowietom i ich ideologii. Żeby dojść do jakichkolwiek sformułowań trzeba ostatecznie wgrzebać się spod stosu frazesów i pustych słów, którymi usiłowano nas karmić. Trzeba również z beznamiętną obiektywnością przyrzeć się naszej stronie barykady — nawet gdybyśmy mieli dojść do stwierdzeń mało pocieszających. Naszym zdaniem — nie ma innej drogi. Jest to jednak metoda, która stale spotyka się z zarzutami defetyzmu i osłabiania morale. Na zarzuty takie odpowiedzieć możemy tylko jedno: gdyby **Przedwiośnia** Żeromskiego nie skwitowano zarzutem bolszewizactwa, a zawczasu uczeźwie przewietrzono zatechle zakamarki polskiej rzeczywistości — to zapewne nie byłoby niektórych haniebnych zjawisk.

Nawet pracy światopoglądowej nie można prowadzić w kompletnej abstrakcji. Zrozumiałe jest, że naszym punktem wyjścia jest zawsze Polska, a więc przede wszystkim Kraj. Zmusza to nas do stałego obserwowania, analizowania i wyciągania wniosków z sytuacji krajowej. Dysponując siłą rzeczy fragmentami obserwacji i wiadomości nie możemy wyciągać wniosków z arbitralnych lecz musimy operować dyskusją. Do tej dziedziny należy również dzisiejszy artykuł Al. Korczyńskiego.

REDAKTOR.

Być albo nie być

Cieężko jest pisać o tym co boli bólem dogłębnym, szarpiącym, sięgającym tych nici tajemnych duszy i serca, które wiążą nas niewidzialnie a mocno ze zbiorową duszą narodu. Trudno jest pisać o prawdzie bolesnej, której widzieć się nie chce. Gdybyż tylko pokryto ją znową milczenia. Ale nie! W jej miejsce stworzono fałszywą legendę, mit-fikcję, którą okłamujemy samych siebie w sposób jak najbardziej doskonały, krzwiąc ją i propagując poprzez uroczystą, koturnową pustkę przemówień okolicznościowych i oświadczeń czy deklaracji, poprzez patriotyczną łatwinę frazesów gesto przetykających artykuły i artykułiki wolnej prasy polskiej. Problem tabu. Problem ukryty za zasłoną o barwie narodowego sztandaru, przystrojonego wianką kwiecica i cierniowym wieńcem z umieszczoną obok tabliczką ostrzegawczą: „Wara”! A przecież myśl nie wypowiedziana, ukryta, stłamszona w sobie, nie mniej boli i ciągle powraca.

Jesteśmy narodem zamiłowanym w tworzeniu legend i żyjącym legendami. Dlaczego? Zapewne dlatego, że w żadnym innym narodzie nie wyrobiło się tak silne poczucie związku z przeszłością historyczną, tak mocna świadomość powiązania własnego, dziś przeżywanego i tworzonego momentu dziejowego ze zbiorowym bytem narodu poprzez wieki, tak osobistego niemal stosunku do dziejów ojczystych jak u każdego Polaka. A legenda to historia. To realna rzeczywistość. Bo na legendzie, będącej przyjętą przez naród interpretacją historii, wyrosły później rzeczywiste fakty historyczne. Legendą karmione następne pokolenia tworzyły dalsze dzieje. Legenda jakże często determinowała ich reakcje, ich czyny. I tak weszła w historię, weszła w rzeczywistość, żyje wśród nas i w każdym z nas i wciela się ciągle na nowo w naszych myślach i czynkach. Jest w tym pewne niebezpieczeństwo. Bo pono *historia est magistra vitae*. Jakżeż więc można dobre wyciągnąć nauki z legendy lub historii na legendzie wyrosłej? Gorzej, jeżeli miast współczesnej nam rzeczywistości widzimy legendę. Właściwa ocena tej rzeczywistości ma bowiem przede wszystkim służyć za podstawę do wyciągnięcia wniosków dla słusznego postępowania.

Taką legendę, która przesłania nam „rzeczywistą rzeczywistość” wytworzyliśmy wszyscy zbiorowym wysiłkiem dookoła

Kraju. Kraju przez duże „K”. Słowo-legenda, słowo-mit, słowo-świętość. Kraj — wielka niemowa. Tak było czasu wojny i tak jest i teraz. Ilekroć chciał ktoś taką czy inną misterną uwikłać intrygę, a brakło argumentów, wyciągał to słowo-zakłęcie i mówił, że „Kraj życzy sobie”. Ilekroć chciał ktoś zrzucić z siebie odpowiedzialność, mówił „Kraj musi zdecydować”. Czym był „Kraj” w takich momentach? Fikcją. Bo oznaczał kilku ludzi, którzy nie mieli żadnych możliwości technicznych konsultowania woli narodu. Ale nie o to nam chodzi. Chodzi o pewien specyficzny kompleks „Kraju”, jaki się w nas wytworzył. Kompleks niższości, kompleks winy. Kraj „cierpiał”, „trwał”, „walczył”, a my zbijaliśmy baki. I dziś Kraj cierpi, znosi, walczy, trwa, pracuje, odbudowuje się w krwawym pocie i wysiłku nadmiernym, a my żyjemy jak rentierzy, pławimy się w dostatku, zabawie i rozpuście. I naród polski jest tylko w Kraju, na ziemi ojczystej. A my cóż? A my zasłuchani w echa zeń płynące, chwytający rzeczywisty głos „wielkiego niemowy”, aby li tylko jak głośnik wolnemu światu go powtórzyć. Uwikłani beznadziejnie w ten kompleks, omamieni słowem-legendą, słowem-mitem, nie chcemy uwierzyć w rzeczywistość bolesną, tragiczną, kryjącą w sobie oznaki rozkładu jeżeli nawet nie rysy, grożące zagładą narodowego bytu. I z Kraju oczekujemy decyzji w tym historycznym momencie nadchodzącego kryzysu w apokaliptycznym niemal wymiarze, w przeddzień trzeciej światowej a pierwszej atomowej. W Kraju szukamy natchnienia, przez pryzmat Kraju widzicie chcemy sytuację. Bo to nam pozwoli zrzucić z siebie odpowiedzialność, umyć ręce, uspokoić swoje sumienie, rozgrzeszyć strach przed decyzją. Wystarczy potem powiedzieć to zakłęte słowo-hasło: „Kraj tak chciał”.

Kompleks niższości i kompleks winy w stosunku do Kraju tkwi swymi korzeniami w fakcie opuszczenia granic. Sięga jeszcze żagwiącego września. Zrodził się z osadu jaki na duszach pozostawił pył zaleszczyckiej szosy. Choć nie wszyscy przez nią przejechaliśmy. A gdyby nawet? Kiedy opuszczaliśmy Kraj, bóg już dogasał. Nie była to ucieczka z placu boju. Nikt w tym momencie nie przewidywał jeszcze jakim piekłem będzie okupacja. Można było — jak Francuzi w 1940 roku — rzucić karabin i wrócić spokojnie do domu. *Finie la guerre!* Zresztą ogromna część pośród nas, to ludzie, którzy Kraju nie opuścili, ale zostali zeń wywiezieni. Jeśli zaś chodzi o młodzież, która masami przechodziła granice owej zimy 1939/1940, to wędrowali do mitycznej armii polskiej we Francji bardziej bojowi, bardziej twardzi, bardziej ideowi. Choć zapewne była w tym i żyłka wielkiej przygody. Pozostawali w domu, „u mamy”, słabsi, mniej przedsiębiorczy. W tym czasie jeszcze nie było żadną zasługą zostać. A potem tu i tam należało spełnić swój obowiązek. Nie było zasługą pozostanie, nie było winą odejście. Z tych co zostali, nie każdy jest bohaterem dlatego tylko, że został. Zapewne byli w Kraju tacy, którzy spełnili o wiele więcej niż obowiązek. Ale o ile więcej było takich, których jedyną zasługą

było to, że przeżyli. Nie jest naszą winą, że nie przecierpieliśmy piekła okupacji. O ile tylko spełniliśmy swój obowiązek. A mam wrażenie, że ogromna większość emigracji wojennej ten swój obowiązek spełniła. Nasz kompleks przeto w stosunku do Kraju — jak większość zresztą kompleksów — ma swoje powody, ale nie ma uzasadnienia. Trochę bardziej złożony jest problem lat powojennych. Oni pracują nad odbudową Kraju — my nie. Oni żyją w więzieniu totalnego ustroju — my pozostaliśmy w świecie wolnym. Czy można tu mówić o winie i o zasłudze? Oni przeważnie nie mieli wyboru. My nie pozostaliśmy na lekkie życie, ale na nędzę, tułaczkę, poniewierkę. Oni pracują pod batem, ale na swojej ziemi i wśród swoich — my jesteśmy wolni, ale skazani na dławiącą tęsknotę, otoczeni światem obcym i niechętnym.

Zdanie sobie sprawy z tego powinno nam ułatwić spojrzenie na rzeczywistość w Kraju bez złudzeń. Mamy wszelkie prawo ją osądzić — podobnie jak i Kraj ma prawo sądzić to co my robimy, względnie czego nie robimy, choć robić powinniśmy. O Kraju mówimy i piszemy, że trwa w oporze, że nieugięta dusza polska, że niezłomny charakter polski, że wieków sięgająca tradycja polska, że jeszcze kilka różnych „że” stanowią razem nieprzebytą zaporę dla agentów Moskwy, że rozbijają się o nie, jak o niewzruszoną opokę, wszelkie zakusy sowietyzacji Kraju. Ze wszystko, co widzimy, to tylko pozory, to gra, polityka, wal-lenrodizm. Ze „popy”, ze Berman, ze agenci, ze Bezpieka, itd., itd. Tymczasem naga rzeczywistość jest cokolwiek inna. W czasie okupacji niemieckiej szczyliciliśmy się tym, że nie było u nas Quislinga. Poniżej przyjdzie nam jeszcze o tym mówić. Jednakże obecnie odbiliśmy sobie to tysiącrotnie. Dziś jesteśmy Krajem quislingów. Być może dla niektórych oczu czy uszu twierdzenie takie jest bluźnierstwem. Być może, iż usłyszę w odpowiedzi, że „szargam”. Ale niestety jest to prawda. Bolesna prawda, ale prawda. Sięgamy dna upadku. Ongiś pod zaborami rządili nami obcy z wyjątkiem Galicji okresu monarchii konstytucyjnej, demokratycznej, parlamentarnej i liberalnej. Gnębili nas carowie rękami swych własnych czynowników. Wynaradawiali królowie pruscy przez rządy swoich landratów. Nie polskimi rękoma się to wszystko odbywało. Pod okupacją niemiecką trzymało nas żelazną pięścią SS. Dziś Kraj komunizowany jest przez Polaków. Nie zwracamy sobie głowy nasłanymi Rosjanami. To są wyjątki, te Radkiewiczze, Zawadzcy et consortes. Ale dwiecieście tysięcy agentów Bezpieki, to są Polacy. Ale posłowie na „sejm” Rzeczypospolitej to są Polacy. Polacy głosowali za ratyfikacją traktatów oddających pół Polski i 10 milionów ziemiaków Sowietaom. Polacy głosowali za pozbawieniem obywatelstwa oficerów armii polskiej na zachodzie. Polacy oskarżają i sądzą patriotów w setkach procesów, urągających wszelkim pozorom sądu i wymiaru sprawiedliwości. Polacy wypisują co dzień w setkach pism najgorsze obrzydliwości, pełne zakłamania i fałszu, pełne zdrady i nikczemnego służalstwa. Polacy na-

dają w setkach miast ulicom nazwy od wypadków i nazwisk, które winny być okryte w historii polskiej milczeniem lub hańbą. To Polacy obrzucają pomyjami i błotem wszystko, co w historii polskiej było wielkie, wspaniałe, co było naprawdę polskie. Oto stało się co ongiś przepowiadał poeta: „...ujrzymy... pod polskim nazwiskiem kryjącą się obcą twarz i obce serce...”

Dlaczego tak się stało? Dlaczego „Kraj bez Quislinga” wydał ich naraz aż tylu? Zapewne wiele rzeczy złożyło się na to. Z dostępnych już dziś dokumentów zdaje się wynikać, że Niemcy w Polsce bynajmniej quislinga nie szukali. Gdyby jednak nawet było inaczej i gdyby nawet takiego znaleźli, nie mógłby on spełnić żadnej roli wobec postawy społeczeństwa. Postawa ta zaś wynikała z brutalnej szczeroci z jaką Niemcy przystąpili do biologicznego tępienia narodu polskiego. Nie było żadnej wątpliwości, że idzie bezlitosna walka o sam byt biologiczny polskiego narodu. Sowiety były znacznie bardziej chytre. Zostawiły Polakom — przynajmniej na początku — pozory niepodległości i własnego, odrębnego bytu. Zostawiły wszelkie dekoracje suwerenności. Byłoby jednak złudzeniem sądzić, że jest to jedyna przyczyna. Było ich więcej. Wśród dzisiejszych kollaboracionistów jest zapewne wielu ludzi, którzy przed wojną dążyli do przemian społecznych w Polsce. Realizacja tych przemian przez nowy reżim pozwoliła im na początku przymknąć oczy na jego niepolskie pochodzenie, oddawać się złudzeniom. Dziś zapewne już te złudzenia stracili i nie widzą dla siebie drogi odwrotu. Wywracając dawny porządek społeczny w Polsce, reżim związał ze sobą ludzi wydobytych na powierzchnię. Skład tej nowej elity nie jest oczywiście zwarty. Przedwojenne życie publiczne polskie charakteryzował zastój pokoleniowy. Naprzód odzyskanie niepodległości, potem zamach majowy wprowadził do warstwy rządzącej ludzi stosunkowo młodych. Czując się młodzi, nie chcieli oni dopuścić do głosu młodszych od siebie. Tymczasem lata płynęły, pierwsze pokolenie, wychowane w niepodległej ojczyźnie, nie tylko dojrzało, ale zaczynało już się starzeć i ciągle jeszcze terminowało w charakterze „młodzieży”. Nowy reżim dał szansę życiową młodym i najmłodszym. Więcej — dał też szansę ludziom, wydobytym z dołów społecznych. Ponadto ludziom, którym brak kwalifikacji moralnych i intelektualnych zamykał drogę do wysokiej kariery w każdym uporządkowanym społeczeństwie, dla których „rewolucja” jest jedyną szansą wyładowania swej żądzy władzy i swych kompleksów niższości. Ci ludzie zwłaszcza — różnego rodzaju trzeciorzędni pisarze, dziennikarze, aplikanci adwokacy, którzy wyżywają się dziś na stanowiskach podsekretarza stanu, dyrektorów departamentów, ambasadorów i ministrów pełnomocnych, otoczeni całą zgają po prostu ćwierćinteligentów w roli naczelników, radców i dyrektorów przedsiębiorstw państwowych — są najbardziej wierną gwardią i podporą Sowietów. Ich kariera osobista jest związana z nowym reżimem. Odporność zaś społeczeństwa zmniejszona jest przez wyczerpa-

nie okupacją niemiecką i wstrząs, spowodowany zdradą Zachodu.

Wszystkie zjawiska, powyżej przez nas odnotowane, w niczym nie uzasadniają optymizmu i wiary z jakimi odnosimy się do objawów postępującej sowietyzacji, a nawet i rusyfikacji. Kraju. W chwili kiedy piszę te słowa poczta przyniosła mi codzienną paczkę różnych pism polskich. Jedno z nich, donosząc o korespondencji „The Times” z Polski, stwierdzającej tę sowietyzację, nazywa wywody angielskiego dziennikarza „powierzchnową oceną”. Czytamy tam na zakończenie: „...nie mamy żadnej wątpliwości, że zahartowane w walce z azjatyckim wschodem społeczeństwo polskie potrafi całym armiom politruków i milionowym nakładom talmudu komunistycznego stawić opór aż do zwycięskiej likwidacji rosyjskiego okupanta”. A wszystko to jest argumentowane faktem, że przez 150 lat nie ulegliśmy wynarodowieniu. Jeszcze jeden dowód więcej naszych złudzeń. Już sam fakt, że reżim zmobilizował armie politruków pośród Polaków, że znalazł kilkaset tysięcy kollaboracionistów jest najlepszym dowodem postępującej sowietyzacji.

O co toczy się w tej chwili walka? Chodzi o duszę polskiego narodu. A więc chodzi o jego istnienie, o jego być albo nie być. Naród polski wykształcił w ciągu wieków swój własny indywidualny charakter i swoją własną ideę życia zbiorowego, tak samo, jak wykształcił swój język i swe obyczaje. Stanowią one o naszej odrębności narodowej nierównie może bardziej niż język polski. To one przede wszystkim pozwalały się odnajdywać w chwilach historycznych przełomów Polakom z różnych części świata i różnych zaborów, z różnych partii i różnych stanów. To one wiązały ich w jedną całość — choć tak nieraz różnolita. Od lat kilku okupant stara się rękoma swych agentów i agentów swoich agentów tę polską duszę zniszczyć, wypełnić, unicestwić i urobić charakter polski na obraz i podobieństwo swoje. Jeżeli ta operacja się uda, naród polski — nawet zachowując swój język — stanie się innym narodem, lub może tylko zobojętniałą, bezbarwną masą, cyfrą statystyczną mieszkańców, mniejsza o to czyje i jak nazwanej prowincji.

Fakt, że do tej pracy reżim potrafił zaprząć tysiące najbardziej rdzennych Polaków, już sam świadczy o tym, jak realne i jak bliskie jest niebezpieczeństwo. Zbliżamy się na skraj przepaści. I z tego obowiązkiem jest naszym tu na emigracji zdać sobie jasno, trzeźwo i bez złudzeń sprawę. Dziesięć zaledwie lat minęło, a już dziś żaden reprezentant Polski nie mógłby rzucić światu dumnego oświadczenia, że my Polacy nie znamy pokoju za wszelką cenę, że dla nas Polaków tylko honor jest rzeczą bezcenną. Bo dziś już znamy pokój za wszelką cenę i znamy już cenę na honor. U niektórych Polaków okazała się ona nawet nie tak bardzo wysoka. Wyraziła się w tekach ministerialnych, w dyrektorskich limuzynach, w dyplomatycznych frakach, w nagrodach literackich i krzyżach Grunwaldu...

Nie chodzi bynajmniej o rozdzieranie szat, załamywanie rąk,

o puste jeremiady, o „drzewo rozpaczające”. Chodzi o to, aby zdać sobie sprawę, że oto stanęliśmy przed problemem być albo nie być. I z tego, co nam czynić należy, aby jednak być. Czyż nie w miarę naszych możliwości. Ponieważ tylko konflikt Rosji z światem zachodnim może nas uratować, na ten konflikt właśnie już dziś powinniśmy skierować wszystkie nasze mizerne i skromne wysiłki. Deklarowanie dziś neutralności w zbliżającym się konflikcie jest samobójczym szaleństwem. Będzie nim również w chwili, gdy konflikt wybuchnie. Nasza koncepcja neutralnego „ratowania biologicznego bytu narodu polskiego” w wypadku konfliktu, wynika, jak to słusznie podkreślił Józef Mackiewicz w artykule pt. „Jak się zachować?” („Wiadomości”, Nr 137), z błędnej oceny zamiarów rosyjskich. Przyjęliśmy niewiadomo dlaczego uproszczony schemat, wyrażający się w zdaniu: „Niemcy niszczyli biologicznie naród polski, Rosjanie niszczą jego duszę”. Przyjąwszy zaś z kolei za pewnik, że tej duszy nie uda mu się zniszczyć, wyciągnęliśmy z tego wnioski. Tymczasem, w rzeczywistości ani Rosjanie nie ograniczają się bynajmniej do walki z polską duszą, ani jej niezniszczalność nie jest tak pewna, jak to już staliśmy się wykazać. Rosja ma czas. Obecna sowietyzacja kraju w niczym nie wyklucza dalszego etapu, którym będzie powolne niszczenie narodu w sensie biologicznym nawet. Czyż przykład tępiących bezlitośnie narodów bałtyckich niczego nie mówi? Czy nie jest w tym względzie pouczająca historia narodu ukraińskiego, który od czasu zjednoczenia z sowiecką ojezyczną stracił kilkanaście milionów ludności, wywiezionych, wytraconych, przesiedlonych? Czyż nie jest prawdą, że w czasie ostatniej wojny, dowództwo sowieckie wysyłało umyślnie i planowo pułki ukraińskie tam, gdzie najgęściej śmierć kosła?

Dlatego koncepcja neutralności polskiej w przyszłym konflikcie, a w szczególności neutralności Kraju niczego nam nie daje i nie jest do przyjęcia. Dość już ofiary polskiej — oto hasło rzucone przez emigrację. Ale przecież poniesiemy ofiary, ofiary ogromne, bezmierne, i w jednym i w drugim wypadku. Poniesiemy je, gdy powstaniami przeciw Rosji i poniesiemy je gdy Kraj pójdzie z Rosją. Różnica jest tylko ta, że w jednym wypadku w walce o swój byt, a w drugim w walce o ugruntowanie swej niewoli, a więc o swoją śmierć narodową. Ale skoro tak czy tak trzeba będzie ginąć — to czyż raczej nie wybrać śmierci pięknej? Zostawmy górne słowa. Zagadnienie ma również oblicze ściśle polityczne. Nie tylko dlatego, że wierzymy, iż konflikt wygra zachód, a ściślej mówiąc Ameryka. Wygrana Rosji jest dla nas śmiercią od której nie wykupimy się najwierniejszą i najbardziej ofiarną służbą wojenną. W obozie sowieckim nie mamy nic do zyskania, a wszystko do stracenia. W obozie drugim istnieją możliwości politycznego wykorzystania naszego w nim udziału. Prawda, zachód już raz nas zdradził, sprzedał, opuścił. Ale płacił tym spokój ze strony Rosji. Po trzeciej wojnie światowej — jeżeli naturalnie nie utonie w niej cała nasza

cywilizacja — nie będzie potrzeby kupować spokoju i nie będzie u kogo go kupować. Natomiast Anglosasi mogą chcieć płacić swoim sojusznikom ziemiami „neutralnych” lub sojuszników sowieckich... I Niemcy mogą wystawić rachunek...

Pozostaje zagadnienie, czy mamy prawo podejmować decyzję o kierunku polityki polskiej w zbliżającym się konflikcie w imieniu całego narodu polskiego. Nikt zapewne nie będzie przeczył temu, że emigracja ma większe dużo niż Kraj możliwości w tym względzie. Po pierwsze ma możliwość lepszej oceny sytuacji, niż Kraj odcięty od świata żelazną kurtyną i skazany na kołowrotek zakłamaney propagandy sowieckiej. Po drugie ma możność swobodnej wymiany zdań, urobienia sobie poglądu i również swobodnego powzięcia decyzji. Ale wszak „naród polski jest w Kraju, a nie na emigracji”. Kraj przeto decydować powinien, choć nie może. Znów w tym wypadku odgrywa rolę nasz kompleks niższości w stosunku do Kraju. A może tylko brak odwagi? Nie jest prawdą, że naród polski jest tylko w Kraju. Naród polski jest wszędzie tam, gdzie są Polacy. Jest także i na emigracji. Prawda — tam jest ich przeszło dwadzieścia milionów. Tu kilkaset tysięcy zaledwie. Ale tam nie mają możliwości powzięcia decyzji, a my ją mamy. Dlatego mamy prawo ją podjąć. Czy tylko prawo? Pozwolę sobie przytoczyć cytat, który właśnie mam pod ręką. Jest to ustęp przemówienia znakomitego krytyka Ostapa Ortwina na obchodzie dwudziestolecia zgonu Stanisława Wyspiańskiego, we Lwowie w dniu 27 listopada 1927 roku. „Odbudowa państwa niczego w tym stanie rzeczy nie zmienia i nikogo nie zwalnia od osobistej odpowiedzialności za obecność i przyszłość narodu. Polska — to wciąż jeszcze wielka rzecz, a zagadnienie jej bytu, trwania, wielkości i śmierci ciąży na sumieniu każdego z nas z osobna”. Było to prawdą w dniach niepodległego państwa i jest po storkoć bardziej prawdą dziś, gdy państwa tego nie stało. Nikt nie może nas zwolnić od odpowiedzialności za przyszłość narodu w tym historycznym momencie tragicznej decyzji. Nikt nie zdejmie nam z sumienia tego ciężaru. Stanowi to nasze prawo, a zarazem nasz obowiązek.

Aleksander KORCZYNSKI.

Sprawy i troski

Analiza rozkładu

Gdy we wrześniu, a potem w październiku i w następnych miesiącach pamiętnego roku kłęski zaczęły napływać do Paryża liczne grupy uchodźców z Polski, rychło można było zdać sobie sprawę, że z przybyłych większość stanowią nie ci, którzy z Polski wyjechać byli powinni, lecz ci, którzy posiadali możliwości po temu. W rezultacie, skład grupy przybyłej do Francji nie stanowił w swoim zespole odbicia zbiorowych wartości społeczeństwa polskiego i jego procentowego podziału na grupy w Kraju istniejące, a tam zróżniczkowane według stopnia posiadanej wiedzy, inteligencji, majątku, czy wreszcie kultury i wartości moralnych. Przeciętna wartości, moralnych zwłaszcza, była u pierwszych przybywających o wiele niższa, niż takaż przeciętna poprzednio w Polsce istniejąca, choć nigdy w statystyce nie wykazywana, bo niemożliwa do wykazania.

Zjechał do Paryża generał Sikorski, jedyny wówczas człowiek stanowiący dla nas, a potem i dla świata całego, hasło i symbol, około którego mogła się zgromadzić poza granicami już zajętej przez wroga Polski, nasza chęć walki i nasza racja stanu. Historia osądzi czy i jak generał Sikorski wywiązał się z zadań nałożonych na niego przez wypadki i z roli jaką ofiarnie, ale zapewne i bez wahania przyjął na siebie. Nie jest moim celem pisanie w tym artykule biografii Generała, ani jego oceny. Cokolwiek zresztą miałbym napisać, nie mógłbym pominąć stwierdzenia, że wówczas ściągał istotnie do siebie to wszystko, co pragnęło odwetu i walki z Niemcami, ale też niestety i wszystko to, co w nieszczęściu Kraju widziało okazję do znalezienia na dobrze płatnych stanowiskach ośskoczni dla własnych ambicji i karier. Nie wiem w jakiej mierze było winą samego Generała, że nawet w jego najbliższym otoczeniu nie tylko się znaleźli, ale i uzyskali pełne możliwości działania i wpływów ludzie o skrajnie ujemnych wartościach. Wszyscy pamiętamy

jakie to przyniosło owoce. Panoszyło się donosicielstwo w Reginie. Dostyc przypomnieć raporty pisane dla „biura badań przy czynnych kłęski”. Pamiętamy, że nawet wojskowi i to wszystkich stopni, byli zmuszani do składania raportów-donosów na swoich przełożonych. Zapewniono im zupełną bezkarność za to co napisali, choćby nie poparli swoich wywodów żadnymi dowodami. Kto choćby raz był wezwany do Reginy dla złożenia zeznań o działalności wybitniejszych w Polsce ludzi i przesłuchiwany tam przez różnych panów Modelskich i innych, ten aż nadto dobrze wie, że nie ma przesady w moich słowach i razem ze mną stwierdzi, że innych uczuć jak niesmaku nie mógł wtedy wynieść z Reginy. Gdy tylko zjawił się w Paryżu ktoś mający nieporozumienia z dawnym Rządem Rzeczypospolitej, ten od razu z dworca kolejowego wchodził do Reginy w aureoli męczennika. Męczennika, którego złe kiedyś potraktowanie przez Sanację było, jego zdaniem, jedną z przyczyn kłęski Kraju. Nikt nie wchodził w to, czy przypadkiem powodem uprzednich dyskwalifikacji panów X, czy Y nie był także ich własny poziom etyczny. Nie. Każdy z nich był przyjmowany przez półpanków Reginy z otwartymi ramionami, jako idealne narzędzie do przeprowadzania w mętnej atmosferze własnej polityki zemsty za jakoby doznane niesprawiedliwości. Panowie ci byli traktowani na równi z istotnymi ofiarami innych niż dawny Rząd poglądów. Podciągnięci zostali do poziomu ideowych ofiar Brzeźcia i Berezy. Podszedłszy raz tak wysoko i dobrze usadowieni robili w niesławnej pamięci Reginie deszcz i pogodę. Dobrze im było w Paryżu i dobrze w Reginie, czynili też usilne starania, aby cały ten aparat utrzymać na miejscu. Gdy w końcu Francuzi przeprowadzili przeniesienie większości biur polskich do Angers, uważali to za krzywdę. Przyszła potem kłęska Francji. Rząd nasz przeniósł się do Londynu. Nie wiem czy i w jakim stopniu generał Sikorski mógł wykorzystać konieczność przeniesienia swojego aparatu do Anglii jako okazję do otrzepania się z tego wszystkiego, co stanowiło ujemnie o jego składzie, ale bodaj, że wcale z okazji nie skorzystał. Nie wiem, czy skorzystał już nie mógł, czy też może, co nie byłoby dobrym dla niego świadectwem, potrzeby oczyszczenia atmosfery około siebie nie widział.

W okupowanym Paryżu pozostał duchowy wódz emigracji polskiej, Ksiądz Rektor Cegiełka. Pierwsze miesiące życia Polaków w Paryżu, po jego zajęciu przez wojska niemieckie, były może najjaśniejszym okresem, jeśli chodzi o poziom moralny i wielką solidarność w noszeniu wspólnej niedoli i w walce o ulżenie losu rodaków. Postać Księdza Rektora była gorącą pochodnią serca i dobrej woli, do której garnęli się, nie szukający karier, lecz, tak jak i on sam nieszczęśliwi po otuchę i radę. Nie było wtedy posad. Nie było intratnych stanowisk. Ci, co działali, działali w myśl nakazów jakie im dyktowała miłość do Polski i rodaków. Chęć dopomożenia im w nieszczęściu. Ten okres przeszedł zamknięty rękami Gestapo, ale prze-

szedł chwalebnie. Nie jest znowu moją rolą wykazywania tutaj jak wielką Ksiądz Cegiełka ma zasługę w ratowaniu resztek zmarnowanej najlepszej części emigracji Polskiej we Francji, to jest tych, którzy nie szukając karier włożyli mundur. Faktem jest, że w chwili, gdy Ksiądz został aresztowany i deportowany niewielu już pozostało w Paryżu oczekujących na możliwość przedostania się na południe Francji i dalej, jeszcze raz do szeregów.

W wolnej strefie francuskiej nastąpiła nowa epoka dla Polaków. Zorganizowano nędzną wegetację obozów. Zapewniono licznym rzeszom bezdomnych nieszczęśliwców dach nad głową i minimum utrzymania — to prawda, ale jednocześnie odebrano im chęć do indywidualnych starań o byt w zamian za pracę. Zamiast starań o nią w warsztatach francuskich stworzono atmosferę męczeńskiego próżniactwa. Podobnie, choć trochę inaczej, w Anglii. Tam znowu zamiast starań o wejście w ramy przemysłu wojennego Anglii, premiowano nieróbstwo zamawiając „prace zlecone”. Życie bez odpowiedzialności stało się udziałem wszystkich, poza wojskiem i poza aparatem rządowym. Że w obozach jeńców, w ciągu długich lat, nasi oficerowie zabijali czas i nudę kartami i niekończącymi się dysputami na temat „planowania na po wojnie”, że tworzono tam całe biura personalne i ustalano kandydatury na stanowiska przyszłych wojewodów i starostów, to ostatecznie można wytłumaczyć warunkami w jakich żyli jeńcy w obozach niemieckich, ale dla czego my sami za najlepszą formę przetrwania wojny na obczyźnie uznaliśmy zorganizowane próżnowanie, tego nigdy nie pojmę. Nie wyrównają strat w wartościach ludzkich organizowane, tu i ówdzie kursy samokształcenia. To tylko niektórym dało odtrutkę przeciwko rozkładowej atmosferze w jakiej trwać musieli. Istnieje chyba w nas skłonność do jakiegoś zbiorowego masochizmu, która decyduje, że wolimy obóz z minimum możliwości bytowania od samodzielnej walki poprzez pracę o zdrowszą atmosferę. Nie mówię tego bez podstaw. Pamiętam doskonale rozmowę z kierowniczkami jednego z obozów kobiecych w Niemczech, odbytą już po ich uwolnieniu. W rozmowie tej doszło pomiędzy nami do ostrej wymiany zdań na temat polityki, jaką stosować należy w odniesieniu do nadal przetrzymywanych w tych obozach kobiet. Panowała tam opinia, że każda z kobiet, która uzyska możliwość pracy poza obozem i ten opuści, popełnia wobec koleżanek akt nielojalności. Wyjdą z obozu wszystkie, albo żadna. Czym tłumaczyć taką politykę? Mimowoli przychodzi do głowy zapytanie, czy aby nie chęcią utrzymania swoich stanowisk szefów, którzy staną się zbędnymi, lub mniej „ważni”, gdy pupilek ubędzie. Trudno zaprzeczyć, że wojna stworzyła wszędzie warunki sprzyjające deprawacji i rozkładowi woli. Unrra i obozy D.P. odegrały pod tym względem także nie małą rolę. Równoległe z destruktoryjnym wpływem obozów szła demoralizacja łatwych zarobków, gdy się ktoś raz poza obóz wydostał. Powszechnie w tych czasach stosowany przez

spekulantów wszystkich narodów czarny handel przyczynił się w walnie do dalszego obniżenia poziomu wartości moralnych.

Jakkolwiek było, Polacy żyli na emigracji za parawanem względnego bardzo, ale jednak dobrobytu i wymierzonej miesięcznie bez troski o jutrzejszy posiłek. Parawan ten zastawiał rzeczy, których bodaj nie należało pokazywać światu. Usunięty został w sposób bezwzględny i cyniczny — to prawda, ale za to co za nim było alianci tylko w małej części ponoszą winę. Ponosimy ją my sami. Pisząc o zdjęciu parawanu myślę o uznaniu rządu warszawskiego przez aliantów i o, za tym aktem idących pozbawieniach emigracji wszelkich budżetów, subsydiów i stanowisk. Skończyła się atmosfera bez troski o jutro. Egzamin, przed jakim stanęli Polacy na emigracji okazał się zbyt trudny dla wielu. Od tego czasu jesteśmy świadkami przykrych objawów, usprawiedliwiających w pewnej mierze surowe sądy o nas. Ratuj się, kto może i jak może, stało się ogólnym hasłem dnia. Aplikacja tego hasła miała wszelkie cechy właściwe przysłowiowemu pożarowi w wesołym lokalu, mimo, że nasz lokal nie był wcale wesoły. Rozpoczęli „wielcy naszego świata” ze swoim programem ratowania spraw nie do uratowania. Potem przyszła kolej na wojskowych, którzy w niektórych wypadkach uważali za słuszne i godziwe zabrać ze sobą do Warszawy, zamiast gajtów i piernaczy posiadane wiadomości i materiały. Byli wśród nich przecież wyżsi oficerowie, którzy nie wahali się przejść do obozu warszawskiego, nie tylko jako urażone (historia się powtarza) wielkości, ale jako czystość opinii polskiej z niezbędnymi dla tej pracy kartotekami. Jak tych ludzi dobierano? Kto ponosi odpowiedzialność za fakt, że dzisiaj w Warszawie pełno naszych byłych dwójkarzy i to wysokich stopni? Oni sami są winowajcami, ale przecie ktoś ich przedtem znał, bo nimi kierował i powinien był możliwość, że już nie mówię, prawdopodobieństwo takich wyłamań przewidzieć. Słabych mieliśmy kierowników na różnych placówkach. Nie wystarczy mieć na stanowiskach odpowiedzialnych ludzi, którzy sami nie wyłamali i nie kradli pieniędzy i zaufania. Trzeba było od tych wybitniejszych stanowiskiem wymagać, aby i w godzinach próby umieli zabezpieczyć interes ogólny, bez oczekiwania na dyspozycje. Grunt przecie palił się pod nogami, gdy oni pisali raporty i zapytania. Czujność na tych stanowiskach była i jest tym potrzebniejsza, że w miarę krzepnięcia aparatu Warszawy wzrastały jego możliwości niehamowane żadną etyką. Dywersja stosowana przez agentów jawnych i ukrytych Warszawy stokratne dla niej, a dla nas gorzkie przynosi owoce. My zaś, jak dzieci, wiele placówek i wielu naszych ludzi oddaliśmy im sami w ręce. Nie umieliśmy zrozumieć, że Warszawie więcej zależy na pozyskaniu jednego człowieka o pewnym ciężarze gatunkowym, niż na tysiącu pionków. Walczyliśmy przede wszystkim o pionki. Każdy pozyskany przez Warszawę z naszego grona ex-minister, czy dyrektor departamentu był koniem trojańskim, w którym do nowego ustroju wjeżdżało wielu następ-

nych. Wybitny fachowiec był dla nich (do czasu) wart tyle, ile sam waży, ale o ileż więcej są dla nich warci czyści idealisci. Możliwość użycia przez Warszawę argumentu, że „nasza sprawa jest słuszna, bo z nami idą przecie tacy to, a tacy nieposzlakowani ludzie”, ma swoją wymowę. To też decyduje, że dzisiaj, już po spełnieniu przez niektórych oczekiwanego od nich zadania, system obecny w Polsce prędzej wykańcza fachowców (zaczynając od głębszych — łatwiejszych do zastąpienia) od ludzi, którzy poszli tam z przekonania. Na tych przyjdzie kolej później. Cały początkowy wysiłek przedstawicielstw Warszawy szedł więc w kierunku pozyskiwania tych czystych przede wszystkim. O kanalię byli spokojni. Ta zawsze jest do kupienia. Stworzono dla uczciwych całą ideologię konieczności współpracy ludzi z emigracji z Warszawą. Gdy ja wyjdę, lub nie wejdę, na moje miejsce przyjdzie komunista. To dopiero będzie straszne. Ale „póki my żyjemy” nie jest jeszcze najgorzej. A iluż było takich, którzy sądzili, że będą chytrzejsi od wszystkich przestudiowanych metod NKWD. Czyż i Mikołajczyk nie sądził, że przechrzty Stalina. Zapomnieli, że nie wolno szatanowi podać nawet małego palca, jako, że od rzemyczka do koniczka i że nigdzie konieczność powiedzenia B, gdy się powiedziało A, nie jest tak nieodparta jak w tej sprawie i w tych czasach. Iluż to jest takich, którzy rozpoczęli współpracę ludząc się, że na małym stanowisku będą mogli ograniczyć się do fachowych zadań, dalekich od wszelkiej, nie tylko polityki, ale nawet potrzeby wypowiedzi. Sądzili naiwnie, że choć powiedzieli owe A, do B nigdy ich nie zmuszą. Dzisiaj są już chyba gdzieś w połowie alfabetu. Gdy się na zimno na to wszystko patrzy, można zrozumieć (zrozumieć — nie wyrozumieć), że najpierw poszli idealisci, potem ufnie w swój spryt, nieobciążeni żadnym wyznawanym ideałem spekulanci, ale gdy tych i tych już wykorzystano, pozostała do wzięcia już chyba tylko głupia kanalia. Do tej kategorii nowych wyznawców Warszawy nie pilno. Najlepszym tego dowodem jest fakt, że nagonka na ludzi ostatnio jakby ustała. Mamy na to miejsce inne zjawisko. Zjawisko powrotu, tu i ówdzie, tych którzy tam poszli. Zamiast na ich widok wołać już z daleka „nieczysty, nieczysty!”, pozwalamy im przybierać postawę męczenników za ideały i dalej bałamucić, już i bez tego obałamuconych. Mamy tych męczenników dzisiaj cały wachlarz, a przecie są tacy, którzy jeszcze tam tkwiąc, już sobie między nami przygotowują aureole niby Wallenrodów. Bierność naszej opinii publicznej, czy raczej zupełny jej brak, pozwala tym handlarzom sumieniem, własnym i narodowym działać dalej bezkarnie. Takie nasze stanowisko ośmiela wielu. Zawsze się znajdują spekulanci, gdy wiedzą, że w wypadku niepowodzenia nie spotka ich osąd na jaki zasłużyli.

Gdy się do tego wszystkiego doda troskę o żyjących w Kraju, zwłaszcza o to dzisiaj zaledwo pełnoletnie i jeszcze niedorośle pokolenie, które z taką trudnością broni się przed poli-

tyką usypiania czujności i rozbijania moralnego, do strasznych można dojść wniosków. Zepchnięci zostaliśmy do racji stanu, którą jednym można określić słowem — przetrwanie. Ale jak przetrwamy i czy w ogóle przetrwamy? Dziwnym jesteście narodem. Zawsze byliśmy zrywni do walki o byt samodzielny Kraju. Walki wszczynanej niejednokrotnie bez żadnych szans powodzenia. Niezdolni do tego o co walczymy. Czy zwrócił kto kiedy uwagę na słowa naszych hymnów narodowych? Jest w nich jakiś niepokojący trzon niewiary w przyszłość. Jakiś bohaterski defetyzm. Jak bo określić słowa „jeszcze nie zginęła?” Co tutaj znaczy słowo — „jeszcze”? Inne hymny polskie, są wszystkie, chyba bez wyjątku modlitwami. Nie ma w żadnym z nich nuty triumfu i chwały osiągnięć. Może się wydawać, że w ostatniej wojnie i potem w długiej, straszniejszej od samej wojny, okupacji z powstaniem warszawskim włącznie, walka z wrogiem tak wyczerpała i wykruszyła siły Narodu, że dzisiaj nie jest on zdolny nie tylko do walki, ale bodaj do zachowania w jednostkach od których można było tego oczekiwać, godnej postawy. Nie twierdzą bynajmniej, że trzeba dzisiaj walczyć. Niech Bóg zachowa. Nie sądzę, aby to niebezpieczeństwo istniało, ale ktokolwiek i w czymkolwiek interesie dążyłby do wywołania w Polsce jeszcze jednego powstania, popełniałby zbrodnię. Na szczęście, czy na nieszczęście, nie od naszych karabinów zależy będzie wynik walki złego z dobrym na świecie. Jeśli jednak doczekamy czego pragniemy, jeśli przetrwamy, od nas samych zależy będzie czy w odbudowie, nie tylko materialnej, Ojczyzny będziemy istotnie pożyteczni. Nie robimy dzisiaj w tym kierunku niczego, co nosić by mogło charakter akcji lub stanowiska podyktowanych racją stanu. Bo też nie mamy jej. Zapytuję wręcz, czy który z tak bardzo licznych obozów emigracyjnej polskiej myśli politycznej zdobył się na ułożenie programu przetrwania? Przetrwania, nie jako stronnictwo, lecz jako Naród. Nic nie wiem o tym, aby tak być miało. A przecie myśli z takim związane programem pchają się same do głowy. Trzeba tylko odłożyć na bok interes swego stronnictwa i troskę o klucz partyjny przyszłego sejmu wolnej Polski. Co powiedzielibyśmy o straży ogniowej, która wobec pożaru, zamiast go gasić omawia klucz podziału korzyści odbudowy. Czyż wszystkie nasze stronnictwa — in partibus infidelium — nie przypominają takich deliberujących straży ogniowych. Według mnie tak.

Szymon KONARSKI.

Perspektywy emigracji do St. Zjednoczonych

EWOLUCJA AMERYKAŃSKICH POGLĄDÓW
NA KWESTIĘ IMIGRACJI
EUROPEJSKICH UCHODźCÓW WOJENNYCH

Amerykańskie restrykcje imigracyjne zostały zawarte w „Immigration Act 1924”, uchwalonym przez Kongres Stanów Zjednoczonych w roku 1924.

Wolny dotychczas dla emigranta europejskiego dostęp do tego bogatego, o szerokich możliwościach gospodarczych kraju, został w roku 1924 hermetycznie zamknięty.

Ta decyzja, która wybitnie wpływała na wzmocnienie się nędzy społeczeństw europejskich, gospodarzo już poważnie wyścieńczonych w wyniku wojny 1914 — 1918, miała z punktu widzenia interesów amerykańskich, szerokie uzasadnienie polityczne, gospodarcze i rasowe.

Przystępując do prawnego uregulowania kwestii imigracji z powziętym z góry zamiarem, uniemożliwienia jej w drodze ustawodawczej, pracodawca amerykański miał już za sobą w tej dziedzinie poważny zasób doświadczenia, popartego obserwacją przystosowania się do warunków życia amerykańskiego 50 milionów uchodźców europejskich, którzy na przestrzeni drugiej połowy XIX stulecia osiedlili się w U.S.A.

Właśnie rezultaty tej obserwacji przekonały prawodawcę amerykańskiego o konieczności wprowadzenia do polityki imigracyjnej nieznanych dotychczas w prawodawstwie demokratycznym uprzywilejowań i ograniczeń rasowych w stosunku do białego człowieka.

Socjologowie stwierdzili, iż najmniej podatny na asymilację i jednocześnie najtrudniej dostosowujący się do warunków życia amerykańskiego jest emigrant z Europy Wschodniej. „Immigration Act 1924” oparty jest o z góry wyznaczone dla każdego kraju kwoty narodowe, których wysokość wynika z zastosowania określonej stopy procentowej do ilości emigrantów da-

nej narodowości, jacy się już osiedlili w USA w określonym czasie. Wysokość stopy procentowej, jak również okres lat, do których stopa procentowa ma być stosowana, zostały ściśle w ustawie określone. Oczywiście, za podstawę do oznaczenia wysokości kwot narodowych wzięto lata odległe, w ciągu których emigracja ze Wschodniej Europy, torująca sobie dopiero drogę za ocean, w ślad za utartym już od dawna szlakiem z krajów nordyckich, była liczebnie słaba. To jest przyczyna, dla której kwota polska została oznaczona na 6.524 osób rocznie.

Ustawa wprowadza dalsze ograniczenia, które mają być stosowane w granicach przyznanych kwot narodowych. Odtąd władze imigracyjne mogą udzielać wiz wjazdowych jedynie w granicach wyznaczonych kwot i po przedstawieniu przez emigranta urzędowego stwierdzenia, iż posiada on w Stanach Zjednoczonych zapewnione mieszkanie i pracę, i że nie stanie się ciężarem dla miejscowej opieki społecznej. Praktycznie więc emigracja stała się możliwa jedynie dla osób posiadających w USA krewnych lub znajomych.

Zasadniczą cechą ustawy „Immigration Act 1924” jest, że stanowi ona podstawowe prawo imigracyjne. Wszystkie następne akty ustawodawcze w dziedzinie imigracji muszą się stosować do ustawy podstawowej i nie mogą naruszać jej ram, jeżeli idzie o wysokość wyznaczonych przez nią kwot narodowych. Dlatego też ustawa imigracyjna z czerwca 1948 roku o dopuszczeniu na teren USA 205.000 uchodźców wojennych, jakkolwiek stanowi, że wizy imigracyjne będą wydawane bez uwzględnienia kwot narodowych, to jednak obciążać one będą dane kwoty narodowe, tak długo, aż zostaną całkowicie zamortyzowane. Ustawa zastrzega, że kwoty narodowe nie mogą być w tym celu zmniejszone rocznie o więcej jak 50 proc. Ponieważ ustawa obejmuje tylko osoby przebywające w Niemczech, Austrii i Italii, przeto formalnie połowa (praktycznie cała kwota) kwoty jest przeniesiona na te kraje, co spowoduje ten skutek, że uzyskanie przez Polaka, zamieszkałego w innym kraju, wizy jest przez szereg następnych lat niemożliwe.

Wskazaliśmy, że podstawowym warunkiem uzyskania przez uchodźcę wizy jest urzędowe udowodnienie, iż posiada on zapewnione w USA mieszkanie i pracę. Amerykańskie władze imigracyjne zdawały sobie sprawę z tego, iż uchodźca wojenny, przebywający w obozie od 10 lat nawet przy posiadaniu krewnych czy znajomych w USA nie będzie w stanie zapewnić sobie mieszkanie i pracy we własnym zakresie ze powodu utracenia kontaktu ze światem zewnętrznym. Chcąc przyjąć mu z pomocą, prawodawca zastosował przepis, dający możliwość amerykańskim reprezentacjom społecznym i organizacjom narodowym wystawiania affidavitów grupowych, a nawet indywidualnych, bezimiennych. Jasną jest rzeczą, że organizacje w razie potrzeby muszą wykazać kto konkretnie danemu uchodźcy gwarantował mieszkanie i pracę. To znaczy, że muszą one wyszukać tzw. sponsorów, aby zadość uczynić wymogowi ustawy.

Ten tryb postępowania wprowadza zasadnicze i wielkie ułatwienia do procedury uzyskiwania wiz i przyspieszenia samej procedury.

W dalszym ciągu przepisy wykonawcze do ustawy powierzają przeprowadzenie prac przygotowawczych do jej wykonania — a więc zaopatrzenie kandydata do emigracji w potrzebne dokumenty — amerykańskim społecznym organizacjom wyznaczonym. W stosunku do Polaków zostały powierzone te czynności National Catholic Welfare Conference (NCWC), której członkiem jest Rada Polonii amerykańskiej, posiadającej swe agentury na terenie Niemiec i Austrii. Ponadto Kongres Polonii Amerykańskiej uzyskał również prawo wystawiania affidavitów.

W ten sposób ustawodawca ciężar odpowiedzialności za właściwe wykorzystanie dobrodziejstw ustawy na rzecz zainteresowanych narodowych grup uchodźczych złożył całkowicie na barki odpowiednich narodowościowych i wyznaniowych organizacji amerykańskich.

Innymi słowy, ilość uchodźców polskich, jaka będzie mogła wyjechać do Stanów Zjednoczonych zależy od ilości affidavitów jaką Polonia Amerykańska zdoła zebrać i nadesłać do Niemiec.

Ustawa z czerwca 1948 roku była uchwalona w okresie wyborów Kongresu i Prezydenta USA. Nosi ona ujemne ślady pośpiesznego załatwienia. W tym gorącym okresie była ona jednym z argumentów propagandowych w rękach żonglerów polityczno-wyborczych. Zawiera ona szereg niecisłych określeń prawniczych, jak również szereg ograniczeń. Jest to pierwsza o szerokich ramach ustawa imigracyjna, wydana po 25 latach. Ażeby ją przeprowadzić, opinia musiała przezwyciężyć prądy izolacjonistyczne. St. Zjednoczone, zaangażowane moralnie i prestiżowo w sprawę uchodźców wojennych, przez swój udział w Międzynarodowej Organizacji Opieki nad Uchodźcami (IRO) oraz budżetowanie w 70% swymi pieniędzmi tej organizacji, zdecydowały, iż nie mogą pozostać obojętne na los uchodźców.

Już nazajutrz po uchwaleniu ustawy amerykańska opinia publiczna zaczęła domagać się jej rewizji. Prasa, kongresmeni i senatorowie podjęli ostrą krytykę. Ani jeden głos nie padł w obronie ustawy. Wobec takiej sytuacji rząd nie mógł pozostać bierny. W jednym ze swych przemówień, prezydent Truman poddał ustawę krytyce i zapowiedział jej nowelizację.

W wyniku tej kampanii, komisja prawnicza Kongresu wyłoniła Podkomisję Imigracji dla przygotowania projektu nowej ustawy imigracyjnej, który przewiduje wpuszczenie do Stanów Zjednoczonych 405.000 uchodźców. Pracami Podkomisji kieruje znany zwolennik reformy, kongresman Francis E. Walter.

Amerykańskie organizacje społeczne i narodowościowe podjęły natychmiast akcję, mającą na celu narzucenie Kongresowi swych sugestii w odniesieniu do treści nowej ustawy. Sugestie

te wynikają z doświadczeń wyniesionych z wykonania obecnej ustawy. Zmierzają one:

a) do usunięcia braków, dostrzeżonych w ustawie z czerwca 1948 r.;

b) do objęcia nową ustawą możliwie najszerszych mas uchodźczych;

c) do wyłączenia z nowej ustawy formalnych trudności, zwłaszcza związanych z uzyskiwaniem affidavitów.

Nie można przewidzieć, w jakim terminie będzie wydana nowa ustawa i jakie zawrze postanowienia.

Procedura legislacyjna Stanów Zjednoczonych jest długa i skomplikowana. Kongres, zanim przystąpi do uchwalenia ustawy, zbiera ze wszelkich możliwych źródeł informacje, mogące naświetlić zagadnienie, dokonuje przesłuchań, organizuje konsultacje; często wysyła w teren specjalne komisje, mające za zadanie zebranie potrzebnych materiałów.

Obecnie wykonywana ustawa czekała na uchwalenie półtora roku.

Należy mieć nadzieję, że nowa ustawa będzie uchwalona w terminie szybszym z uwagi na to, że prace przygotowawcze do obecnej ustawy zapoznały członków Kongresu z zagadnieniem uchodźców wojennych. Powinna być ona ogłoszona przed końcem 1949 roku. Wypowiedzi półoficjalne wskazują — początek lata 1949.

Sugestie Citizens Committee on Displaced Persons, poważnej organizacji amerykańskiej, patronowanej przez wybitnych mężów stanu są następujące:

1) zniesienie preferencji (pierwszeństwa) przy udzielaniu wiz. Obecna ustawa przewiduje preferencje — 30% rolników i 40% osób, pochodzących z terenów zaanektowanych przez Rosję.

2) zniesienie indywidualnych gwarancji mieszkania i pracy i zastąpienie ich przez corporate affidavit of support (zbiorowe affidavity, wystawiane przez organizacje) bez obowiązku legitymowania się z posiadania mieszkania, możliwości udzielenia pracy, majątku i źródeł dochodu.

3) wyłączenie normalnych kwot narodowych spod działania nowej ustawy;

4) objęcie nową ustawą uchodźców, którzy przybyli do centrów uchodźczych (obozów) do 1949 roku. Obecna ustawa obejmuje osoby, które znalazły się w Niemczech, Austrii i Italii między 1. IX. 1939 a 22. XII. 1945.

Sugestie organizacji polsko-amerykańskich:

1) Przydział wiz według proporcjonalnego stosunku każdej grupy etnicznej do ogółu uprawnionych w ramach ustawy. Na tej płaszczyźnie przypadłoby na polską grupę etniczną około 150.000 wiz. (Zwolennikiem tej poprawki jest kongresman Walter, przewodniczący Podkomisji Imigracji).

2) objęcie ustawą uchodźców politycznych z Polski, b. żołnierzy z Anglii, Francji i innych krajów zachodniej Europy, uchodźców polskich z Afryki i Chin.

W pozostałych kwestiach sugestie polsko-amerykańskie pokrywają się z sugestiami Citizens Committee on Displaced Persons.

Sugestie wysunięte przez IRO domagają się rozciągnięcia ustawy na inne kraje.

Podaliśmy tylko te sugestie, które mają szanse realizacji z punktu widzenia możliwości prawnych, jak również z uwagi na nastroje opinii amerykańskiej.

W związku z pracami Podkomisji Imigracji oraz przewidywanym zniesieniem indywidualnych gwarancji mieszkaniowych i pracy i zastąpieniem ich zbiorowymi corporate affidavit, specjalna komisja Kongresu bada możliwość osiedlenia uchodźców w opuszczonych miastach, osiedlach i farmach.

Trudno przewidywać, aby nowa ustawa objęła masy uchodźców, zamieszkałych poza Niemcami i Austrią, ponieważ prawodawca opiera się na pojęciu „wysiedleńca, który został przymusowo przywieziony na tereny okupacyjne i którego należy uwolnić od tego przymusu”. Będzie trudno wytłumaczyć opini amerykańskiej, że uchodźców zamieszkałych w krajach zachodnioeuropejskich trzeba „uwalniać”.

Tym niemniej odblokowanie kwot narodowych umożliwiłoby ich wykorzystywanie uchodźcom, zamieszkałym na zachodzie Europy.

Powyższy przegląd wskazuje, iż amerykańska polityka imigracyjna podlega poważnemu procesowi ewolucyjnemu.

STARANIA POLSKICH ORGANIZACJI UCHODźCZYCH O UMOŹLIWIENIE WJAZDU DO STANÓW ZJEDNOCZONYCH

Ustawa imigracyjna z czerwca 1948 jest pierwszym od zakończenia wojny aktem ustawodawczym, dającym możność uchodźcom masowego opuszczenia Niemiec i Austrii. Nie stwarzając preferencji dla wieku i zawodów i nie wykluczając emigracji rodzinnej, umożliwia ona wjazd grupie nie posiadającej warunków na osiedlenie, a więc w pierwszym rządzie masom inteligencji polskiej, rodzinom, samotnym kobietom itp. Organizacje uchodźcze doceniły znaczenie ustawy, zwłaszcza że możliwość jej wykorzystania znalazła się w rękach amerykańskich organizacji wyznaniowych i społeczno-narodowościowych.

Organizacje uchodźcze na szerokiej płaszczyźnie przeprowadziły prace, związane z wysunięciem sprawy emigracji do USA uchodźców polskich wobec zainteresowanych czynników amerykańskich, okupacyjnych, IRO i polsko-amerykańskich. Przeprowadziły one niezbędne prace organizacyjne, mające na celu ułatwienie Polakom starań o wizy.

Niestety, powyższe prace miały charakter i znaczenie drugoplanowe. Klucz, otwierający wrota USA dla uchodźców polskich, zgodnie z postanowieniami ustawy, znalazł się w rękach Polonii Amerykańskiej. Akcja przeprowadzona przez samych uchodź-

ców mogła być o tyle skuteczna, o ile Polonia Amerykańska zechce i potrafi skierować do Niemiec obfity strumień affidavitów.

WYKONANIE USTAWY ZE STRONY AMERYKAŃSKIEJ I I.R.O.

Deklaracje amerykańskich reprezentantów oficjalnych oświadczały, iż — biorąc pod uwagę potrzebny okres czasu na zorganizowanie prac selekcyjnych oraz transportu — w pierwszym roku wyjedzie do USA około 75.000 osób. W czerwcu 1949 upływa pierwszy rok obowiązywania ustawy. Osiągnięte liczby wykazały, że powyższe deklaracje autorytatywnego czynnika nie miały żadnego uzasadnienia.

Do końca kwietnia 1949 wyjechało do Stanów Zjednoczonych nie wiele ponad 15.000 osób z Niemiec i Austrii. Stanowi to poniżej 10% projektowanych 205.000 wiz. Należy wziąć pod uwagę, że 15.000 wydanych wiz obejmuje głównie tych uchodźców, którzy już od dawna posiadali affidavity od swych krewnych i dopiero ogłoszenie ustawy umożliwiło im wjazd. Właściwych emigrantów w wyłącznym oparciu o ustawę było zaledwie kilka tysięcy. Według wyjaśnień szefa wydziału wizowego Departamentu Stanu, to powolne tempo pracy należy złożyć na karb trudności technicznych. Aby te trudności pokonać, Departament Stanu wyznaczył dla Niemiec i Austrii 42 konsulów i 53 urzędników konsularnych dla realizacji czerwcowej ustawy. Trudności techniczne polegają na stosowaniu formalistyki, przechodzącej najsmielsze marzenia biurokratyzmu. 3 formularze rejestracyjne, które ubiegający się o wizę musi wypełnić, przechodzą przez 34-krotne badania, niezależnie od późniejszych badań lekarskich i przesłuchów osobistych przez konsulaty.

Jakie są przyczyny tego powolnego tempa?

Organizacje uchodźcze, patrzące codziennie i z bliska na działalność IRO i organów selekcyjnych, za istotną i najważniejszą przyczynę uważają nieukrywaną przez różnego rodzaju za interesowanych urzędników międzynarodowych chęć przedłużenia w nieskończoność swych dobrze płatnych mandatów. Trudno jest, rzeczywiście, doszukać się innych przyczyn.

IRO posiada budżet na przewóz 75.000 osób do USA w latach 1948/1949.

Pod koniec 1948 roku IRO rozporządzało flotyllą, pływającą pod banderą tej organizacji, złożoną z 25 statków; poza tym miało stale zarezerwowane miejsca na kilkunastu innych statkach. We wrześniu 1948 Dyrekcja IRO oficjalnie ogłosiła, że flotylla IRO zdolna jest przewieźć w latach 1948/1949 230.000 osób.

Publikacja „Personnes Déplacées” (Wydawnictwo Chemin du Monde z r. 1948) na stronie 19 stwierdza: za los uchodźców wojennych... „jest odpowiedzialna kosztowna organizacja, która została stworzona nie dla rozwiązania problemu, lecz dla przedłużenia jego istnienia”.

Pomimo jednak tak powolnego tempa wyjazdów, nie zachodzi tu wypadek periculum in mora. Ustawa o wpuszczeniu 205.000 uchodźców wojennych do USA nie w ciągu dwóch lat, jak stanowi jej przepis, lecz w terminie bardziej odległym, będzie wykonana. Powolne tempo wykonania ma tylko ten zły skutek, iż wywołuje stan zdenerwowania wśród mas uchodźczych, oraz paraliżuje wolę uchodźców, oczekujących swej kolejki, do szukania innych możliwości wydostania się z Niemiec.

WYKONANIE USTAWY W STOSUNKU DO UCHODźCÓW POLSKICH

Jaskrawym przeglądem wykonania ustawy w stosunku do uchodźców polskich będą poniższe przykładowo podane liczby, lądujących w portach amerykańskich Polaków.

30/X 1948	obywateli polskich ..	389	Polaków	143
8/XI i 17/XI 1948	obywateli polskich ..	1.000	Polaków	350
17/I 1949	pasażerów ogółem ..	550	Polaków	18
16/II 1949	obywateli polskich ..	285	Polaków	48
20/II 1949	pasażerów ogółem ..	589	Polaków	14
13/III 1949	pasażerów ogółem ..	848	Polaków	72
25/IV i 26/IV 1949	pasażerów ogółem ..	1.716		
	(w tym katolików: 447)		Polaków	130

Ogółem dotychczas, w ramach ustawy czerwcowej, wyjechało do USA niepełna 2.000 Polaków. Należy ponownie podkreślić, iż większość z nich wyjechała na affidavity rodzinne, które nie obciążają ofiarności Polonii Amerykańskiej.

DZIAŁALNOŚĆ POLONII AMERYKAŃSKIEJ NA RZECZ POLSKICH UCHODźCÓW WOJENNYCH

W każdej kwestii, dotyczącej osiedlania polskich uchodźców wojennych, nie da się tak wyraźnie określić, od jakiego czynnika zależy umożliwienie emigracji i kto ponosi za to odpowiedzialność, jak właśnie w kwestii emigracji w ramach ustawy czerwcowej. Na wykonanie innych imprez osiedleńczych oddziaływały rozliczne czynniki cudzoziemskie.

Wykorzystanie natomiast możliwości emigracji do USA znalazło się wyłącznie w rękach polskich. Ustawodawca amerykański wyszedł ze słusznego założenia. Ponieważ uchodźcze grupy etniczne mają swoje odpowiedniki w etnicznym układzie społeczeństwa amerykańskiego, przeto najbardziej ludzkim załatwieniem będzie oddanie sprawy w ręce odnośnych grup etnicznych, które, jako wywodzące się ze wspólnego pnia narodowego, najlepiej i z korzyścią dla swych pobratymców wykonają postanowienia ustawy w przedmiocie dostarczenia uchodźcom gwarancji mieszkania i pracy.

Polonia Amerykańska reprezentowana przez swe naczelne or-

ganizacje — Kongres i Rada Polonii — w okresie opracowywania przez Kongres USA ustawy imigracyjnej nie zaniedbały niczego, aby zadokumentować, na płaszczyźnie zewnętrznej propagandy, swój ludzki i patriotyczno-narodowy stosunek do polskich uchodźców wojennych. Od chwili zakończenia działań wojennych, sprawa pomocy polskim uchodźcom wojennym, znajdującym się w Niemczech i Austrii zajęła czołowe miejsce w publikacjach i deklaracjach publicznych organizacji polonijnych. Polskie skupienia uchodźcze zostały zwizytowane przez niemal wszystkich czołowych działaczy polonijnych przy nadaniu tym wizytom odpowiedniego rozgłosu propagandowego.

W sprawozdaniu na Konwencję Kongresu Polonii Amerykańskiej, jaka się odbyła w maju 1948 r., zarząd tego sejmiku polonijnego stwierdził, iż ... „poza staraniami o całość i niepodległość Polski spadł na nas nieprzewidziany, a jednak konieczny do spełnienia obowiązek — zajęcia się sprawą setek tysięcy Polaków i Polek, którzy na skutek wojny zostali rozrzućeni po różnych krańcach świata”. A więc sprawa osiedlenia w działalności Polonii Amerykańskiej zajęła pierwsze miejsce po sprawie odzyskania niepodległości.

Sprawozdania Kongresu Polonii ujawniają szeroką akcję, podjętą przez Kongres na rzecz uchodźców wobec władz i opinii amerykańskiej. W okresie opracowywania ustawy, działacze polonii odbyli niezliczoną ilość konferencji z kongresmenami i senatorami. Szczytowym punktem tej akcji była wizyta prezesa Kongresu u prezydenta Trumana, podczas której poruszo- na była sprawa osiedlenia uchodźców w USA.

Ta efektowna akcja, choć bezwzględnie była pożyteczna, trafiała poniekąd na otwarte drzwi. Rząd Stanów Zjednoczonych, z uwagi na swój mocarstwowy prestiż i możliwości ekonomiczne kraju, nie mógł pozostać obojętny dla sprawy uchodźców wojennych.

Tej błyskotliwej akcji nie towarzyszyła codzienna, trudna i mniej wdzięczna praca uświadamiania mas polonijnych o obowiązkach i do pewnego stopnia ofiarach, jakimi będą obciążone przez ustawę. Brak było akcji uświadamiania Polonii, że ustawa będzie dla niej egzaminem i próbą pojmowania przez nią obowiązków obywatelskich i uczuć narodowych.

Wysuwane w tym samym czasie projekty faktycznego ulżenia codziennej doli uchodźców — których wykonanie wymagało nie werbalnej, lecz szczerzej i prawdziwej, choć niewielkiej ofiarności ze strony Polonii — nie doszły do skutku. Nie zrealizowano projektów: utworzenia w Europie agencji prasowej polsko-amerykańskiej, ustanowienia stałej reprezentacji Polonii w Niemczech, dla obrony tych małych, codziennych interesów uchodźców, nie powołano do życia stałej reprezentacji uchodźców w Stanach Zjednoczonych. Jedynym osiągnięciem było utworzenie kilku słabo obsadzonych placówek Rady Polonii Amerykańskiej bez dania im finansowej możliwości szerszego działania.

Wobec posuwania się pracy ustawodawczej Kongresu USA w

sprawie imigracji, nieliczni działacze polonijni zdawali sobie sprawę z odpowiedzialności narodowej i moralno-ludzkiej, jaka spadnie na barki Polonii Amerykańskiej. Podjęli oni wysiłki w kierunku wyłonienia wspólnego polonijnego organu — Komitetu dla Spraw Wysiedleńców — który zawdzięczając, wymaganej przez prawo amerykańskie, swej reprezentatywności, uzyska uprawnienia reliefowe i automatycznie część funduszków publicznych, przeznaczonych na tego rodzaju organizacje. (Ogólny fundusz roczny na ten cel wynosi około 200 milionów dolarów.) Projekty szczegółowo opracowane przez wymienionych działaczy w kwestii skoncentrowania spraw emigracji uchodźców w łonie Komitetu oraz ustalenia kompetencji i odpowiedzialności, jak również rozprawadzenia akcji w terenie nie doczekały się nie tylko realizacji, ale nawet dyskusji.

Organizacje polonijne nie chciały uronić nic ze swej suwerenności, część której należałoby w tym wypadku odstąpić wspólnemu Komitetowi, jak również nie chciały zniwelowania odgradzających je animozji osobistych i organizacyjnych i rozbieżności w poglądach politycznych, społecznych i socjalnych.

Do uzgodnienia poglądów nie doszło. Zamiast planowanego Komitetu ogólnopolonijnego, istnieje kilka Komitetów rywalizujących ze sobą. Zamiast realizacji wielkiego planu, istnieje powódź oświadczeń i obietnic. Organizacje polonijne w okresie, kiedy jeszcze uchodźcy nie wymagali realnych świadczeń od Polonii Amerykańskiej, zapowiadały umożliwienie wjazdu do USA dla 90.000 uchodźców. Dzisiaj, po roku wykonywania ustawy, Delegatura Rady Polonii na Zachodnią Europę w swym biuletynie z dnia 11/IV 1949 ogłasza, iż dotychczas wystarano się o 9.000 gwarancji. Odnośna notatka zaczyna się od słów: ... „Pragnąc umożliwić jak największej ilości polskich uchodźców wjazd do USA...” i kończy się deklaracją, że „... w przyszłości wyniki starań o gwarancję będą jeszcze lepsze”. Dla braku odruchu spontanicznego nawet te nikłe osiągnięcia muszą być zaliczane do rzędu poważnych sukcesów.

Poważny działacz na polu umożliwienia uchodźcom wjazdu do USA p. Ignacy Nurkiewicz, prezes Komitetu dla Wysiedleńców, wyłonionego przez Kongres Polonii, stwierdza:

... jakieś tajemnicze manewry blokują pracę w sprawach wysiedleń- cych. Czy 6 milionów Polaków Amerykańskich nie poczuwa się do żadnych obowiązków wobec braci, którzy w tej wojnie utracili wszystko. To nie jest zgodne z naszym honorem. I nie jesteśmy znowu tacy biedni byśmy nie mogli zdobyć się na potrzebny wysiłek finansowy. Przyskładem naszych niedomagań jest sprawa kilkudziesięciu b. żołnierzy polskich, którzy otrzymali stypendia na uniwersytetach amerykańskich. 6-milionowa Polonia nie mogła pomóc tym żołnierzom-studentom do ukończenia studiów. Moje doświadczenia i przeżycia w ciągu ostatniego półrocza przekonały mnie, że przyczyną tego stanu rzeczy należy szukać w braku serca u góry polonijnej. To odbija się na uczuciach mas. Nic dziwnego, że ofiarnosc w sprawach wysiedleń- cych spadła do zera. Przywódcy odmówili nie tylko porozumienia się, ale nawet spotkania się i omówienia wspólnych spraw. Łatwo sobie wyobrazić czym brak imigracji uchodźców polskich do USA okazałoby się dla żywot- ności naszego życia organizacyjnego, jak odbiłoby się to na przyszłości na-

szych instytucji bratnich ubezpieczeń, naszej pracy polonijnej, naszej organizacji kościelnej. W tej sprawie nie wolno nam milczeć."

Fakt nienadesłania przez Polonię Amerykańską affidavitów dla uchodźców jest w swej wymowie przerażający.

Sprawa dla jej scharakteryzowania wymaga słów twardych i męskich. Kwestia umożliwienia wjazdu uchodźcom nie jest tylko kwestią jednostronnych świadczeń na ich korzyść. Jest rzeczą wiadomą, że znaczenie i waga Polonii Amerykańskiej, jako członki hierarchii społecznej Stanów Zjednoczonych stają się o tyle większe o ile mocniejsze jest jej poczucie pochodzenia narodowego. Jest rzeczą wiadomą, że amerykańska organizacja zwłaszcza młodej Polonii czyni w ostatnim czasie szybkie postępy, że pustoszeją szkoły polskie, że czytelnictwo polskie spada, że kurczy się zasięg polskiego języka. Proces ten jest procesem naturalnym pod warunkiem, że wyjście z ghettta narodowego będzie się odbywać przy gruntownym zachowaniu poczucia związków krwi i wspólnoty narodowej.

Wobec pogłębiania się procesu amerykanizacji dla Polonii nadarza się jedyna od 25 lat okazja do zaczerpnięcia świeżej rezerwy krwi polskiej, która ożywi zastygłe w swym polskim rozwoju jej formy organizacyjne. Ta świeża krew doda sił do dalszego zdobywania wyższych szczebli w hierarchii amerykańskiej; brak jej dopływu przekreśli w przyszłości wartości i cele pracy polonijnej.

Sprawa niedostarczenia affidavitów wkracza do dziedziny tych właśnie najbardziej intymnych powiązań, jakie normalnie istnieją między grupami narodowymi jednej krwi. Affidawity — to wyciągnięcie braterskiej ręki przez 6 milionów bardzo bogatych — w porównaniu z niedolą uchodźczą — Polaków amerykańskich, do kilku dziesiątków tysięcy braci, którzy znaleźli się w najgorszej niezawinionej przez nich sytuacji życiowej. Jest to sprawa honoru narodowego i jednocześnie wykładnik pojmowania zwykłego ludzkiego humanitaryzmu.

Kartę emigracji do Stanów Zjednoczonych w ramach ustawy czerwcowej przegrywamy. Sytuacja byłaby beznadziejna, gdyby nie zarysowywały się nowe znacznie szersze możliwości emigracji do tego kraju, opracowywane obecnie przez Kongres.

Czy Polonia Amerykańska przygotowuje się organizacyjnie i psychicznie do zadań szerszych jakie ją oczekują?

Odpowiedź na to pytanie pokrywa na razie milczenie z tamtej strony oceanu. Odezwa wystosowana przez organizację uchodźczą do wszystkich czynników polonijnych i domagająca się aktywnego zajęcia się sprawą umożliwienia wjazdu polskim uchodźcom, dotychczas nie doczekała się z ich strony odpowiedzi.

W tej sprawie nasuwa się konieczność następujących załatwień:

1) Wyłonienie przez organizację polonijną (Kongres i Rada Polonii w pierwszym rzędzie) reprezentatywnego centralnego

Komitetu dla Spraw Wysiedleńców Polskich, będącego emanacją całej struktury społeczno-organizacyjnej Polonii;

2) Zorganizowanie terenowych komórek wymienionego Komitetu, działających jako Wydziały Stanowe;

3) Przeprowadzenie akcji uświadamiającej wśród mas polonijnych;

4) Powołanie w Stanach Zjednoczonych do życia reprezentacji uchodźczej na okres wykonywania ustawy;

5) Powołanie do życia Delegatury Kongresu Polonii Amerykańskiej w Niemczech;

6) Rozbudowanie personalne i finansowe placówek Rady Polonii działających w Niemczech;

7) Przewidzenie konieczności znacznej rozbudowy Polskiego Komitetu Imigracyjnego w Nowym Yorku.

Niezałatwienie tych zadań spowoduje pozostanie w Niemczech kilkudziesięciu tysięcy uchodźców polskich bez żadnych dalszych możliwości osiedlenia i urzędzenia się.

J. R.

EASTERN QUARTERLY

niezależne pismo w języku angielskim, poświęcone sprawom Europy Środkowej i Wschodniej oraz sprawom Bliższego i Środkowego Wschodu. — Numer za pierwszy kwartał 1949 roku zawiera m. in. artykuły:

Tendencies towards integration and regional federal movements, The soviet militarism, Estonia, The Cominform and Jugoslavia, oraz szereg ciekawych recenzji, jak również kronikę ważniejszych wydarzeń politycznych.

Cena: 3/- za pojedynczy egzemplarz (post free, Air Mail extra), prenumerata roczna 12/-.

WYDAWCA: The Morven Press Limited, 32, Bolton Gardens, London, SW 5.

Najnowsza historia Polski

Litwo, Ojczyżno moja ...

POBŁĘDZIE... jakże symboliczna jest nazwa tego pogranicznego miasteczka na drodze Mejszagoła — Szyrwinty, gdzie 19 września 1939 roku, po forsownym, 40-sto kilometrowym marszu wraz z moim pułkiem przekroczyłem granicę polsko-litewską. Rzeczywiście, nastąpiło to po niejednym błędzie, za który tak drogo zapłaciliśmy. Zawsze interesowały mnie zagadnienia mniejszościowe, a co zaś się tyczy spraw litewskich, to jako człowiekowi pochodzącemu z tamtych stron, były mi one bardzo bliskie. Zetknięcie się bezpośrednio na miejscu i z Polakami i z Litwinami potwierdziło słuszność moich poglądów, że nie można było rozwiązywać stosunków tak zawikłych i delikatnych, jakimi były stosunki polsko-litewskie, uderzeniem pięści i „ultimatum” jak zrobiła to nasza polityka zagraniczna w pogoni za wizualnym pseudo-sukcesem.

Dla scharakteryzowania atmosfery w jakiej znaleźliśmy się po przekroczeniu granicy litewskiej przytoczę wyjątek z jednego z listów pisanych z Połagi, gdzie byliśmy internowani, do mojej żony, Ireny, która pozostała w Warszawie. Listy te częściej drukowały kowieńskie Lietuwos Žinios i polska prasa w Paryżu w roku 1940.

„...Po przekroczeniu granicy siedzieliśmy na szosie wzdłuż rowu; nas siedmiu i jeden przygodnie spotkany oficer.

Naprzeciwko nas stało tyle samo żołnierzy litewskich.

Teraz dopiero zaczęło wychodzić to straszne zmęczenie. Do przejścia granicy nerwy naciągnięte do ostateczności trzymały — teraz wszystko trzęsło, wielka próżnia dookoła i szalone, zmęczenie forsownym marszem, trzy ostatnie nieprzespane noce też robiły swoje. Czuję, że mam gorączkę, machinalnie poruszam spieczonymi wargami, mam uczucie jakbym przetykał rozpalony piasek. Moi koledzy czują się nieciepliej.

Litwini przyglądają się nam bacznie, żadnych złośliwości czy drwin. Rozumieją co to znaczy dla żołnierza być zmuszonym oddać broń i skazać się na tułaczkę.

Przymykam oczy i patrzę w zachodzące słońce, które świeci z tamtej strony granicy.

Czuję, że ktoś mnie trąca. To żołnierz litewski, nieproszony, podaje mi manierkę pełną zimnej wody, uśmiecha się łagodnie i coś mówi. Spieczone usta nie mogą się oderwać od ożywczego napoju. To był ten pierwszy gest z którym spotkałem się na ziemi litewskiej.

Gdyśmy przechodzili miasteczkiem, mieszkańcy częstowali nas jabłkami i papierosami. Potem odpoczynek w Wilkomierzu. Panie litewskie, nauczycielki zapewne, gdyż skierowano nas do budynku szkolnego, nie przestawały krajać grubych kawałów chleba, smarować masłem i wraz z kubkiem mleka czy herbaty podawać żołnierzom. Prosto, bez pozy, jakby to było ich codzienne zajęcie, a żołnierze z sąsiedniego państwa nieraz w takich warunkach tu się zjawiali. Przyglądam się im — skupione, poważne, nieskore do rozmowy, widać, że wszystko to robią nie dlatego, że nas Polaków specjalnie lubią, o nie; one to robią, bo jesteśmy nieszczęśliwymi ludźmi, którym nagle zabrakło nie tylko ojczyzny, ale i kawałka chleba”.

W Wilkomierzu władze litewskie zorganizowały transport polskich żołnierzy do Połagi. Grupę naszą stanowiły zapasowe bataliony 1-szej Dywizji Legionowej oraz kilkuset oficerów z różnych formacji jak np. sądy wojskowe, intendentura itp. Umieszczono nas w kilkudziesięciu niezamieszkałych domach letników, ograniczając teren, w którym mogliśmy się poruszać. Posterunki litewskie krążyły po ulicach miasteczka, pilnując porządku i regulaminu, który zresztą nie był uciążliwy.

Gdy teraz przeglądam moje notatki z okresu pobytu w Połazde, który trwał od 22 września do 1 grudnia, widzę, że największą naszą troską był niepokój o pozostawione w Kraju rodziny, oraz zorganizowanie w tej czy innej formie przedostania się na Zachód. Coraz częściej zdarzały się ucieczki internowanych do Kowna, aby stamtąd przy pomocy angielskiego poselstwa, gdyż nasze w początkach października opuściło Litwę, jechać do Francji. Były próby zorganizowania ucieczki morzem, które nie doszły do skutku. Każdy z nas mający jakieś znajomości na Zachodzie pisał tam listy, aby zainteresować swoim losem. W początku listopada dostałem list od ministra Spraw Zagranicznych, Augusta Zaleskiego, w którym zapraszał mnie do współpracy. Chodziło więc teraz o uzyskanie legalnego zwolnienia i wiz, gdyż polskie władze wojskowe w porozumieniu z angielskimi ułatwiały te wyjazdy, mniej lub więcej legalne, raczej zawodowym wojskowym i to specjalistom, jak np. lotnikom. Władze litewskie patrzyły przez palce na ten ożywiony ruch podróżniczy do czasu, gdy kontrola sowiecka stała się coraz cięższa i oczywiście, poselstwo niemieckie zaczęło interweniować w tych sprawach. Było jasne, że za parę miesięcy nie będzie można się stąd wydostać i rzeczywiście, od lutego 1940 roku mało komu udało się z Litwy wyjechać. Trzeba się było więc spieszyć.

Pojawienie się na Litwie tak wielkiej ilości Polaków, czy to w charakterze internowanych żołnierzy, czy też uchodźców cywilnych, stało się mimowolnym zastrzykiem polskości dla zamieszkałych na Litwie Polaków, ożywiając ich patriotyzm, a niekiedy nawet budząc ducha narodowego. Od pierwszych dni pobytu w obozie doznawaliśmy opieki, zaczęli nas odwiedzać

mieszkający w okolicy Polacy. Poznałem właśnie w takich warunkach trzech przyjaciół i kuzynów (gdyż jak to się „u nas” na Litwie dzieje, wszyscy jesteśmy spowinowaceni): Narutowicza, Janowicza i Ławcewicza, którzy ułatwili mi wydobycie się na zachód. Dzięki Kazimierzowi Narutowiczowi (synowi jednego z członków Taryby Litewskiej i bratankowi śp. prezydenta R.P., Gabriela Narutowicza, mającego wielkie stosunki i słusznie mu należący szacunek miarodajnych władz litewskich, a będącemu równocześnie wielkim patriotą polskim), zainteresowało się mną litewskie M.S.Z. i dnia 1 grudnia, na skutek interwencji ministra Spraw Zagranicznych Urbszysa zostałem zwolniony z obozu i pojechałem do Kowna.

Po raz pierwszy w życiu zrozumiałem co to jest ta najprostsza „Wolność”, możność swobodnego poruszania się, niedoceniana przez człowieka nieznanego obozów i więzień, co — zdaniem moim — w czasie wojny jest niezbędnym dopełnieniem nie tylko „savoir vivre’u”, ale w ogóle człowieczeństwa. Kto w tym okresie historycznym nie był na wojnie (podkreślam: na wojnie, a nie „w wojsku”), w szpitalu, kryminale, nie przechodził granicy „na zielono”, — temu „coś” brakuje.

Był wieczór kiedy dojeżdżałem do Kowna. Ogarnęło mnie takie uczucie, jak zawsze, gdy przed wojną dojeżdżałem do Paryża, nie mogłem doczekać się chwili, kiedy pociąg zatrzyma się na stacji. Nie witały mnie „światła wielkiego miasta”, bo Kowno pozostało raczej w mych oczach „gubernialnym miastem” aniżeli wielką stolicą, ale miało się uczucie swobody i przedsmak niewidzianych od paru miesięcy łóżka, kąpieli, kawiarni czy kinematografu. Na dworcu czekał na mnie Narutowicz, z którym nie tylko całą tę pierwszą noc wolności przegadaliśmy, ale z którym zaprzyjaźniliśmy się serdecznie i który zapoznał mnie z całym szeregiem Litwinów, abym mógł poznać ich bliżej.

Wiele też bardzo ciekawych informacji dotyczących się stosunków polsko-litewskich udzielił mi Narutowicz, który parokrotnie jako nieoficjalny delegat litewski przyjeżdżał do Polski, próbując znaleźć jakieś rozwiązanie. Oczywiście, jeździł on okrężną drogą przez Łotwę. Wiele się u nas w Polsce pisało o nieustępliwości litewskiej w sprawie Wilna. Narutowicz mi mówił, że z równym brakiem zrozumienia spotkał się w polskim M.S.Z. Dla zrobienia odpowiedniego klimatu na Litwie do rozmów z Polakami (nie zapominajmy bowiem, że w pierwszych latach swej niepodległości rząd litewski dla jej ugruntowania prowadził szowinistyczną politykę, wychowując młode pokolenie w duchu wybitnie nacjonalistycznym i antypolskim), chodziło Litwinom, pragnącym porozumienia z nami jak np. ministrowi Łozorajtisowi o uzyskanie chociażby najmniejszych dowodów życzliwości państwa polskiego dla państwa litewskiego, co ułatwiłoby im zwększenie polityki na inne tory. Takim dowodem byłoby uzyskanie zezwolenia na tranzyt dla eksportu do Czechosłowacji, gdyż właśnie w tym

okresie stosunki handlowe z Niemcami znacznie się pogorszyły. O ten właśnie tranzyt zabiegał Narutowicz w Warszawie, tłumacząc, że tak można by zapoczątkować nową erę stosunków polsko-litewskich. Nie udało mu się to, gdyż nasze M.S.Z. stało na gruncie zasadniczym, nie chcąc iść na kompromisy przedwstępnych rokowań (sprawa Wilna). Późniejsze nawiązanie stosunków dyplomatycznych, pod groźbą ultimatum, nie mogło dać zbyt dobrych rezultatów. Trudno pokochać kogoś, gdy się jest do tego zmuszonym siłą. A propos tej siły, opowiadał mi Narutowicz, że w pierwszych dniach wojny przyjechał do niego na wieś polski poseł na Litwie, Franciszek Charwat i prosił, aby ten powiedział prezydentowi Smetonie, że o ile prasa litewska nie zmieni swego tonu niezbyt przychylnego dla nas, to Litwa poniesie odpowiednie konsekwencje.

— Ładnie bym teraz wyglądał — mówił Narutowicz — gdybym był interweniował u prezydenta, gdy w kilka dni później było jasne, że oświadczenie Charwata było zwyczajną pogroźką, bowiem losy wojny polsko-niemieckiej były już przesądzone.

W Kownie miałem możność zetknięcia się z wice-ministrem Spraw Wewnętrznych Gedrajtisem, dziekanem wydziału prawa, profesorem Szalkowskim, prezesem Banku Litewskiego Starkusem, generalnym dyrektorem kolei Augustajtisem, redaktorem „XX Wieku” Skrupskialisem, mecenasem Nargielowiczem (zbliżony do sfer przydydenckich), przedstawicielami prasy polskiej, ziemiaństwa, robotników itd. W rezultacie tych rozmów doszedłem do przekonania, że mimo bardzo ciężkiej sytuacji spowodowanej warunkami ogólnymi na Litwie, już wtedy należało przygotować sobie grunt do rozmów zasadniczych, które powinny nastąpić po zakończeniu wojny. Wszyscy wyżej wymienieni Litwini, rozmawiając w cztery oczy, stwierdzali konieczność powstania Polski, co i dla Litwy byłoby korzystne, gdyż wpływy sowieckie stawały się coraz silniejsze, a poseł ZSRR Pozniakow był osobą wszechwładną. We wszystkich moich rozmowach zwracałem uwagę na garnizony sowieckie rozrzucone po kraju, stosunki prasowe (cenzura była zupełnie zależna od poselstwa sowieckiego) i szereg codziennych interwencji, np. odłożenie święta fińskiego. „Macie Wilno, ale za jaką cenę!” Starsze pokolenie doskonale to rozumiało, jednak ulegając naciskowi ultra nacjonalistycznej młodzieży, wychowanej zresztą przez siebie, a czasami nawet dla odwrócenia uwagi od spraw zasadniczych (niezależność państwa) stosowało politykę silnej ręki w stosunku do Polaków zamieszkałych w Kraju Wileńskim. Realizm polityczny Litwinów, który w pierwszych latach niepodległości, gdy była ona tak świeża i pozbawiona tradycji, nie pozwalał im na współpracę z nami, z powodu w pewnej mierze słusznych obaw przed naszą wyższą kulturą, realizm ten, teraz po upadku Polski otworzył im oczy. Dla ludzi wyrobionych politycznie nie było wątpliwości, że niepodległość ich państwa staje się czymś zupeł-

nie prowizorycznym. Ale właśnie zabrakło im teraz wielkiej myśli politycznej, ograniczyli się do taktyki, do „posunąć”. W wielkim skrócie można by tak to przedstawić: „Polska upadła, mamy Wilno, nie wiadomo jak długo korzystać będzie my nie tylko z niego, ale i ze swej niepodległości, dla jej utrzymania na dłuższą metę konieczne jest powstanie państwa polskiego, ale w międzyczasie korzystajmy i starajmy się na wszystkie sposoby zlitwinizować Wilno i Kraj Wileński, gdyż będzie to potrzebne do przyszłych rozmów i pertraktacji politycznych”.

Wychodząc z tego założenia, Litwini wprowadzili w Wilnie przymus językowy w urzędach, samorządzie, szkołach i całym życiu gospodarczym, sprowadzili na teren Wileńszczyzny większą ilość Litwinów nie mówiących po polsku i podkreślających na każdym kroku swą litewskość, zamknęli uniwersytet polski, zmniejszyli sposobem ściśle administracyjnym ilość ludności polskiej Wilna przez wprowadzenie obywatelstwa litewskiego, a odmówienie go zarówno uchodźcom jak i Polakom zamieszkałym w Wilnie po roku 1920

O tym wszystkim przekonałem się osobiście, będąc w Wilnie (podczas audiencji u podsekretarza stanu w S.M.W. Giedrajtisa wręczono mi przepustkę), gdzie rozmawiałem z rektorem Ehrenkreutzem, arcybiskupem Jałbrzykowskim, rektorem ks. Falkowskim, profesorem Wystouchem, prezesem Krzyżanowskim, ministrem Staniewiczem. Gdy wszystkie formalności wyjazdowe miałem załatwione pojechałem przez Szawle, gdzie mieszkał Łacewicz, do Narutowicza i Janowicza, aby pożegnać moich litewskich przyjaciół. Raz jeszcze zetknąłem się z tą serdecznością typowo kresową. Te dni spędzone w zacisznych, schowanych wśród lasów Gowgorach Janowiczów, czy też w Dzidach Narutowiczów, były prawdziwym odpoczynkiem po przeżyciach ostatnich miesięcy. Żegnali mnie jak brata, jak kogoś, kto w ich imieniu idzie w nieznaną dla dalszej pracy i walki, rozpoczętej we wrześniu 1939. Długo w noc, przy palącym się kominku opowiadał mi Narutowicz o swoim ojcu, który całe swe życie poświęcił dla ułożenia stosunków polsko-litewskich. Plany jego były zakrojone na wielką skalę, uważał, że oba narody powinny w poszanowaniu swych niepodległości razem pracować dla wspólnego dobra. Umierając, zrobił on z syna swego Kazimierza nie tylko spadkobiercę swych majątków, ale i swej idei. „Chociaż mi się nie udało, idź w moje ślady i pracuj nad zbliżeniem polsko-litewskim, może ty będziesz szczęśliwszy”.

Po wielu latach dowiedziałem się, że zarówno Narutowicza jak i Janowicza wraz z rodzinami, bolszewicy wywieźli na Syberię, na tydzień przed wybuchem wojny sowiecko-niemieckiej, kiedy to w tym samym dniu i o tej samej godzinie rozpoczęła się równocześnie we wszystkich trzech państwach bałtyckich zakrojona na ogromną skalę akcja wywożenia ludności.

Dnia 31 grudnia 1940 znalazłem się w Paryżu, a w miesiąc później składałem ministrowi Spraw Zagranicznych, Augustowi Zaleskiemu raport o stosunkach polsko-litewskich, w którym między innymi przedłożyłem projekt powołania Polskiej Rady na Litwie. Uważałem, że Rada taka powinna być organem nadzycznym, reprezentującym nie tyle ugrupowania polityczne, co odcinki rzeczowej pracy.

Chodziłoby więc o połączenie tych „odcinków” a więc odcinka rolniczego, najważniejszego organizacyjnie, bo istniejąca organizacja Zjednoczenia Rolników dysponowała kilkudziesięciu oddziałami (na czele tej grupy stał Z Szwojnicki) z innymi. Drugim takim odcinkiem byłby odcinek gospodarczy, to znaczy Bank Kowieński i banki prowincjonalne, oraz Towarzystwo Asekuracyjne (Konstanty Okulicz), trzecim byłby odcinek charytatywny reprezentowany głównie przez Kowieńskie Polskie Towarzystwo Dbroczynności (z M. Ukińskim na czele), czwartym odcinek oświatowy, to jest kowieńska „Pochodnia”, trzy gimnazja, w Kownie, Poniewierzu i Wilkomierzu i około 10 szkół (Czesław Mackiewicz), piątym odcinek młodzieży, czyli Zjednoczenie Studentów Polaków Uniwersytetu Kowieńskiego (A. Dowgird). Następny odcinek robotniczy, bez organizacji, bo została zamknięta, reprezentowałby ostatni zarząd Związku Ludzi Pracy (B. Paszkiewicz), siódmym byłby odcinek prasowy, a więc „Dzień Polski”, dziennik B. Paszkiewicza, pismo demokratyczne, szukające sposobów możliwego ułożenia stosunków polsko-litewskich. Tygodnik „Chata Rodzinna” Z. Ugińskiego o takich samych tendencjach politycznych, pismo wychodzące od 18 lat miało charakter wybitnie katolicko-demokratyczny, jak również „Głos Młodych” T. Surwiłły.

Niestety, organizacja taka nie doszła do skutku. Będąc stałym delegatem M.S.Z. do Ministerstwa Informacji, starałem się łagodzić nasze wystąpienia prasowe i propagandowe, przedstawiające okupację litewską z całą jej bezwzględnością, uważałem, że tyle jest do zrobienia w dziedzinie propagandy antyniemieckiej i antysowieckiej, że tą smutną, raczej rodzinną sprawą, jaką była okupacja litewska należy zająć się później, unikając, przynajmniej z naszej strony, niepotrzebnych zadrażnień. Oczywiście, miałem pełną aprobatę M.S.Z. na takie stanowisko. Toteż, gdy w marcu 1940 Ministerstwo Informacji wręczyło mi dla ministra Summer Welles'a, który właśnie miał konferować z ministrem Zaleskim trzy memoriały: okupacja niemiecka w Polsce, okupacja sowiecka w Polsce i okupacja litewska w Polsce, po dłuższej rozmowie z ministrem Strońskim uzyskałem pewne zmiany w tym ostatnim memoriale, uważając, że nie można tych trzech okupacji jednakowo traktować.

Mój raport litewski nie pozostał bez echa. Dnia 23 kwietnia 1940 w Prezydium Rady Ministrów w Angers odbyła się konferencja w sprawie Wileńszczyzny i Litwy, na którą zostałem

zaproszony przez ministra Kota. Przewodniczył generał Sosnkowski, zauważyłem, że bardzo się zmienił i posunął, w prowadzeniu obrad czuło się jego znużenie. Obrady nasze trwały dwa dni, gdyż „Wnioski w sprawie Wileńszczyzny Komisji Profesora Żółtowskiego”, które mam przed oczyma, noszą datę 25 kwietnia. Są one podpisane przez profesora Adama Żółtowskiego, który jeździł ostatnio na Litwę jako delegat rządu, profesora Mariana Jedlickiego, mecenasa Zygmunta Dreszera, senatora Czapskiego, radcę Arleta i autora niniejszego wspomnienia. O ile mnie pamięć nie myli, w obradach tych brali udział poza profesorem Kotem, Cat-Mackiewicz, Stanisław Zabieńko i szereg wojskowych.

Wnioski nasze rozpoczynały się stwierdzeniem, że właśnie już teraz: „Rząd Polski troską swą pragnie objąć wszystkich obywateli tych ziem, bez różnicy narodowości i wyznania, o ile zachowują się lojalnie wobec Rzeczypospolitej Polskiej”.

W dyskusji na ten temat stwierdziłem, że właśnie już teraz, w tych najcięższych warunkach, powinniśmy prowadzić politykę mniejszościową, wykazującą niezbić naszą dobrą wolę w stosunku do wszystkich obywateli. Rezultatem wniosku było przy rozważaniu budżetu opiekuńczego tych ziem przekazanie pewnych sum nie tylko arcybiskupowi wileńskiemu Jałbrzykowskiemu, ale i arcybiskupowi prawosławemu Teodozjuszowi i rabinowi Rubinszteinowi. Największą pomoc uzyskał Komitet Pomocy Ofiarom Wojny w Wilnie, to jest „Polska Sekcja Pomocy” przy litewskim Czerwonym Krzyżu, zwana powszechnie Komitetem profesora Pelczara. Poza tym w budżecie figurował Komitet Polski w Wilnie profesora Krzyżanowskiego, Towarzystwo Samopomocy Obywatelskiej księdza Kucharskiego, Rodzina Wojskowa, Uniwersytet Stefana Batorego. Wszystkie te świadczenia miały charakter wybitnie charytatywny.

Postawiliśmy wniosek stworzenia jednolitego kierownictwa politycznego „a to w celu zapobieżenia niewczesnemu wystąpieniu zbrojnemu, w szczególności skierowanemu przeciwko Litwie, z którą stosunki nasze powinny się ułożyć bez konfliktu zbrojnego”, jak brzmi jego motywacja.

Gdy teraz z perspektywy dziesięciu lat tak strasznych przeżyć i doświadczeń przeglądam moje małe archiwum polsko-litewskie, jak żywe stają przede mną moje rozmowy kowieńskie i wileńskie, moi przyjaciele litewscy, odzywają wspomnienia. Nie wolno nam jednak tylko ograniczyć się do wspomnień, trzeba wierzyć i już pracować nad tym, że gdy nasze Narody odzyskają niepodległość, wtedy w myśl haseł „Wolni z Wolnymi, Równi z Równymi” uzgodnimy wszystkie sprawy sporne i w ten sposób skończą się nareszcie nasze „niesnaski rodzinne”, trwające niestety lat tyle.

Wacław ZYNDRAM KOŚCIAŁKOWSKI.

Testament Podziemia

STEFAN KORBOŃSKI
540 West 113 street
New York 25, N. Y.

13 maja 1949 roku.

Szanowny Panie Redaktorze!

Dzięki osobom, które okazały mi pomoc, znalazłem się obecnie w posiadaniu odezwy, wydanej w dniu 17 maja 1945-go roku przez Podziemną Radę Jedności Narodowej i przeze mnie, jako p. o. Pełnomocnika na Kraj Rządu w Londynie. Brak tekstu tej odezwy, w chwili, gdy pisałem moje wspomnienia, umieszczone w Nr 11 „Kultury” za rok 1948, pod tytułem „Ostatnie miesiące Delegatury Rządu i Rady Jedności Narodowej w Kraju” — sprawił, że zawierają one pewną lukę, którą pragnąłbym obecnie uzupełnić przez podanie wspomnianego tekstu. Oto on:

„Do Narodu Polskiego.”

Wojna w Europie skończyła się. Bestia hitlerowska leży pokonana u stóp zwycięskich sprzymierzeńców. Wojna na Dalekim Wschodzie pośrednio tylko oddziaływać będzie na tok spraw europejskich. Opinia światowa zwróciła swe zainteresowania ku zagadnieniu sprawiedliwego pokoju i wolności, rzędy zaś przystąpiły do ich uregulowania.

Wojna skończyła się, lecz walka trwa. Walka o realizację ideałów, sformułowanych w Kartie Atlantycznej, walka o prawdziwą wolność, demokrację i sprawiedliwy pokój.

Polska stała się głównym zagadnieniem tej walki i próbą ogniową dla zwycięzców. Od rozstrzygnięcia naszej sprawy zależy będzie, czy przyszedł świat będzie lepszy i czy zapanuje w nim pokój, czy też zostanie wepchnięty w nowy oddech jeszcze straszniejszej wojny.

Czego oczekujemy? W co wierzymy?

Wierzymy w to, że cała uczciwa opinia światowa została przez nas przekonana, że oświadczając w uchwałach Rady Jedności Narodowej, z dnia 22 lutego 1945 roku gotowość do wzięcia za podstawę do rozmów, mających na celu uregulowanie stosunków polsko-sowieckich, postanowienia Konferencji Krymskiej, poszliśmy tak daleko w ustępstwach na rzecz Rosji z najdroższych dla każdego Polaka wartości, że dalszym ustępstwem byłoby chyba narodowe samobójstwo. Jednakże dziś stało się jasne dla wszystkich, a przede wszystkim dla aliantów zachodnich, że Rosja zwleka z wykonaniem postanowień Konferencji Krymskiej, dotyczących Polski i sprawa pozostaje nadal otwarta i nieuregulowana.

Wierzymy w to, że cały świat nabrał przekonania o szczerej naszej chęci nawiązania z Rosją przyjaznych stosunków, z Rosją — której wielką potęgę i pozycję należycie oceniamy, — z Rosją, z którą po wsze czasy sąsiadami będziemy i walczyć w przyszłości nigdy nie pragniemy. Te nasze

szczerze zapewnienia mają większą wagę, niż hałaśliwe i służalcze przysięgi nieznanych nikomu samozwańców z Lublina.

Oczekujemy, że mimo wszystko utworzony zostanie Tymczasowy Rząd Jedności Narodowej, w oparciu o przedstawicieli naszej prawdziwej demokracji, tak jak my to słowo rozumiemy, a nie z figurynek lubelskich, które zwalczają zażarcie tę koncepcję, — nie z despotów z Komitetu, którzy ze słowem „wolność” na ustach, skuli ręce Narodu Polskiego, a teraz kneblują mu usta i zawiązują oczy, — nie z samozwańców lubelskich, na których spada odpowiedzialność za to, że ręka, która odrzuciła naszą prządaną dłoń, rozstrzeluje i kieruje masowo na wygnanie najlepszych synów Ojczyzny — żołnierzy Armii Krajowej, podziwianej przez cały świat. Doczekaliśmy się również tej hańby, że lubelskie władze bezpieczeństwa starają się przelicytować Gestapo, że słowo Rembertów budzi nie mniejszą grozę, niż Oświęcim.

Ukoronowaniem haniebnego działania Komitetu „rządzącego” naszym krajem jest podstępne, bo drogą zaproszenia na konferencję z pełnomocnikiem marszałka Stalina, generałem pułkownikiem Ivanowem, w sprawie jawnego wzięcia udziału w życiu politycznym kraju, zwabienie w dniach 27 i 28 marca br. do Pruszkowa piętnastu czołowych przedstawicieli Polski Podziemnej, a następnie aresztowanie ich i wywiezienie w nieznanym kierunku. Byli wśród nich: wicepremier rządu polskiego w Londynie, Jan Jankowski, — były wielokrotny minister i poseł na sejm, Przewodniczący Rady Jedności Narodowej w Kraju, Kazimierz Pużak, skazany na śmierć przez sąd carski, któremu w drodze łaski zamieniono karę na osiem lat twierdzy, którą to karę odbył w Schlüsselburgu — i generał Leopold Okulicki, ostatni Komendant rozwiązanej Armii Krajowej, były szef sztabu armii gen. Andersa. W ten sposób Komitet Lubelski postarał się o usunięcie konkurentów.

Oczekujemy, że w utworzeniu Tymczasowego Rządu Jedności Narodowej weźmie udział piętnastu aresztowanych przedstawicieli Polski Podziemnej, że z tą chwilą przywrócona będzie wolność słowa, prasy, zgromadzeń i stowarzyszeń; że hitlerowski zakaz słuchania radia zostanie uchylony, że nastąpi powrót bohaterów armii naszej z zachodu, jeńców, więźniów, robotników i emigracji polskiej z całego świata, że wybory do sejmu, który wyłoni pierwszy normalny rząd polski, odbędą się w atmosferze pełnej swobody i całkowitego uspokojenia, po wyjściu z Polski armii sowieckiej, która przy naszym skromnym udziale wyswobodziła kraj od najeźdźcy hitlerowskiego i wdzięczność dla której nie będzie wówczas hamowana żadną obawą i wspomnieniami gwałtów, które nas tak zaskoczyły; że słuszne dzieło reformy rolnej, uspołecznienie środków produkcji, demokratyzacja armii i inne zamierzenia, wymienione w orędziu Rady Jedności Narodowej z dnia 15 marca 1944 roku, zostaną poprowadzone w kierunku trwałej przebudowy naszego ustroju, a nie dla celów agitacyjno-politycznych. że obok przyjaznych stosunków z Rosją zachowamy również jak najbliższe stosunki z aliantami zachodnimi.

Oczekujemy, że wielcy sprzymierzeńcy doprowadzą dzieło do takiego właśnie końca. Ostatnie wydarzenia na terenie międzynarodowym, zwłaszcza czterokrotne odrzucenie kandydatury Komitetu Lubelskiego na Konferencji w San Francisco i mowa premiera Churchilla z dnia 13 maja b. r. usprawiedliwiają te nasze nadzieje i oczekiwania.

Wreszcie wierzymy, że w przyszłości, w rezultacie pokojowych i przyjaznych stosunków, będzie można za zgodą Rosji Sowieckiej, w atmosferze wzajemnego zaufania, podjąć na nowo próby chociażby częściowego naprawienia tych krzywd, jakie umowa w Jałcie wyrządziła Narodowi Polakom.

Takie są nasze nadzieje na najbliższą przyszłość. Jeżeli nas zawiodą, czego się nie spodziewamy, pozostaje nam tylko dalsza walka o odzyskanie rzeczywistej niepodległości, której nigdy nie wyrzekniemy się.

Rodacy!

Bez względu na to, co przyszłość nam przyniesie, teraźniejszość wymaga od Was jednego: wytrwajcie w tej opornej postawie, jaką zajęły wszystkie warstwy naszego narodu. Nieszczęścia nas zjednoczyły, jak nigdy. Jednako dziś czynimy i myślimy. Jednako odróżniamy ziarno od plew, jednako odróżniamy fałsz i kłamstwo samozwańców z Lublina, choć ubrane w piękne slo-

wa, od prawdy i rzeczywistości. Powódź fałszów lubelskich nie daje żadnego rezultatu. Jednako zwarci przeciwstawmy się próbom pozbawienia nas wolności i niepodległości.

Nasza jednolita negatywna postawa w stosunku do obecnej polityki samozwańczego „rządu” lubelskiego nie powinna hamować dzieła odbudowy Kraju. Widzimy chaos i anarchię panującą na każdym polu, co przynosi szkodę interesowi narodowemu. Zakłamany komitet lubelski, dążący do innych, ukrytych politycznych celów, nie jest w stanie tego opanować. Toteż wzywamy Was do powszechnej, społecznej inicjatywy przy dziele odbudowy Kraju. Stańcie samorzutnie do pracy konstruktywnej na wszystkich odcinkach odbudowy, w przemyśle, handlu, rolnictwie, komunikacji, oświacie itp., — słowem wszędzie, gdzie możecie pracować bez naginania swych poglądów i bez współdziałania z upadłą polityką Komitetu lubelskiego. Ta ostatnia zasada wymaga od Was pełnego bojsotu pracy w administracji politycznej, propagandzie i w służbie bezpieczeństwa, której organizacja i wstępne metody tak są obce ustrojowi prawdziwie wolnościowemu, do którego dążymy.

Urzędnicy nie politycznej administracji lubelskiej!

Pamiętajcie o tym, że jedyną waszą prawną konstytucyjną władzą jest Rząd Rzeczypospolitej w Londynie, uznawany za taki przez cały świat, z wyjątkiem Rosji i państw wasalnych, i jego przedstawicielstwo w Kraju. To przeciwstawicielstwo wymaga od Was działania, zgodnego z interesem narodowym. Służąc samozwańcom, z których nieistotny nie są nawet obywatelami polskimi, dbajcie o zachowanie naszych dóbr duchowych i materialnych, nie bierzcie udziału w machinacjach politycznych obcych agentów w Komitecie lubelskim, godzących w naszą niepodległość i przeciwstawiajcie się im.

Rodacy!

Nie dajcie się sprowokować do zbrojnej walki. Nie może ona obecnie przynieść żadnej korzyści celom, do których zmierzamy, a narazi zapalnie, a niekiedy najbardziej wartościowe jednostki spośród nas na zgubę. Wzywamy młodzież, która przed masowymi prześladowaniami i aresztowaniami schroniła się do lasu, by starała się wrócić do normalnego życia i produktywnej pracy tam, gdzie może. Pobyt Wasz w lesie stał się już powodem do krwawych pacyfikacji. Czekajcie na zgubę, a waszym głównym przeznaczeniem jest żyć i pracować dla Ojczyzny, a nie ginąć bez żadnej dla Niej korzyści. Jeśli zostaniecie przymusowo wcieleni do wojska, zachowajcie postawę dobrego Polaka, nie dajcie się użyć do akcji przeciw rodakom i do walki w obecnej sprawie, unikajcie również wysiłki na wschód, poza granice Polski.

RADA JEDNOŚCI NARODOWEJ
P. O. Pełnomocnika na Kraj
Rządu Rzeczypospolitej Polskiej
w Londynie.

Dnia 17 maja 1945 roku.

Powyższy tekst zawiera materiał, który zasługuje na to, by mu poświęcić kilka uwag.

1) Określa on uchwały Rady Jedności Narodowej w Kraju z 22 lutego 1945 r., zapadłe w stosunku do postanowień konferencji w Jałcie, jako wyrażenie „gotowości do wzięcia za podstawę do rozmów, mających na celu uregulowania stosunków polsko-sowieckich, postanowień konferencji krymskiej.”

Pomiędzy tym sformułowaniem, a rzekomą zgodą Rady na postanowienia konferencji w Jałcie jest wielka różnica, której nie ma potrzeby wypuklać. Co zaś ważniejsze, odezwa ta zapowiada już z góry żądanie rewizji postanowień Jałtańskich,

wyrażając je w formie odpowiadającej sytuacji kraju, znajdującego się całkowicie we władzy sowieckiej, w którego imieniu odezwa formułuje powyższy postulat. Odnośny ustęp brzmi, jak następuje:

„Wreszcie wierzymy, że w przyszłości, w rezultacie pokojowych i przyjaznych stosunków, będzie można za zgodą Rosji Sowieckiej, w atmosferze wzajemnego zaufania, podjąć na nowo próby chociażby częściowego naprawienia tych krzywd, jakie umowa w Jałcie wyrządziła Narodowi Polskiemu...”

Kto zaś z góry zapowiada rewizję postanowień pewnej umowy, ten nie tylko zostawia furtkę dla siebie otwartą dla rozmów odnośnie spornej kwestii, ale także wyraźnie zaznacza, że się z jej postanowieniami nie godzi.

Na ustęp powyższy powinni zwrócić baczną uwagę wszyscy ci, którzy starają się możliwie dokładnie odtworzyć stanowisko władz podziemnych w stosunku do Jałty.

2) Odezwa wymienia warunki podziemia odnośnie utworzenia Tymczasowego Rządu Jedności Narodowej, wysuwając na czoło oparcie go o czynniki prawdziwie demokratyczne, a nie o samowładny komitet lubelski, i żądając udziału w nim aresztowanych piętnastu przedstawicieli Polski Podziemnej, czemu rzeczywistość zaprzeczyła w brutalny i tragiczny sposób.

3) Odezwa wysuwa żądanie opuszczenia Kraju przez wojska sowieckie jeszcze przed wyborami.

4) Wypowiada się obszernie w sprawie pracy nad odbudową kraju, wzywając wszystkich do „powszechnej społecznej inicjatywy przy dziele odbudowy kraju”, mimo czy też nawet wbrew komitetowi lubelskiemu. Zakazuje przy tym wyraźnie pracy w administracji politycznej, propagandzie i służbie bezpieczeństwa. Ta część odezwy odegrała bezwątpienia dużą rolę przy układaniu się stosunków w nowej krajowej rzeczywistości. Wpłynęła ona na to, że masa ludzi — fachowców, przyglądających się biernie temu, co się dzieje i czekających na wskazówki władz podziemnych, rzuciła się do pracy nad odbudową i temu też komuniści mogą zawdzięczać duże na tym polu sukcesy. Np. prawie cały ogromny zespół inżynierów, urzędników i techników przygotowany w Biurze Ziem Odzyskanych znalazł się w ministerstwie ziem odzyskanych i w zagospodarowaniu tych ziem odegrał dużą rolę.

5) Wreszcie — odezwa zawiera zakaz walki zbrojnej i wzywała młodzież do powrotu do normalnego życia i produktywnych pracy „tam, gdzie może”, a więc bez „ujawniania się”. Przyczyniła się do znacznego odpływu młodzieży z lasu i podziemia i już wówczas zajęła wobec akcji podziemnej stanowisko, które w polskiej opinii publicznej dominuje do dziś dnia.

Stefan KORBONSKI.

Straty kultury polskiej

Wacław Socha-Lipiński

W Wilnie — „miłym mieście” — przemawiając po raz ostatni do skupionych w sierpniową rocznicę swoich żołnierzy, Józef Piłsudski ostrzegał: „Gdy palec Boży ziemi dotyka — stuletnie dęby ku ziemi gną szyć, a gdy grzmoty i błyskawice po ziemi idą — ptaszyny i ludzie chowają się do schronisk i domów. Gdy palec Boży ziemi dotyka, gdy idzie taka wielka wojna, jaką myśmy przeżyli, to ziemia jęczy i woła, a wyroki gdzieś w niebie wysoko się piszą — dla jednych zatracenie, dla drugich odrodzenie. I gdy czasy tak wielkie idą, co świat na inny zmieniają, to — proszę panów — czasy te nie są na miarę piersi tchórczyków, piersi łotrzyków!...”

Dopiero w błyskach i wichrach ostatniej katastrofy dostrzegaliśmy, odczuli i zrozumieli w pełni wielką prawdę tych słów.

Do tych nielicznych, co to w burzy wzbili się wysoko ku szczytom, należał niewątpliwie pułkownik Wacław Lipiński.

W Polsce — przed laty już — znany był dość szeroko, jako pisarz wojskowy, jako historyk i badacz naszego w poprzedniej wojnie wysiłku zbrojnego. W tym pisarskim kierunku szły wszystkie jego ambicje. W życiu politycznym kraju, przed wojną, czynnego udziału nie brał. Dopiero wrzesień w oblężonej Warszawie otworzył przed nim nowe drogi.

Trzykrotnie w ciągu dwóch ostatnich lat nazwisko jego wpływało na czołowe strony prasy — nie tylko polskiej. Po raz pierwszy — w styczniu r. 1947, gdy został aresztowany w Warszawie, w czasie posiedzenia Komitetu Porozumiewawczego organizacji i stronnictw politycznych, gdzie reprezentował skupiające piłsudczyków Stronnictwo Niezawisłości Narodowej. Po roku prawie — w grudniu r. 1947 — odbył się w Warszawie głośny jego proces. Oskarżono go o podziemną działalność polityczną, o wydawanie „nielegalnego” pisma „Głos Opozycji”, o wy-

słanie memoriału do O.N.Z. w sprawie szalbierskich wyborów w Polsce pod okupacją sowiecką i o nawoływanie do bojkotu tych wyborów. Gdy tyłu, tyłu innych — i w Polsce, i we wszystkich krajach za „żelazną kurtyną” — dla ratowania strzępów życia czy wskutek metod śledztwa i tortury — kajało się publicznie, on jeden, choć niewątpliwie torturowany, jak inni, — uchodzić musi za niedościgły wzór spokoju, godności, odwagi, męstwa, bohaterstwa! Śmiało i mocno odierał punkt po punkcie prowokacyjne zarzuty oskarżenia — współtowarzyszy osłaniał — odpowiedzialność główną za fakty ujawnione brał na siebie. W walce z sędzącym go „trybunałem” odwracał role — sam stawał się prokuratorem — atakował, oskarżał, ironizował, szydził! — „Jako Polak, jako obywatel, jako człowiek nie czuję się winny! Pracowałem w podziemiu, gdyż w Polsce nie ma wolności politycznej!” Skazano go — jako „zdecydowanego wroga demokracji ludowej” — na karę śmierci. Wyroku nie wykonywano. Dlaczego? Na pewno — w złudnej, a upartej nadziei wymuszenia z niego „skruchy” i publicznego „pokajania”. Na próżno! Nie załamał się, nie upadł — wytrwał do końca. W poniedziałek 4 kwietnia zmarł w Rawiczu w więzieniu Bezpieki.

Myśląc dzisiaj o nim — szukam miejsca dla niego wśród wielkich duchów naszej przeszłości. Pamiętam... Rok 1934... Piękne, słoneczne, czerwcowe popołudnie. Otwock — z jego złotym piaskiem i wysmukłymi sosnami o zielonych czubach. Przyjechałem tu z nim właśnie do chorego, dogorywającego naszego szefa — generała Juliana Stachewicza. Zostaliśmy wezwani dla omówienia najpilniejszych bieżących spraw. Ale generał w nocy poczuł się źle i nie zdołał już przyjazdu naszego odwołać — leżał na werandzie, blade, oczy mu wpadły jeszcze głębiej, wyraźniej niż dotąd wystąpiły kości na skroniach, od męczących nawrotów kaszlu perliły się na czole krople potu. Sprawy nasze oczywiście nie wyrzały z teczek, ale nie męcząca generała rozmowa zahaczyła o teren moich ówczesnych badań. Napisałem właśnie i ogłosiłem — bodaj w „Pionie” — artykuł o „Zapomnianych” — o bohaterach roku 1905, walcząc w nim o godne, o należne miejsce dla tych duchów niepodległych w pamięci i w uczuciu narodu. Lipiński — w pewnej chwili wyraził żal, że „spóźnił się” — że się urodził o kilka lat za późno — że przy spotkaniu z dawnymi bojowcami czuje w sobie zawsze podnoszącą się falę zazdrości, że nosi w sobie poczucie bezpowrotnej straty. „Zachłanny z pana człowiek! — odpowiadał mu cicho generał, ogarniając go życzliwym uśmiechem, — był pan w pierwszej brygadzie od jej początku, brał pan udział w wojnie z Rosją... mało panu jeszcze?” — „Ja nie mówię, że mało — tylko mi żal, że w tych pięknych latach walki byłem małym pętakiem. Raz jeden tylko — z polecenia matki — odnosiłem dla kogoś parę bomb... dźwigałem je ukryte w starych trzewikach ojca, bym w razie czego powiedzieć mógł, że idę do szewca!”..

Teza o niepowtarzalności zdarzeń historycznych nie zawsze

jest tezą słuszną. Jest w postawie Lipińskiego przed „trybunałem” warszawskim coś z niezłomnego Montwiłła-Mireckiego, który w sędziach rosyjskich widząc wrogów, uzurpujących prawo do sądzici o jego losie — na wszystko miał tylko jedną odpowiedź: „Nie żelaju otwieczat’”... Przemówił raz jeszcze ustami Lipińskiego Henryk Baron: „Wiem, że z wyroku waszego na szubienicy zawisnę, ale idej nie powiesicie! W obliczu śmierci powiadam wam, że zasiądziecie na tej mojej ławie, jako podsądni — a sądzić was będzie zwycięski lud!” Odezwał się w Lipińskim Stefan Okrzeja: „Nie powiem wam ani mojego imienia, ani zajęcia, ani pochodzenia, kary żadnej się nie lękam — ja moją śmiercią zrobię więcej, niż mógłbym zrobić życiem!”..

Urodził się w Łodzi w r. 1896 i tam spędził swoje dzieciństwo i młodość. Ojciec jego pochodził z Poznańskiego. Może niechcący popełnił tu drobny błąd w szczegółach, ale obudzone echa dalekich na ten temat rozmów podpowiadają mi, że przywędrował tu małym chłopcem — wraz z rodzicami — pod naciskiem pierwszej fali poczynań Hakaty i Komisji Kolonizacyjnej. Ojciec zresztą we wspomnieniach syna pokazywał się na dalszych marginesach, zawsze — w gęstym cieniu matki. Był to, zdaje się, typowy dla owych czasów szlachetny „pozytywista” — nie mógł wyrzec się swoich uczuć dla Polski i nie mógł zastosować ich w życiu, borykał się więc w stałej sprzeczności między kultem dla tradycji powstańczej a gorzkim przeświadczeniem o konieczności „pogodzenia się z losem”. Umysłem i charakterem górowała nad ojcem matka, łącząca gorący i czynny patriotyzm z radykalizmem przekonań społecznych. Już obarczona małymi dziećmi — pracowała w łódzkiej organizacji P.P.S. i w burzliwym okresie lat 1904-1907 odegrała tu rolę nawet wybitną. W październiku r. 1914, najstarszy jej syn — siedemnastoletni wówczas Wacław, wybierający się z Łodzi w szczupłej grupce harcerzy do walczących już oddziałów strzeleckich Józefa Piłsudskiego — notował w swoim dzienniku: „W domu bądź co bądź piekło! Ojciec klinie — schował mi plecak, lecz matka i siostry taką uczyniły awanturę, że mój plecak dostał”. Po paru dniach dopisze jeszcze: „Ojciec już się z losem pogodził, a matula i takby mnie wypchnęła w pole, choćbym nie chciał iść”..

Tak — według własnych jego słów — „wprost ze szkolnej ławki wyszedłszy w wielkie tryby wojny”, przemierzył jako szary żołnierz „Socha”, potem — kapral, wreszcie jako sierżant „niezapomniany szlak jedynej na świecie brygady”. Bił się pod Łowczówkiem, tkwił w okopach nad „wierną rzeką” Nidą, ścigał cofających się Moskali za Bug, z Rusi Czarnej szedł na Wołyń, patrzył śmierci w oczy pod Kołkami i Koszyszcami, nad Wiesiołuchą i nad Styrem, w Lasku Polskim, na Polskiej Górze i pod Kostuchnowką. Z ognia tych walk wyniesie w tornistrze swój „dziennik żołnierski” — wydany z czasem jako duży tom pt. „Szlakiem Pierwszej Brygady” — a „pisany z dnia na dzień” — „natychmiast po marszu”, „nieraz przy świeście kul w oko-

pie". Książka ta — wrażeniami i nastrojem zwłaszcza pierwszych kilkudziesięciu stron — przypomina aż do złudzenia niemal Skrugową „Odznakę za wierną służbę”. Bogata, jako dziariusz zdarzeń, choć ograniczona do pola widzenia żołnierza z szeregu — doskonała, jako wizerunek zbiorowej duszy żołnierskiej. Dziariusz ten zamyka obraz kryzysu przysięgowego, a w nim takie słowa: „Poszli za druty, lecz tu w kraju zostało nas co niemiara. Zadekował się legun. Przywarł gdzieś na uboczu, przycałił się — i swoje robi uparcie, twardo, ścisnąwszy zęby. I nie znajdzie w nas nikt beznadziei, nie znajdzie opuszczenia rąk, ni gestu rozpaczliwego. Przeczekaliśmy wszak polski bezwład, trójlojalizm, tępotę i strach, przeoraliśmy ugory polskie, przeczekaliśmy Rosję — przeczekamy Austrię i Niemcy”...

Przysięgi — oczywiście — nie złożył, za druty — jako „królewski” — nie poszedł. „Zadekował się” w Krakowie, łącząc pracę podziemną w P.O.W. z rozpoczętymi studiami na uniwersytecie. Tu również — w pismach — ogłaszać zaczął pierwsze drobne swoje prace. Listopad zastał go we Lwowie. Bierze więc udział w obronie miasta, potem — walczy w szeregach 5 pułku — o Wilno dla Polski, o Dynaburg dla Łotwy, w pierwszej linii przeżywa odwrót nasz nad Wisłę i niezapomniane dni sierpniowego przełomu i zwycięstwa. Z okresu sześciolatniej — nieprzerwanej prawie — służby w szeregach walczących wychodzi z orderem „Virtuti Militari”, z czterokrotnym Krzyżem Walecznych i Krzyżem Niepodległości. Wyniesie też stąd dwa później nieco wydane tomy wspomnień: „Wśród lwowskich orląt” i „Od Wilna po Dynaburg”.

Po wojnie z Rosją jest znowu w Krakowie. Przez kilka lat pracuje tu jako oficer oświatowy garnizonu. Wraca też do przerwanych studiów na uniwersytecie. Zdobywa tu podwójny dyplom — doktora filozofii (historia) i doktora praw. Nie uważa tego jeszcze za wystarczające dla siebie — do dwóch dyplomów uniwersyteckich dorzuca trzeci — krakowskiej szkoły nauk politycznych.

Wiosną r. 1926 przeniesiony z Krakowa do Wojskowego Biura Historycznego w Warszawie, obejmuje w nim „wydział formacji polskich”. Kierując tu dwunastoosobowym zespołem pomocników — gromadzi i inwentaryzuje źródła do dziejów przedwojennych przygotowań wojskowych oraz polskiego wysiłku zbrojnego z okresu pierwszej wojny światowej, przeprowadza pierwsze prace badawcze nad historią Związku Walki Czynnej, Związków i Drużyn Strzeleckich, Pierwszej Brygady i Legionów, Polskiej Organizacji Wojskowej, formacji polskich w Rosji — legionu puławskiego, korpusów na Białejrusi i Ukrainie, dywizji na Kubaniu i na Syberii oraz oddziału Murmańczyków — wreszcie armii polskiej we Francji, od bajończyków do Hallera, nie wyłączając wysiłku organizacyjnego w Ameryce. Głównym celem tych rozległych prac — pod planowym kierownictwem szefa, generała Stachewicza — jest wydobyć na jaw rzetelnej prawdy o imponującym wysiłku pokolenia. Pokłosem z tego okresu

są nie tylko liczne szkice, recenzje i polemiki, pisane przez Lipińskiego i ogłaszane w czasopismach — w „Przeglądzie Historycznym” — „Przeglądzie Historyczno-Wojskowym” — „Niepodległości” — „Bellonie” — „Wiadomościach Literackich” — „Gazecie Polskiej” i „Polsce Zbrojnej”; część ich zaledwie wyda z czasem w dwóch zbiorach książkowych: „Na przedpolu historii” oraz „Z dziejów dawnych i najnowszych”. Największą jego pracą — dwukrotnie wydaną — jest „Walka zbrojna o niepodległość Polski”, obejmująca okres lat 1905-1918. Z prac rozmiarami mniejszych wymienię „Wojskowe formacje polskie w wojnie światowej”, obszerny tekst w „Albumie Legionów Polskich” oraz „Bajończyków i armię polską we Francji”. Do broszur o charakterze popularnym należy m. in. „Historia Związku Strzeleckiego” i „Wojna polska — rok 1918-1920”. Jedną z ostatnich przed wojną jego prac była popularna — ale najlepsza — biografia Piłsudskiego „Wielki Marszałek”. W r. 1932 napisał wspólnie z Fr. Demelem dużą książkę o „Pułkowniku Leopoldzie Lisie-Kuli”. Przy tak imponującym wysiłku i bogatym dorobku znajdował jeszcze czas na studia naukowe nad problemami z dziejów dawnych. Pociągała go ku sobie najbardziej epoka i postać największego chyba z naszych królów — Władysława IV. Przez szereg lat nosił się z zamiarem napisania większej na ten temat monografii; częściowym tylko rezultatem studiów w tej dziedzinie był 60-stronicowy szkic o „Stosunkach polsko-rosyjskich w przededniu wojny smoleńskiej w 1632-1634 r.”, traktowany jako rozdział wstępny zamierzonej monografii.

Niemalą rolę odegrał Lipiński również w dziejach Instytutu Badania Najnowszej Historii Polskiej. Wspólnie z generałem Stachewiczem zredagował jedno z pierwszych wydawnictw Instytutu — tom wspomnień o „Polskiej Organizacji Wojskowej”. W pracach redakcyjnych nad pierwszym wydaniem „Pism — Mów — Rozkazów” Józefa Piłsudskiego udziału nie brał, dla wydania drugiego jednak opracował tomy trzeci i czwarty. W r. 1932 został po mnie sekretarzem redagowanej przez Leona Wasilewskiego „Niepodległości”. Od r. 1930 był skarbnikiem Instytutu i jako „Lodzermensch” (sam tak siebie żartobliwie nazywał) prowadzi nader pomyślnie i owocnie „politykę finansową” tej placówki, rozbudowującej się z ram nader skromnych i ubogich. Dzięki jego zabiegom „Niepodległość” wkrótce stała się pismem, nie tylko samowystarczalnym, ale i dochodowym. Wszelkie pod tym względem swoje rekordy pobił w wypadku drugiego wydania „Pism” Marszałka, kiedy to przez zastosowanie prenumeraty po trzy złote miesięcznie i przy cenie 30 złotych za dziesięciotomowy komplet, doprowadził do niebywałego w Polsce nakładu — z górą 40 tysięcy kompletów — czyli prawie pół miliona tomów! Jemu też zawdzięczał Instytut wydanie i powodzenie w kolportażu innych najpoważniejszych swych publikacji: Żeligowskiego „Wojna w roku 1920”, „Dziejów Polskiej Myśli Politycznej” W. Feldmana, czterech tomów wspomnień Sławoja-Składkowskiego, „Czternaście lat” Michała Sokolnic-

kiego i Romana Starzyńskiego „Cztery lata wojny w służbie Komendanta”. W r. 1935 — po śmierci generała Stachewicza, który był generalnym sekretarzem Instytutu, przy W. Sławku jako prezesie — Lipiński został dyrektorem administracyjnym tej rozbudowanej już w poważny warsztat naukowy placówki. Po generale odziedziczył reprezentację praw autorskich nieżyjącego już Marszałka. Zainicjował i doprowadził do wydania czterotomowego wyboru „Pism” po niemiecku, zaopatrując je w przedmowy i komentarze i przygotował też podobny kilkutomowy wybór dla wydania angielskiego, ale w tym wypadku przeszkodził wybuch wojny. Pracą, której w ostatnich latach przed wrześniem poświęcał każdą wolniejszą chwilę — było gigantyczne zaiste „Calendarium Józefa Piłsudskiego”, gdzie z pietyzmem, z niesłychaną systematycznością i „aptekarską” ścisłością wynotowywał ścisłe daty — nieraz do godzin włącznie — wszystkich, gdziekolwiek, pobytów Piłsudskiego na długim szlaku od Żułowa do kaplicy Srebrnych Dzwonów. W roku 1936 habilitował się i został docentem uniwersytetu Jana Kazimierza. Wynikające stąd związki jego z uczelnią lwowską odbiły się korzystnie również na życiu i pracach Instytutu, sprowadził bowiem ze Lwowa — głównie z grona uczniów prof. Zakrzewskiego — kilku młodych naukowców, powierzył im systematyczne porządkowanie i inwentaryzację coraz bardziej rosnących zbiorów Instytutu — porządował tematy do naukowego opracowania, zorganizował i kierował comiesięcznymi dyskusjami tego współpracującego grona. Olbrzymi już wówczas dział autografów Józefa Piłsudskiego, wzbogacał z miesiąca na miesiąc, umiając nie tylko szukać ich „pó ludziach”, ale i ściągać je do Instytutu.

Od każdego historyka — od siebie samego przede wszystkim — wymagał i żądał, by w pracach historycznych — poza odzwierciedleniem minionych chwil zawarte były „naczelnie składowiki nauki historii, które ją czynią potrzebą realną, które z niej tworzą podstawę, na której buduje się nie tylko zrąb poznawczej prawdy, ale i doświadczenie zeń płynące”. Z takiego stanowiska wynikały oczywiście poważne konsekwencje. Wrogów w życiu nie ma ten tylko, kto nic nie robi. Lipiński pracował wiele, zrobił niejedno, więc i nieprzyjaciół miał niemało. Przynosił mu ich także jego kipiący temperament. I w służbie historii uważał się za jej żołnierza, a za jeden ze swoich obowiązków — oczyszczenie jej przedpola. Czuwał tu nieustannie — jako recenzent i sprawozdawca. Na każdą próbę fałszu historycznego, przeinaczenia, tendencyjnej interpretacji, uzasadnienia ex post — rzucał się ostro, namiętnie, gwałtownie, uderzał nieraz z furją.

Tak samo, jak w tych publicznych pojedynkach — polemikach — i w życiu codziennym spontanicznie, natychmiastowo, ostro reagował na wszystko, co uważał za niewłaściwość czy nieuczciwość. W r. 1934 ukazało się „Oblicze dnia” Wandy Wasilewskiej. Ojciec jej, kochany przez nas wszystkich pan Leon, wielce był nie tyle strapiiony treścią książki, co zgorszony poru-

szeniem, jakie wywołała. W tym utworze najmłodszej swej „pociechy” skłonny był jeszcze nie widzieć sympatii do komunizmu i tłumaczyć wszystko dopuszczalnym i zrozumiałym u córki socjalisty radykalizmem przekonań i poglądów; pokazał nam przy tym dwa egzemplarze — jeden pełny, i drugi — z białymi już plamami, po konfiskacie. Można „Oblicze dnia” różnie oceniać, można je nawet ostro potępiać, ale to, cośmy ujrzeli, zasługiwało na jedną tylko nazwę — krzyczącego skandalu! — Nożyce cenzorskie działały bardzo nieinteligentnie, „machaly” na oslep, na chybił-trafił, wycinając przeważnie fragmenty bez wyrazu, nic właściwie nie mówiące. Książkę pokaleczono — bez sensu. Lipiński, choć w gorącej dyskusji na kwadrans przedtem szczerze, po swójemu wypowiedział swój sąd krytyczny, nawet potępiający o „pani Wandeczce” i jej stosunku do polskiej rzeczywistości — rzucił się, jak żbik, do telefonu, odszukał jakoś winnego prokuratora, zaatakował go gwałtownie, wykazał mu całą jego bezmyślność — i to tak dobitnie, że biedak miał jedno tylko wyjście — przyznać się, iż konfiskatę zarządził, nie czytając książki. W parę lat potem — w r. 1936 — dwóch nadmiernych gorliwców z otoczenia Rydza zgłosiło się do Lipińskiego z dzikimi pretensjami o to, że ostatniej książce swojej o Piłsudskim dał tytuł „Wielki Marszałek”. Cały Generalny Inspektorat — mówili ci dwaj durnie sztabowi — „jest głęboko oburzony”, a i Rydz „odezwał to w sposób nader przykry” — no... bo... przecież... z tytułu wynika „niezbicie”, że jest „marszałkiem małym”. Nigdy chyba Lipiński nie był w furii większej. Przede wszystkim — obu interwenientów wyrzucił „z trzaskiem” i dosłownie „na pysk”, w Inspektoracie zrobił piekielną awanturę i doprowadził do raportu u samego Rydza, gdzie sprawa skończyła się tak, jak się skończyć musiała — wielką, a żalną dla gorliwców kompromitacją. Brzydził się dobijaniem przeciwnika — już leżącego. Na kilka lat przed wojną redagowaliśmy z nim wspólnie wielką księgę zbiorową o „idei, życiu i czynie” Marszałka Piłsudskiego. Dał nam do tej księgi dość dużą swoją pracę i jeden ze znanych w Polsce publicystów. Na tym tle — między nim a Lipińskim doszło do poważnego starcia. Sprawa się załagodziła — lecz stosunek Lipińskiego przybrał formę „zbrojnego pogotowia”. Najmniejsze potknięcie się tego pana niewątpliwie wywołałoby szturm. Potknął się fatalnie i — dwukrotnie. Stał się bohaterem głośniego na całą Polskę skandalu — a jednocześnie wydał świeżą swoją pracę, gdzie popełnił plagiat niewątpliwie i jaskrawy, bo — nie powołując się na żadne źródła i nigdzie nie dając choćby cudzysłowów — „odrzymał” to i owo z prac paru badaczy niedawnej przeszłości, a całymi już stronicami z Lipińskiego „Walki zbrojnej o niepodległość Polski”. Lipiński — nader w tych kwestiach wrażliwy — w innych warunkach zrobiłby niesamowite piekło, teraz jednak — wobec głośniego skandalu — machnął tylko pogardliwie ręką: „już ten dziad i beze mnie ma dość!” — i sprawa nigdy ujawniona nie była. Toteż i mnie — tutaj przynajmniej — we wspo-

mnieniu o Lipińskim nie wypada ujawniać nazwiska tego pana, znanego w kraju „reżimowego dygnitarza”. Ludzi, gdy w starciu z nim dawali silny odpór i potrafili bronić swego punktu widzenia, — Lipiński szanował, i niejedna przyjaźń na tym tle wyrosła. W stosunku do przyjaciół — na pewne liczniejsze niż wrogowie — był towarzyszem szczerze oddanym, wiernym, nieraz nieocenionym, śpieszącym w chwilach trudnych z pomocą nie tylko w słowie czy radzie.

Po raz ostatni widziałem się i mówiłem z nim w niedzielę 3 września, w kilka godzin po wypowiedzeniu przez Anglię wojny Niemcom. Nie poddawał się ogólnemu nastrojowi, nie sądził, by po wystąpieniu aliantów Niemcy zmniejszyli siłę nacisku na nas. Niepokoił się zwłaszcza o północ — ze strony Prus.

A potem? Potem drogi nasze zaczęły się rozchodzić. Na zawsze. Ja powędrowałem na ciężki i gorzki chleb emigracji, on — popłynął ku swoim szczytom. Około 12 września — w każdym razie jeszcze w Krzemieńcu — usłyszałem po raz pierwszy Lipińskiego w radio. Został. Został, by związać mocno imię swoje z nazwiskiem bohaterskiego prezydenta stolicy. Do ostatniego dnia — do chwili kapitulacji Warszawy — był kierownikiem propagandy radiowej. Po kapitulacji — choć poszukiwany przez Niemców — nie chciał nigdzie z Warszawy wyjeżdżać, ukrywał się, ratował i chował ocalałe resztki zbiorów Instytutu i Muzeum Belwederskiego. Zaczyna od razu — skierowaną przeciw Niemcom — pracę w podziemiu; Lipiński w warszawskim podziemiu rzuca myśl stworzenia organizacji, jednoczącej polskie siły polityczne i społeczne, do walki z okupantem niemieckim. Z jego też imieniem związany jest powstały w podziemiach kraju już w październiku 1939 „Konwent Organizacji Niepodległościowych”. Niebawem — po wywiezieniu Starzyńskiego przez Niemców, gdy poczuł i przekonał się, że i jemu zaczynają coraz mocniej nastawać na pięty — w ostatnich dniach listopada 1939 w „ostatniej już chwili” — jak sam później w liście opisywał — wy dobył swój „miniaturowy samochódzik” i — „bez numeru, na wariata” przejechał „w ciągu dziesięciu godzin nocy” z Warszawy do Zakopanego; ukrywał się tam przez cztery prawie miesiące, ale i stąd „musiał się usunąć” — 19 marca r. 1940 — „wieczorem przypiął narty do nóg” i „przedarł się przez Tatry na południe, przebywając 60 kilometrów w 16 godzinach”. Z Budapesztu chciał bezzwłocznie ruszyć dalej — na zachód, do Francji, gdzie był rząd polski i tworzyła się armia polska. Zwracał się w tej sprawie telegraficznie do najwyższych czynników — do generała Sikorskiego także — ale bez rezultatu. Zaciętrzewione polskie partyjnictwo, z Kotem na czele, oczywiście zamknęło mu wszelkie drogi na zachód. Tak — z konieczności osiadł na dłużej w Budapeszcie. Spotkał tam i zaczął pracować z Julianem Piaseckim, który reprezentował pracującą na kraj grupę piłsudczyków. Może zajrzał w tym czasie do Rumunii, może innymi drogami skontaktował się z internowanym jeszcze Marszałkiem Rydzem-Śmi-

głym; w każdym razie — pod koniec lata r. 1940 — miał już napisaną dość dużą broszurę „Wojna polsko-niemiecka w r. 1939”, podpisaną pseudonimem „Gwido”, a opartą — jak pisał w liście — „na źródłowych informacjach od Edwarda”. Przywędrowała do mnie ta broszura już w grudniu r. 1940. Należy dziś zapewne do najbielszych kruków.

Kontakt bezpośredniego z Lipińskim nie utrzymywałem; podał mi „na wypadek najniezbędniejszej konieczności” swój adres w Budapeszcie, prosił jednak, by „ze względów zrozumiałych” wszelką korespondencję do niego kierować przez wspólnego naszego przyjaciela w Szwajcarii. Tą właśnie drogą — raz na parę miesięcy — wymienialiśmy między sobą garsteczki informacji. Dowiadywałem się więc, że w kilka tygodni po napisaniu swej broszury — na przełomie września i października r. 1940 — poszedł Lipiński z Budapesztu przez „zieloną granicę do Polski”. Był wówczas w kraju przez miesiąc. Nie znam celu i szczegółów tej wyprawy. Najpewniej — chciał się zorientować w krajowych nastrojach, pracach i możliwościach. Wrócił — pełen uznania dla postawy ludności, zwłaszcza Warszawy, — wrócił z postanowieniem, że „za parę miesięcy, na wiosnę najdalej wybierze się tam na stałe”, bo „chce i musi zastąpić tych, co odeszli” na Pawiak, do Oświęcimia czy do obozów niemieckich. Musiał jednak zmodyfikować swe zamiary — i spędzić w Budapeszcie jeszcze półtora roku. Przypuszczam, że jednym z głównych powodów były skutki osobistego zetknięcia się z marszałkiem Rydzem, który po ucieczce z Rumunii zimą r. 1940 przez dłuższy czas pozostawał na Węgrzech. W listach swoich z tego okresu Lipiński parokrotnie wspomina o „częstych spotkaniach i długich rozmowach Gwidona z Edkiem”; z początkiem r. 1942 zawiadamia, że „Gwido jesienią przystąpił już do obszerniejszego ujęcia tematu” i za parę tygodni będzie miał gruntośnie opracowane dzieło”, a „że bogate — to Edkowi zawdzięcza”. Czy i gdzie wydana została ta druga — znacznie obszerniejsza — książka o kampanii wrześniowej? Nie wiem. W tym samym mniej więcej czasie otrzymałem od Lipińskiego egzemplarz konspiracyjnie w kraju wychodzącej „Myśli Państwowej” (nr. 9 z 30. XII. 1941 r.) — z artykułem „Cui bono?” — Nie wiem, czy autorem tego artykułu był Lipiński, — skoro jednak przysyłał mi go, zakreśliwszy kolorowym ołówkiem ważniejsze jego fragmenty — przypuszczam moge, że jeśli nawet autorem nie był, to widział w nim odbicie własnego stanowiska. Artykuł ten był ostrą krytyką „polityki wschodniej” Sikorskiego. Niech mi wolno będzie w tym wypadku przytoczyć tu parę wyjątków:

«Polityka jest — rzecz prosta — grą, dopuszczającą wygrywanie różnych stawek, lecz jak każda gra — opłaca się wówczas, o ile istnieje możność użytkowania zwykłej własnej wartości. Z chwilą, gdy to nie zachodzi, — trwanie przy tej samej grze, miast wzmacniać naszą siłę — grozi wsprzedaniem naszej niezależności na rzecz innych»... — «Sprawa polska, jakkolwiek stanowi punkt wyjściowy obecnej wojny światowej, niemniej wymaga stałego aktualizowania. Zatrzymanie się przy punkcie początkowym i nieswiarzanie no-

wych momentów stale ją aktywizujących równoległe do zmiennych wydarzeń byłoby zbrodniczą lekkomyślnością... — «Emigracyjny rząd polski — mimo, iż było to jego głównym zadaniem — nie okazał należytej w czasie czujności w obronie interesów Polski na tle zapowiadającej się nowej koniunktury. Wybuch wojny niemiecko-rosyjskiej oraz alians Londyn-Moskwa jak gdyby go zaskoczyły. Po fakcie — sploszony i zdenerwowany ponad miarę — zaczął coś ratować, a złożony z ludzi niecierpliwych i niezahartowanych w niezależnej postawie, poddał się kierunkowi nadawanemu przez obcych... — «Błędy i niedociągnięcia popełnione uprzednio, a polegające na niewykorzystaniu prawie dwuletniego okresu współdziałania niemiecko-rosyjskiego dla dogadania się w sposób wiążący z krajami anglosaskimi co do interesów Polski na wschodzie zemściły się i postawiły rząd polski wobec niedawnego najeźdźcy w sytuacji ubogiego i osamotnionego krewnego»... — «Polityczne posunięcia premiera Sikorskiego ujawniają nam momenty holdu, jakie Polska przez swego premiera złożyła Rosji, — holdu, który daje wobec opinii świata uzasadnienie niedawnym twierdzeniom Stalina, że całe jego postępowanie z lat 1939-1941 było «nadzwyczaj przewidujące». Przewidujące nawet w stosunku do Polski, bo właśnie doprowadziły do takich jej gestów wobec Moskwy, których dawniej uparczywie odmawiała. Posunięcia premiera Sikorskiego wskazują również, że pominął on w zupełności nakazy, wynikające z naszej sytuacji geopolitycznej i w całości i bez reszty zaangażował sprawę polską po stronie Rosji»... — «Rząd polski zawodu Stalinowi nie sprawił — usilniej niż ktokolwiek inny tuszował metody postępowania sowieckiego, wstrzymał wystąpienie krytyczne pod adresem Rosji Roosevelta, wrażliwego na tematy, związane z wolnością religijną — i w końcu dał przez pobyt swego premiera w Moskwie dowód, że najbardziej w praktykach sowieckich zainteresowany naród nie ma im nic do zarzucenia»... I końcowe artykuły wnioski: «Zadna gra polityczna, żadne pakti, obietnice, wizyty oraz «współdziałanie» nie zmieniają faktu, że nie tylko jednego mamy wroga, lecz dwóch — Niemcy i Rosję... Nie wolno nam tu w kraju słuchać nakazów Moskwy i w jakikolwiek sposób z jej agentami współdziałać, podobnie, jak nie uczyniliśmy tego w stosunku do Niemiec... Rosja swą rolę niszczenia sił niemieckich kończy na swym terytorium — wszelkie posuwanie się armii rosyjskiej przez ziemie Polski i to pod jakimkolwiek odbywałoby się pozorem musi spotkać się ze stanowczym oporem z naszej strony... W wypadku poważnego zniszczenia sił Rosji przez kampanię obecną rolą naszą nie jest bronić Rosji, lecz przeciwnie — wykorzystać tę koniunkturę dla realizacji polskiej koncepcji wschodniej; prowadzona walka z Niemcami i nasze zadania co do granic zachodnich nie naruszają i naruszać nie mogą obowiązków, wpływających dla nas z poprzednio wymienionych nakazów»...

Za słusznością moich przypuszczeń co do autorstwa Lipińskiego przemawiać zdaje się i wyjątek z listu jego z 19 marca 1942, jaki wkrótce potem otrzymałem w normalnej naszej drodze przez Genewę. Pisał w tym liście Lipiński:

«Co do ogólnej sytuacji, to nie ulega wątpliwości, że stoimy wobec rozstrzygających zdarzeń jeszcze w tym roku. Napiecie sił niemieckich doszło do zenitu — więcej wydobyć z siebie nie będą mogli i jeżeli w tym roku rozstrzygnięcia nie uzyskają — nie uzyskają go już nigdy. Toteż w moich rozważaniach przestałem się zajmować nimi. Nie interesują mnie jako groźba dla nas — ich likwidacją zajmie się kto inny. Interesuje mnie natomiast Rosja. W tym nadchodzącym okresie już tylko w niej widzę główne niebezpieczeństwo i głównego wroga, tym większego, że w walce z nim nie będziemy mieli sprzymierzeńców naszych za sobą. Musimy liczyć tylko na siebie i ewentualnie na tych, którzy tak samo zostają, jak my, zagrożeni — a więc na Węgrów, Litwinów, Łotyszów. Powtórzy się znów historia z 20 roku — tym jednak cięższa, że sprzymierzeńcami bolszewików przeciw nam będą również i nasi dzisiejsi przyjaciele. Właściciel — musielibyśmy już dzisiaj przygotowywać się do insurekcji. Podobnie, jak insurekcja Kościuszkowska zwrócić się ona musiałaby przeciw Rosji oraz przeciw własnemu rządowi, który również jak ówczesny rząd Stanisława Augusta nie potrafił zapobiec wstąpieniu Moskali do Polski i nie potrafił ich z Polski się po-

zbyć, związawszy się z Rosją politycznie. Toteż insurekcja byłaby koniecznością — i należałoby się oglądać za bardziej szczęśliwym Kościuszką, bo Tadeusz był pechowcem»...

Był to ostatni list Lipińskiego z Budapesztu. W czerwcu r. 1942 — odszedł do kraju, znów przez „zieloną granicę”. W pierwszej kartce z Krakowa zawiadamił, że jest „zdrow i cały” i że zamierza pozostać w kraju do jesieni; do „bratanka” (Budapesztu) wrócić właściwie musi, bo musi „kontynuować pracę w bibliotekach”, chyba — dodawał — można będzie liczyć na szybki koniec wojny — „w tym wypadku nie ruszałby się już nigdzie”. Po paru tygodniach zawiadamił, że go „sprawy gospodarcze na wsi (w Polsce) tak pochłonęły, że o bratanku wcale już nie myśli”. Wszedł do „Konwentu Organizacji Niepodległościowych” pod pseudonimem „Aleksander”. Dochodziło do mnie potem — w listach jego — echa jakichś nieporozumień w kraju, jakichś zatargów między „Wacią a Julcią” (Julian Piasecki) — ktoś komuś zarzucał „zaciętrzewienie”. Nie orientowałem się w tych dalekich wówczas ode mnie krajowych sprawach wewnętrzno-organizacyjnych, — domyślać się tylko mogłem, że ścierają się — niegroźnie — dwa odciały, które po przetłumaczeniu z języka bardzo konspiracyjnego nazwałbym grupą Śmigłego i grupą Sławkowców. Wkrótce zresztą przyszły wiadomości o pojednaniu. — „Rodzina ma się dobrze — pisał Lipiński po paru miesiącach — i coraz większa panuje wśród nich harmonia; poszczególne sklepiki scalają się w większe przedsiębiorstwa handlowe i tak sobie chwalać te pościągnięcia”... Od niego również — w r. 1942 — otrzymałem wiadomość o zgonie marszałka Rydza, później — także o śmierci Stefana Starzyńskiego. W obszernym liście z 15 grudnia r. 1942 pisał:

«U nas bez zmian — jest jedna ciszej i spokojniej. Ludziska żyją w oczekiwaniu zmian z dnia na dzień, ale w spokoju wobec obecnej rzeczywistości. Przyszłości obawiają się bardzo, ale raczej w miastach. Na wsi tej przyszłości (tj. armii sowieckiej i tego, co ona przyniesie) — nie boją się, można powiedzieć, że jej nawet oczekują, co nie jest zjawiskiem pocieszającym, a nawet jest bardzo niepokojącym. Robi się, co można, aby te nastroje zwalczać, ale środki nasze wobec możliwości ich są bardzo skromne i ograniczone»...

Zawiadamił dalej o swoich pracach pisarskich. W tym czasie miał ich na warsztacie dwie: pierwsza to „charakterystyka umowy handlowej z Czubaryckimi” (tzn. Sikorski-Stalin) — „w stosunku do tej handlowych prof. Wład. (tzn. Sikorskiego) jest ona krytyczna i nawet bardzo surowa”. Pracę drugą poświęcał ocenie „pracy Wierzbowskiego” (tzn. Becka). Prace te — zapowiadał — „w najbliższym czasie wydam drukiem”. Po kilku miesiącach — w jednym z ostatnich już listów — przemycił sprytnie ich pełne tytuły: „Polityka Piłsudskiego i Becka” oraz „Bilans Czterolecia”. Żałował, że druk z niezależnych od niego powodów „idzie żółtym krokiem” — ale „jest na ukończeniu”. Obiecał

przesłać te książki na adres genewski — zastanawiał się, jak to zrobić? Żadna z nich jednak nigdy do mnie nie dotarła.

W marcu r. 1943 przysłał nagle — jedną po drugiej — kilka kartek z prośbą, by treść ich „przekazać jak najprędzej rodzinie dalej”. Pierwszej — nie zrozumiałem i na próżno gubiłem się w domysłach. Pisał o jakiejś Zosi, która ma lat 43 i jest beznadziejnie chora na raka:

«Konsylium jeszcze się nie zebrało, nastąpi to w tych dniach, gdyż trzeba dostarczyć lekarzom wszystkich elementów choroby. Przede wszystkim — Zosia musi być dokładnie zbadana na drodze roentgenologicznej i to na specjalnym reakcyjnym aparacie, który tylko jest w stanie odtworzyć dokładnie stan okolicy jej żołądka».

Rozwiązanie zagadki przyniosły po paru dniach nie mniej starannie zakonspirowane kartki dalsze:

«Na postępy choroby Zosi na pewno wpłynął brak spokoju. Toteż ja robię to, co robiłem we wrześniu — gadam i gadam, mówię i perswaduję, ale mała z tego pociecha».

Wzmianka o wrześniu prowadziła już do pewnego domysłu o tajnej radiostacji nadawczej — 43 lata Zosi tłumaczyłem sobie jako długość fali. Brakowało już tylko informacji co do godziny. Po paru następnych dniach przyszła jeszcze jedna kartka:

«Wczoraj — 6 lutego — Zosia była nieprzytomna, wywołując ciągle drogę dla siebie imię: Aleksander! Aleksander! Wczoraj zaczęły się wymioty i trwały strasznie długo — myśleliśmy, że biedna Zosia ducha już wyzionie. Potem — niestety — co jest najgorsze — wymioty nabrały cech regularności — od siódmej wieczór co pięć minut Zosia wymiotowała z przerwami parominutowymi»...

Wreszcie — przyszła jeszcze jedna kartka:

«Zosię przeniesiono do cioci Słuchowskiej... ciocia zmieniła obecnie mieszkanie, nie jest już w Nasielsku — mieszka przy ulicy Falowej 43, mieszkanie 7»... — «Jak to dobrze — dodawał — że zastosowany aparat — jedyny ze wszystkich — odtwarza dokładnie stan rzeczy»...

Przez parę tygodni, wieczorami — w podanych godzinach — nie odchodziłem od radia, szukając na krótkich falach głosu Lipińskiego. Niestety — bez rezultatu. Może dlatego, że mój odbiornik był słaby i lichy...

Te kartki z wiadomościami o uruchomionej radiostacji nadawczej były ostatnimi ogniwami w mojej z nim łączności. Niepokoiłem się jego milczeniem. Upływały miesiące... Dopiero na wiosnę w r. 1945 — po klęsce Niemiec — wraz z pierwszymi już grupkami przybywających na Zachód warszawskich niedobitków i wynędzniałych kacetowców, a potem i uchodźców spod sowieckiego „wyzwolenia” — przyplływać zaczęły nikłe, skąpe, ale coraz pewniejsze wieści o nim. Dzięki Bogu! — jest — nie zginął, żyje! Był przez Niemców aresztowany, ale uszedł cało. Ktoś go już widział po powstaniu w Warszawie, ktoś inny spotkał się z nim w Gdańsku, ktoś wreszcie streszczał fragmenty

jego pamiętnika, ogłaszanego podobno w prasie łódzkiej. Powoli też — stopniowo — narastał przede mną obraz jego wysiłków i losów w ostatnim już okresie okupacji niemieckiej.

Niepokoje najgłębszym — a dziś widać, jak bardzo uzasadnionym — reagował na instrukcje, nadsyłane do kraju przez Londyn. Mówił — powtarzał wiele razy: musimy być niewyczerpani w myślach, bardzo oszczędni, skąpi w środkach. Przeciwwstawiał się, jak tylko mógł, w granicach skromnych swoich możliwości, — bezcelowemu, bezsensownemu i przecież tragicznemu w skutkach poleceniu ujawniania się władz podziemnych i oddziałów armii krajowej i współdziałania ich z wkraczającym „wyzwoleniem”. Wszyscy świadkowie, z którymi mówiłem, stwierdzali zgodnie: w nieustępliwej próbie otwarcia oczu ślepcom czy daltonistom wskazywał na ponury przykład Wileńszczyzny i Wołynia, gdzie ujawniających się — po ich wyzyskaniu — rozbrajano, rozstrzeliwano, wywożono na wschód. Jak w swoim czasie w radio — tak teraz w prasie podziemnej, w spotkaniach i rozmowach „gadał i gadał” — perswadował, tłumaczył, że z mora niemiecka już znika, że już jutro przestanie być niebezpieczeństwem, że straszliwsza groźba idzie ze wschodu — że w tych warunkach wszelka akcja powstańcza będzie tylko szaleństwem, obłąkańczym kręceniem tym mocniejszego powroza na polską szyję — pomocą dla Moskwy, by po rzezi — dokonanej przez Niemców — mogła prędzej i łatwiej opanować i ujarzmić kraj. W walce z Niemcami — mówił i przekonywał — spełniliśmy swój obowiązek rzetelniej, niż jakikolwiek inny naród — przeleliśmy zbyt dużo krwi w tej walce, i stopy naszych ofiar wzrosły ponad miarę. Dość! Niech Niemców „dorzynają” inni! Ale — powtarzał — nie myśmy też o walce zbrojnej z Rosją, bo w dzisiejszym układzie sił byłoby to także szaleństwem. Nie szukajmy też „współdziałania” z nią, bo jest to wróg — śmiertelny wróg — nie ujawniajmy przed nią naszych sił, bo przecież pójdą do łagrów workuckich i kołymskich. Zachowajmy siły swoje dla siebie — na przyszłość, skoro na dzisiejszą rzeczywistość mamy ich mniej niż mało!...

A potem przyszło aresztowanie, proces i śmierć w więzieniu Bezpieki...

Pisałem w maju 1949.

Władysław POBÓG-MALINOWSKI.

Książki

Polska Nieśmiertelna

Książka Generała Andersa*) stanowi jedną z kart polskiej epopei. Ta dziwna epopeja ostatniego naszego dziesięciolecia składa się z dwóch odmiennych zupełnie a związanych węzłem krwi rozdziałów: z kroniki więzień i kaźni i z dziejów rycerskiego czynu. Gdyby nie było czynności wojskowych, historia polska tej epoki zapisałaby tylko tułactwo i męczeństwo; zawdzięczamy żołnierzom, że na kartach tych zapisane zostało także działanie, że obok wytrwałości stawała odwaga, że prócz wymijania i podchodzenia wroga uczyliśmy się także stawiać mu czoło w świadomym ryzyku i w otwartej walce.

Jeden z moich młodszych kolegów, adeptów zawodnej sztuki dyplomatycznej, tłumaczył mi kiedyś — było to między Teheranem a Jaltą — niepotrzebność naszego czynu orężnego. — Cóż znaczyć będą, mówił, te bataliony czy w najlepszym wypadku dywizje, wobec ogromu sił obu zapaśników? będą co najwyżej jakimś epizodem, drobną pozycją, nieważącą na szalach. Polskę wywalczy się i zdobędzie przy stole narad i w dyskusjach pokojowych. Poza tym Polska w przyszłości, osiągnął on dalej swoje krótkodystansowe proroctwo, i tak nie będzie miała armii własnej; wyręczą ją wielkie mocarstwa, stojące na straży pokoju.

Książka Andersa jest dowodem położonym na szalę przeciwnej, słuszniejszej sprawy. W istocie: dopóki Polska istnieje, tradycja walki będzie dla niej nie tylko szkołą charakterów, ale widokiem innej przyszłości. W dzisiejszym świecie wilków i szakali nie czas jest przekuwać broni na lemiesz. Niewiadomo jest jeszcze jakie formy przybierze przyszła wojna; w obliczu jej imponderabilów należy zachować możność własnej siły. Te

*) Władysław Anders, **Bez Ostatniego Rozdziału**, wspomnienia z lat 1939 — 1946. Montgomeryshire Printing Co Ltd. Wydanie pierwsze. Styczeń 1949 (Londyn). Str. XV, 447 i ilustr.

możność siły dają tylko rycerskie cechy charakteru: stanowcze sprzeciwienie się złu we wszelkiej jego postaci, nie paktowanie ani ze złem ani ze słabością, nieustraszona odwaga w dobrej sprawie i we własnym przedsięwzięciu. Tych wszystkich koniecznych dla polskich serc i umysłów założeń książka Andersa jest pięknym wzorem i szlachetnym sprawdzianem. Można być pewnym, że i tym razem, jak już dawniej bywało, słowo przebiję najgrubsze mury, przeskoczy lotnie najprzemysłniejsze zasieki. W zapaściach dzisiejszej Polski, w mroku niewoli, zasnutym pajęczyną kłamstwa, nazwisko Andersa jest przypominane często obelgą i wyzwiskiem, wymawiane z pianą nienawiści na salach fałszywych sądów, straszą nim dzieci w upodlonych szkołach. Można żywić nadzieję, że przez sam cud tego nieśmiertelnego ducha przeciwnieństwo, jaki ratował w przeszłości polską młodzież, imię to będzie powtarzane przez wyrastające pokolenia z czcią i z oczekiwaniem. Gdy zaś innym jeszcze cudem książka Andersa dostanie się do rąk młodych w kraju Polaków, to będzie ich prowadziła od Pomorza po Lwów, od krwawej z Niemcami rozprawy do Łubianki, od Buzułuku do Aschabadu, przez wyżynną Persję, przez pustynny Irak, na Monte Cassino i do Ancony. Taką zaś już jest natura własna epopei, że się nigdy nie kończy, że urabia umysły, że kształtuje na nowo serca i że jak fala wciąż nowa wiecznie na dawne łożyska powraca.

Oto jest więc główne znaczenie książki generała Andersa: przedstawienie i echo polskich bojów drugiej wojny światowej i kolei przez jakie przeszli polscy żołnierze. Treść książki jest jednak również polityczna i daje wgląd w doniosłe zagadnienia sprawy polskiej w czasie wojny. Bezpośrednia, ścisła, kronikarska dokumentacja, przytoczona w tej książce, pozwala na spreycyzowanie pewnych zagadnień i na ponowne rozważenie roli różnych decydujących czynników.

Jednym z interesujących spostrzeżeń Generała z czasów więziennych w Rosji jest potwierdzenie wniosku, że sojusz sowiecki z Niemcami nie był żadnym wybiegiem taktycznym, jak tego później chciała dowieść niewybredna prosowiecka propaganda, ale istotną polityką Związku, konsekwentną i podyktowaną z góry wszystkim wykonawczym organom. Zresztą, zarówno przed atakiem Hitlera na Rosję, jak nawet po tym ataku, powszechną była niechęć, jeżeli nie wprost nienawiść do Anglii, która w szerokich warstwach ludności łączyła się wprost z pragnieniem, aby Niemcy zwyciężyli również i Rosję i znieśli ustrój sowiecki. Dopiero później kanibalizm hitlerowski na Ukrainie i szaleńcze plany Rosenberga i jego szkoły, zmierzające do tworzenia vacuum dla powiększenia „obszaru życiowego” Niemiec, zmieniły nastroje. Tak przedtem jednak jak i potem, walka z imperializmem angielskim była wytyczną stałą czynników rządzących Rosją i niewątpliwie odpowiadała głębszemu usposobieniu narodowemu. Ciekawym sposobem ta podstawowa nieprzyjaźń odbijała się na stosunku sowieckim do

Armii polskiej, i zarzuty, podejrzenia i niechęci w stosunku do nas pochodziły między innymi stąd, że byliśmy sojusznikiem Anglii, że wojska nasze były się ramie przy ramieniu z armią brytyjską. I w tym też wypadku nie byliśmy dla Rosji sowieckiej wrogiem sami przez się, jako Polacy; byliśmy nim nade wszystko jako część znienawidzonego Zachodu.

Generał Anders był obecny przy głównych rozmowach Generała Sikorskiego ze Stalinem, odbył z tym ostatnim ważną, osobną konferencję 18 marca 1942 i ze wszystkich tych rozmów podaje szczegółową, protokólną dokumentację. Na szczególnie dużą wagę zasługuje notatka Generała, spisana bezpośrednio z poufnej, pobankietowej wymiany zdań na Kremlu między Sikorskim a Stalinem w sprawie granic. Relacja ta, podyktowana i uwierzytelniona przez Generała Sikorskiego (str. 122) różni się zasadniczo od tej, jaką Sikorski podał Ambasadorowi Ciechanowskiemu w trzy miesiące później (*Defeat in Victory*, str. 78 n.). Wersja Sikorski - Anders, podobnie zresztą do tej, jaką sam słyszałem w końcu grudnia 1941 od Generała Sikorskiego, zawiera stanowczą odmowę polskiego Premiera dyskusowania, a więc i kwestionowania ustalonych traktatami granic Polski, ale pomija owe ukradkowe propozycje czy sugestie Stalina — jakoby tylko „tycio tycio” (czut' czut') żądań granicznych — o jakich Sikorski opowiadał Ciechanowskiemu. Niestety, pełnej prawdy w tej drażliwej sprawie nie dojdziemy już nigdy. Jakakolwiek by ona zresztą była, faktem pozostaje niewątpliwym, że to poruszenie sprawy granic 3 grudnia 1941 miało ze strony Stalina charakter taktycznego wybiegu: celem jego było wciągnąć i osnuć, a sobie zachować na przyszłość walor precedensu: że sprawę granic z szefem Rządu polskiego poruszył — i alibi: że miał żądać jakoby niewiele.

W cennych notatkach Generała Andersa z tych rozmów Stalin rysuje się przed nami wyraźnie, panujący nad przedmiotem rozmowy, taktyk i kalkulator, umiejętny i przebiegły.

- ...Stalin jest niewielkiego wzrostu... dość szeroki w barach... uwagę zwraca duża głowa, gęste czarne brwi... ale przede wszystkim uderzają oczy: czarne, matowe i zimne. Nawet kiedy się śmieje, oczy nie śmieją się nigdy... Wysuwają się na pierwszy plan duże wschodni nos. Ruchy ma nadzwyczaj opanowane, raczej kocie... Liczy się z każdym słowem... Bije od niego ogromne poczucie władzy... Zawsze był bardzo uprzejmy. Odbijał oczywiście dodatnio od jakążącego się Mołotowa z wiecznemi złą twarzą...

Umiejętność Stalina jako taktyka przejawiała się w uwadze na każdy odcień rozmowy, na każde powiedziane słowo. W rozmowie z nim nic nie uszło płazem i Anders przytacza nieszczęśliwą i niepotrzebną uwagę frankofila Sikorskiego, zwróconą przeciw Francuzom, której natychmiast się przeciwstawił tak zawsze Francji niechętny Stalin. Natomiast z przykrością

stwierdzić wypada, iż rzucone zawsze mimochodem, a przecież konsekwentne i świadome wycieczki Stalina przeciw politykom czy dowódcóm polskim, przeciw Sosnkowskiemu czy Beckowi, nie spotykały się z należną reakcją polskiego premiera.*) Z opowiadań Generała Andersa potwierdza się jeszcze jedna cecha charakteru Stalina — zawistna mściwość. Twarz Generała Okulickiego przypominała mu tego Polaka, który mu w lutym 1913 pomógł przy przejściu rosyjskiej granicy; ale gdy tenże Okulicki w rozmowie 18 marca 1942 obstawał przy poszukiwaniach zaginionych oficerów polskich, Stalin mu najwidoczniej nigdy tej śmiałości nie darował i do ostatka potem się mścił. Z całego zresztą przedstawienia pertraktacji o Armię Polską w Rosji odnosi się wrażenie, że istnienie tej armii, odrębnej i autonomicznej, sprawiło Stalinowi wiele trudności i kłopotów, że samo jej tworzenie i zwolnienie Polaków uznał on później za swój błąd i że wiosną i latem 1942 Armia nasza znalazła się w Rosji w śmiertelnym niebezpieczeństwie. Czytając te rozdziały książki Generała Andersa, dochodzi się do przekonania, że tylko jego szybka orientacja i bezwzględna decyzja, której początkowo Generał Sikorski nie docenił i nie zrozumiał, uratowała wojsko polskie w Rosji od przygotowanej już dlań zagłady.

Trzecim zagadnieniem, na które książka Generała Andersa rzuca światło nowe, jest kwestia decyzji Powstania Warszawskiego. Zdaje się, że obecnie, w świetle miarodajnych tym razem i bezpośrednich świadectw, kwestia ta już jest stanowczo wyjaśniona i nie może podlegać, jak to dotąd bywało, kontrowersji. Decyzja powstania ma dwa odrębne oblicza: lokalne i państwowe. W zakresie lokalnym decydował Wódz Armii Krajowej łącznie z Delegatem Rządu. Ale to postanowienie lokalne musiało być przed wykonaniem potwierdzone przez czynniki państwowe w Londynie, i to zarówno przez Rząd jak Naczelnego Wodza. Niestety, Generał Sosnkowski znajdował się od 17 lipca w Italii przy Korpusie polskim i jego sprzeciwy, dotyczące wywołania powstania w Kraju, przesłane w telegramach 7, 19 i 28 lipca nie zostały uwzględnione, a częściowo, jak stwierdza szczegółowo Generał Anders, dowolnie zmieniane. Nieszczęsną decyzję powstania powzięła Rada Ministrów w Londynie 25 lipca, wskutek której Premier Mikołajczyk w przeddzień swego wyjazdu do Moskwy wysłał 26 lipca depezę do Delegata Rządu na kraj, „upoważniającą Was do ogłoszenia powstania w mo-

*) Uwaga Stalina o Sosnkowskim w rozmowie z Sikorskim 3. XII. 41: „...Wypuściłem nawet (!) agentów Sosnkowskiego, którzy urządzali na nas napady i mordowali naszych ludzi”. Protokół nie notuje żadnej reakcji na tę napaść, wyraźnie mającą na celu u Stalina odwrócenie uwagi od sprawy oficerów polskich — ofiar Katynia. Podobny był cel uwag o Becku w rozmowie 18. III. 42: „No, jemu Niemcy nie zrobią krzywdy, to ich przyjaćiel...” Otóż Stalin dobrze wiedział, iż Beck był skazany przez Niemców na powolne dogorywanie w rumuńskim internowaniu. Ciekawe echo tych instynktów, widocznie skrzętnie potem kulturowanych, znajdujemy w powiedzeniu Churchilla w rozmowie z Andersem 25. VIII. 44: „O gen. Sosnkowskim istnieje opinia, że kontynuuje politykę Becka...”

mencie przez Was wybranym". Decyzja obciąża więc Rząd, a przede wszystkim ówczesnego premiera p. Mikołajczyka, który widocznie wyobrażał sobie, że powstanie będzie dobrym argumentem dla negocjacji w Moskwie. Otóż powstanie wybuchło ze wszystkimi jego strasznymi stratami i nieobliczalnymi skutkami w Moskwa zniszczyła Warszawę i jako stolicę i jako atut polityczny polski — rękami Niemców.*) Generał Anders, ze swym jasnym zmysłem praktycznym, nie miał w tej sprawie od początku najmniejszej wątpliwości.

Ostatnim działem politycznym książki Generała jest stosunek do Anglii po Teheranie i Jałcie. Uderza ówczesna różnica zachowania się ze strony wojskowych angielskich na froncie i ze strony polityków na tyłach. Na froncie grało koleżeństwo broni, poza tym, zarówno dowództwo wojsk brytyjskich jak przedstawiciel Rządu na Bliskim Wschodzie, zdawali sobie w pełni sprawę z taktycznego znaczenia Drugiego Korpusu w prowadzonych walkach. Na politycznych tyłach rządono się racją stanu Wielkiej Brytanii, którą od lutego 1944 podporządkowano Stalinowi i interesom Sowietów. I tutaj zresztą zachodziły zmiany, w miarę tego, czy Polacy i na ile byli potrzebni. Jeszcze 25 sierpnia 1944 Churchill powiedział Andersowi: „Będziecie na konferencji. Musicie mieć do nas zaufanie; jeżeli Wielka Brytania weszła do tej wojny, broniąc zasady waszej niepodległości, mogę was zapewnić, że nigdy was nie opuścimy”. W pół roku potem zmieniła się koniunktura, a zresztą Korpus Polski wykrawał się już w służbie Anglii od Monte Cassino po Anconę i Bolonię. Churchill 21 lutego 1945 oświadcza Andersowi w Londynie: „Myśmy wschodnich granic Polski nigdy nie gwarantowali. (!) Mamy dzisiaj dosyć wojska i waszej pomocy nie potrzebujemy. Może Pan swoje dywizje zabrać. Obejdziemy się bez nich”.

W całym tym zagadnieniu obowiązuje jeszcze dzisiaj największy umiar i dyskrecja: sposób przedstawienia demobilizacji polskiej przez Generała jest pod tym względem wzorem. Nie o wszystkich jeszcze stronach tej sprawy można dzisiaj dyskutować. W świetle lakonicznego przedstawienia faktów jedno jest jasne i pewne — to rola prowokatorska, wyznaczona najwidoczniej i wiernie wypełniana przez podwładne sowieckim „władze” polskie. Rachuba, jak to zwykle w bolszewickich przedsięwzięciach bywa, była niemiłosiernie prostacka, chociaż podstępnie chytra. Chodziło o takie sformułowanie warunków demobilizacji i oferty powrotu do kraju, które by oburzyły do żywego żołnierzy, dotknęły ich wojskowego honoru i z jednej strony utrudniły im decyzję, z drugiej zaś postawiły ich dalszy, zbiorowy pobyt w Anglii pod znakiem zapytania. Chodziło poza tym o złożenie odpowiedzialności, a co najmniej współdziałalności za takie bo-

*) Należy porównać rzeczowe i oparte na bezpośredniej dokumentacji przedstawienie sprawy u Gen. Andersa (str. 270 — 275) z mętnym jej opisem u Mikołajczyka (Rozdz. VI, **Betrayal**), pomijającym zupełnie kwestię decyzji powstania i odpowiedzialności za tę decyzję.

lesne i obrażające rozporządzenia na Rząd i Dowództwo angielskie. Była to taktyka uderzająco podobna do tej, jaką zastosował Stalin zarówno w sprawie linii granicznej swojego zaboru w Polsce, nazywając ją „linią Curzona”, jak w najbardziej drastycznych sformułowaniach jałtańskich, w rodzaju mówienia o tak zwanych „antynazistowskich” partiach w Polsce: w obu wypadkach chodziło tylko o przerzucenie na Anglosasów odium najbardziej nienawistych postępień sowieckich. Te same cechy nosiła owa słynna „ulotka”, skierowana do żołnierzy polskich, za którą Bevin z całą swą dobroduszością wziął odpowiedzialność. Chodziło tym farbowanym lisem o wywołanie reakcji braci żołnierskiej przeciw Anglii, o doprowadzenie do jawnego za targu, może nawet o spowodowanie „puczu” w wojsku polskim, czego rezultat byłby podwójny: zniszczyłyby resztki niepodległego wojska polskiego i obróciłyby opinię angielską przeciw Polsce, jednocześnie dostarczając propagandzie bolszewickiej w kraju obszerne przeciw Anglii materiały. Położenie Generała Andersa było niezmiernie trudne, a to tym bardziej, że decyzje Rządu brytyjskiego, powzięte zostały jednostronnie, bez uprzedniego porozumienia, co niewątpliwie przeczyło duchowi i literze umów polsko-brytyjskich. Przecież nawet pojałtańska obietnica Churchilla, wypowiedziana w mowie wygłoszonej w Izbie Gmin 27 lutego 1945, przyznania wojskowym polskim praw obywatelstwa imperium, nie została nigdy dotrzymana i trudno było się na nią powołać wobec nowego Rządu Partii Pracy. Rząd zaś pp. Attlee i Bevina ocenił najwidoczniej całkowicie błędnie sytuację światową i możliwości pokoju i działał wciąż jeszcze w przekonaniu, że decyzja Rządu brytyjskiego w sprawach polskich musi być najpierw zatwierdzona przez Moskwę.*) To co w tych warunkach uczynił Anders, było menażowaniem przyszłości. „W zgodzie z Prezydentem Rzeczypospolitej i Rządem postanowieniem nie stawiać oporu” — tymi krótkimi słowami konkluduje sprawę. Należy skonstatować, że i w tym wypadku Wódz polski wyszedł bez skazy, postąpił w myśl honoru wojska, które walczyło dotychczas o boku swych dawnych sprzymierzonych i warował interesy narodu polskiego.

Ze zaś czasy są zmienne i rachuby ludzkie, nawet u największych potęg świata obracają się często w niwecz, o tym świadczy jedna z najbardziej wstrząsających scen, jakie ze swych wspomnień opowiada Generał — sceny 4 sierpnia 1941 o godz. 16 w więzieniu na Łubiance:

...Otwierają się drzwi celi z zapytaniem:

*) Wypowiedzenie Min. Bevina na konferencji w Foreign Office z dowództwem Armii polskiej z 21. V. 1946: „Rząd J. K. M. nie może dopuścić, by Korpus (polski) stanowił narzędzie dyplomacji brytyjskiej. Rząd J. K. M. znalazłby się w trudnym położeniu, gdyby inne kraje sądziły, że Korpus polski używa się jako środka nacisku dyplomatycznego”. Widać z tego jak pilnie dbał Rząd brytyjski o to, aby z góry wyrzec się i wyzbyć wszelkich atutów w rozgrywce z Sowietami.

— Kto tu na literę A? Żwawo, żwawo, zbierajcie się na przesłuchanie. —

Już w korytarzu więziennym czuję, że zaszło coś niezwykłego. Zastępca komendanta więzienia i kilku starszych dozorców czeka na mnie. Prowadzą mnie po różnych schodach, jedziemy windą. Nikt nie wykręca mi rąk w tył i nie popycha, jak to zwykle bywało. Idę sam. Przyłącza się nawet komendant więzienia. Idę o kulach, podtrzymują mnie na schodach. Nadzwyczajna uprzejmość. Coraz piękniej urządzone korytarze... Wchodzę do wielkiego, eleganckiego gabinetu, pełnego dywanów i wyscielanych mebli. Spoza stołu wstaje dwóch panów w ubraniach cywilnych...

— Z kim mam do czynienia? — pytam...

— Ja jestem Beria — odpowiadają kolejno — a ja Mierkułow...

Opuściłem więzienie bez skarpetek, w koszuli i kalessonach z pieczęcią: „Więzienie wewnętrzne NKWD”, ale za to wyjechałem limuzyną samego szefa NKWD... Nie tylko jestem wolny, ale będę dowódcą Armii polskiej... Będę walczył o Polskę!..

Te ostatnie słowa przypomniły mi inne, w odległych dniach, ale w podobnych warunkach składane ślubowanie: „Pozwól jeszcze raz bić się za Ojczyznę”. Stanowi ono, jak sądzę, istotną treść nienapisanego, ostatniego rozdziału książki Generała Andersa.

Michał SOKOLNICKI,
Amb. R. P.

NAJTANIEJ ● NAJLEPIEJ ● NAJSPRAWNIEJ

obsługuje swoich klientów

((LIBELLA))

SKŁADNICA KSIĄŻKI POLSKIEJ

12, rue Saint-Louis en l'Île — Paris IV^e.

Katalogi bezpłatnie na żądanie

Jak powstało dzieło «Bitwa o Monte Cassino»

PATRZĄC Z ODDALENIA . . .

Wzmianka, że kilkunastu mnichów zajmuje się „benedyktynską pracą” odbudowania z gruzów opactwa na Monte Cassino, dyskusja, prowadzona przez kilku starszych oficerów na temat bitwy, zgarneły z mej pamięci warstwę późniejszych wrażeń i skierowały myśl do owych kilkunastu dni majowych, które zamknęły w sobie rozdział historii polskich zmagających zbrojnych. Ponownie wziąłem do ręki książkę Wańkowicza.

Trzy grube tomy. Płótno okładki przypomina worki z piaskiem, którymi okładano schrony i stanowiska karabinów maszynowych oraz moździerzy na pozycjach. Napis czerwieni się jak krew, której tak dużo wsiąknięto w te worki. Krew — substancja magiczna, używana do zaklęć, mająca tajemniczą siłę — daje pełniącemu się misterium bitwy świadectwo na każdej karcie tej wstrząsającej książki.

Recenzje dotychczasowe muszą być z konieczności niewystarczające. Bo z tą książką jest jak z górami: chcąc ujrzeć ich bezmiar, należy patrzeć z oddalenia. Nawet i teraz dzieli nas jeszcze i od bitwy i od napisania książki zbyt krótki okres, by wydać sąd pełny i wszechstronny o jednej i o drugiej. Bitwa dotychczas boli.

Wśród rozważań, wciąż żywych, wciąż trwających i kształtujących przyszłą opinię historii, stale przewijają się rozważania, czy Wańkowicz równomiernie naświetlił działania poszczególnych broni i czy miał dostateczne kwalifikacje dla oceny, zwłaszcza krytycznych. Ten emocjonalny stosunek jest zrozumiały w odniesieniu do książki, która oddaje nie tylko wypadki, ale i ich tło psychiczne.

W CZASIE BITWY. . .

Recenzje oceniały walory literackie, monumentalność dzieła, prawdę historyczną, ale nie wspomina o tym, jak książka powstała i ile trudu, nerwów i przykrości kosztowała jej autora.

Gdy dowiedziałem się, że Wańkowicz przyjeżdża do Italii, zastanawiałem się, czy korespondentami wojennymi nie powinni być raczej dziennikarze, czy literat nie sublimuje zbyttno tematu, który sam w sobie ma skoncentrowany patos i czy nie traktuje go egocentrycznie jako odskocznnię dla literatury. Bliżej nie znając Wańkowicza, przelotnie pomyślałem wówczas, czy aby znów się nie powtórzy historia spod Narwiku, to znaczy, że powstanie książka, z której wynikać będzie, że

tylko autor jest prawdziwym bohaterem, a wszyscy dokoła zostaną rzućni na łup efektownych puent, sensacji i demagogii.

Już wkrótce jednak przekonałem się, że byłem w błędzie. Pole właściwej bitwy było nie tylko niebezpieczne ze względu na nieustający obstrzał, lecz również niebywale trudne terenowo. Góry spiętrzały się wielkimi stromiznami, trudnymi do przebycia nawet dla młodych i wytrenowanych ludzi, a mimo to Wańkowicz, mający do dzwigania pięćdziesiąt kilka lat i dwakroć tyle kilogramów wagi, zdoła, i to nie raz, w momentach kulminacyjnych boju wejść na te góry i znaleźć się zupełnie blisko przednich linii. Dławił się tam kłębami zasłon dymnych, wrastał w zakłamy skał podczas kolejnych nawał moździerzowych i artyleryjskich, głuchł od nieustannych drgań powietrza, rozdzieranego przez wybuchy. Miałem okazję stwierdzić osobiste, że umiał wówczas zachowywać równowagę ducha i nie poddawał się zmęczeniu fizycznemu. Bitwę przeżywał w samej bitwie, a nie obok niej. Nie wziął przykładu z Pruszyńskiego i nie pozwolił sobie na literackie spekulacje w obliczu dramatu tak ludzkiego, że aż apersonalnego. Spoglądał w oczy tych, którzy ruszali do ataku, lub powracali zszokowani, poranieni i półżywi. Słuchał słów ludzi prosto z pola walki, przy hukach dział. Myślał o tych, którzy ginęli i zastanawiał się „jak schylić się po żywe ich wspomnienie, jak je przekazać”. Na to wszystko, co działo się wkoło niego patrzył świadomym, czujnym okiem. Chciał i potrafił wejść w głąb serc i dusz walczących ludzi. Zrozumiał ich i przeżył razem z nimi napięcie pierwszych chwil ataku, gorycz kryzysów, triumf zwycięskiego zakończenia boju.

... I PO BITWIE

Później, gdy Korpus ruszył nad Adriatyk, Wańkowicz wdał się w drugą, swoją własną długotrwałą bitwę o Cassino. Walczył o wyłowienie ziarna prawdy z powodzi opowiadań i sprawozdań oraz o szatę przyszłej książki. Z ówczesnych rozmów z nim pamiętam, że początkowo dzieło swoje widział jako jeden tom i wyobrażał sobie, że go napisze szybko. Jednak im głębiej wchodził w temat, tym bardziej jego trud się rozrastał. Nieuchwytnie szczegóły brzmiały dla jego ucha melodią pierwszych skrzypiec, musiał przeszeregować własnym wysiłkiem twórczym hierarchię zdarzeń. Narastało w nim dręczące wyczerpane poczucie odpowiedzialności wobec poległych, wobec ich rodzin, wobec tych co po nas. Nieraz uskarżał się przede mną na krzyżujące się trudności, prosił o pomoc, pasował się z tematem rozsadzającym wszelkie ramy konstrukcji.

Sprawa zebrania i sprawdzenia wiadomości była istotnie wówczas nadzwyczajną trudną. Korpus w działaniach nad Adriatykiem był rozciągnięty od południa do północy buta włoskiego. Wszystko w tym czasie było w ruchu, znalezienie poszczególnych ludzi, a nawet oddziałów stawało się zadaniem nie do

rozwiązania. Jeden Wańkowicz dawał sobie radę. Ten człowiek znów docierał do czołowych linii na północy, by uzupełnić fragment będący pod piórem, a następnego dnia potrafił gnać na południe do szpitali, w których przebywali uczestnicy. Walczył o stały przydział auta zajadłe: „Wszystkie łaziki Korpusu po to tylko jeździły, aby mój jeden mógł wreszcie pojechać” — zareplikował kiedyś w rozdrażnieniu.

W wędrowkach tych rozbijał się o brak wyobraźni. Nie bardzo, nie wszędzie rozumiano co powstaje. Wyobrażono sobie, że będzie to szereg oddzielnych opowiadań. Poza tym nowe walki zdążyły już przesłonić obraz bitwy.

Dopiero, kiedy autor, zakończywszy pierwszy tom, rozesłał go w maszynopisie do oddziałów i prosił o skontrolowanie, czy wiernie podał przebieg ich działania — uświadomiono sobie, że powstaje duże i poważne dzieło, dzieło o pasjonującej intrydze, jaką jest bitwa i jej przesilenia, dzieło, mające bohatera intrygi, jakim jest... człowiek. Dzieło literackie, powiązane niewidocznymi nitami przemyślanej konstrukcji, które równocześnie ma stać się dokumentem historycznym oraz pomnikiem czynu żołnierskiego.

PISARSKA „BITWA O MONTE CASSINO”

Teraz hamujący indyferentyzm zmienił się w groźący wykojeniem interwencjonizm. Ze wszystkich stron poczęły płynąć żądania, wnioski i uwagi. Sztab by chętnie widział książkę o charakterze studium taktycznego, dyplomowani dziwili się, że ze zwałów oleatów, melsytów i kronik poszczególnych kompanii Wańkowicz odcedza tak skoncentrowany ekstrakt. Każda z dywizji uważała, że autor zmniejsza jej zasługi, sąsiadów zaś gloryfikuje ponad miarę. Dawne wpółwzajemność między dywizjami lub też różnymi rodzajami broni, zwykle niegroźne i rycerskie, wynaturzyło się w okresie bitwy w dość przykre zgrzyty. „Żubry na Widmie pokazują plecy” — zjadliwie meldowali Karpaczycy. „Karpacka w panice wywiała z Wielkiej Miski” — rewanżowała się Kresowa. Echa tych zgrzytów odżywały teraz i skomplikowały pracę autora, zmuszając go do uciążliwych rozmów i nieuchronnych starć.

Kroniki oddziałów, przeredagowywane kilkakrotnie, petryfikowały stylizowaną prawdę. Każda z nich nie pasowała do kroniki sąsiada z lewa i sąsiada z prawa. Autor więc, na dobiłek, musiał dokonywać niewdzięcznego zadania, jakie ma badacz, doszukujący się pierwszej warstwy pisma palimpsestu.

Wielu dowódców chciało, aby książka utrwaliła tylko chlubną stronę boju, a przemilczała wszystko to, co było błędem i niedociągnięciem; za to ze strony szarej masy uczestników, obawiających się „wazeliny” dochodziło (i to na zebraniach poświę-

nych książce) aż do tak zabawnych żądań, jak to, żeby autor nie pisał o dowódcach powyżej stopnia kapitana.*)

Wańkowicz wysłuchiwał wszystkich rad i zdań, lecz trzymał się swej własnej drogi:

„O żołnierze!... Piszę o waszych upadkach, załamaniach i trwogach, panikach i ucieczkach, tropiąc błagę, nie chcąc poniżyć was pustą chwałą. Chcę — i nie umiem — wydobyć wasz chropowaty ludzki wysiłek.

„O żołnierze!... Dlaczego każde słowo jest mdłe, podłe i wyświechtane, dlaczego nie jestem zdolny jak tylko notować fakty, kiedy nie śmiem, nie jestem godzien podejść do śmierci bladego chłopca, ranego, czoiągającego się z powrotem ku bitwie, do Kuźniara z przebitym językiem, do Michalskiego wracającego po śmierci, do Miarkowskiego, tłumiącego własnym ciałem granat i powiedzieć im i za nich, że przez ich śmierć niewolnicy rozbitej Polski, wygnaneży, peniżenicy — niezłomni będą w godności ludzkiej, że ich śmierć, to nie zdobywanie takiego czy innego Passo Corno, zniszczenie iluś tam Niemców — to ponowny niezniszczalny wkład w historię narodu, to doniesienie amunicji bojowej na placówki oporu i... może... to długie lata, kiedy cieplej będzie śpiewać każda matka przy kolebce dziecięcej.”

Pierwszy i drugi tom mniej nastęczyły sposobności do sporów i pretensji, trzeci natomiast spowodował burzę.

Wańkowicz, opisując czterodniową bitwę o Piedimonte, która stanowi zakończenie całej operacji, nie ograniczył się do ustalenia faktów, lecz również wypowiedział własny sąd o jej przebiegu, o dcwodzeniu i uczestnikach. Krytyka jego, ostra w treści, ma formę przyzwoitą i rzeczową, nie ma w niej paszkwilu i porachunków osobistych.

Mimo to rozdziały o Piedimonte spowodowały opóźnienie wydawnictwa oraz przyczyniły autorowi sporo niezasażenie przykrych chwil. Tekst jednak ukazał się w tej formie, w jakiej autor zamierzał, otrzymując jedynie ośmiostronicową wstawkę polemiczną szefa sztabu Korpusu.

W każdym bądź razie, coraz więcej przysłowiowych kłód i kamieni gromadziło się na drodze wydawniczej książki. Było w tym trochę, jak przypuszczam, zawiści i niechęci zawodowej, ale najwięcej „świętej biurokracji”, głuchej na słowa logiki i trudnej do wykarczowania jak chwasty w polu.

POMNIK BITWY

Jednak benedyktyńska praca Wańkowicza i Stanisława Gli-

*) Obawy owe okazały się płonne. Jeden z krytyków (J. Mieroszewski) podkreśla „uderżającą demokratyczność książki”. I tu należy zanotować znamienne szczegóły:

Wracając do kraju dr Szarecki pokazał tom pierwszy Żymierskiemu, który dostał formalnych drgawek, poczał pociskać dzwonki, zwoływać referentów i oburzać się, że „walki od Lenino po Berlin” nie mają nic podobnego. Na surowe rozkazy wyszła książka wzorowana na „Monte Cassino” Wańkowicza, ociekająca od dytyrambów na cześć najwyższych dowódców i... oficerów propagandy. Gdy tymczasem w książce o „pańskim wojsku faszystowskiego Andersa” właściwym bohaterem jest szeregowiec, ulan i pancerniak.

wy, który, poza świetną pełną inwencją grafiką, dał wspaniałe eksperyment jej synchronizacji z tekstem, doprowadziły książkę do zwycięskiej mety. Oddano ją czytelnikowi w szacie zgodnej z powagą treści, a nierozłączność literackiego i plastycznego wątku jest kontynuacją kierunku zapoczątkowanego w „Smętku” i „Sztafecie”, jest, jak mówią fachowcy, czymś zupełnie awangardowym w literaturze europejskiej.

Ten, kto brał udział w bitwie, nie może czytać książki Wańkowicza bez wzruszenia. Jest ona przepojona atmosferą boju i odzwierciedla wiernie zarówno jego blaski jak cienie. Będzie kopalnią wiadomości dla historyków dnia jutrzejszego, dażąc im, prócz suchych faktów, olbrzymi barwny obraz podłoża psychologicznego bitwy, okoliczności politycznych i wojskowych, oraz dusz ludzkich.

Jako wojskowy, który brał w tej bitwie czynny udział, stwierdzam, że w obrazie namalowanym przez autora, nie mogłem dostrzec skrzywień lub wypaczeń prawdy, a sądom jego muszę przyznać bardzo wiele racji i zdrowego sensu. Nie trzeba zapominać, że przy olbrzymiej sumiennosci i ściślosci w podawaniu faktów, autor nie przestał być artystą; tworząc wielkie dzieło sztuki, budował pomnik chwały czynu żołnierskiego, a nie wojskowe sprawozdanie. Nie stał się obojętnym obiektywem aparatu foto-reportera i w książce swojej stale występuje jako żywy człowiek, zachowujący własny niezależny sąd o sprawach. Jest to niezaprzeczone prawo pisania. Uważam to za jedną z wielkich zalet książki.

O literackiej stronie dzieła pisali inni. Ale przypominam sobie, że nim te oceny nastąpiły i autor, wręczywszy mi maszynopis pierwszego tomu, zapytał w parę dni potem o zdanie, odpowiedziałem mu: „Wracam z Rawenny. Podziwiałem tam w katedrze mozaiki z VI. wieku. Kiedy olśniony przyglądałem się wspaniałym skojarzeniom form i barw, zupełnie nieświadomie myślą przenieśliem się do przeczytanej książki. Ujrzałem ją jako mozaikę, złożoną z czynów ludzkich, które pan zebrał, oszlifował, by zapłonęły pełnym blaskiem, jak kamienie drogocenne i dał im pan oprawę tak wspaniałą, na jaką zasługują. Sądzę, że wdzięczność rodzin, dla których pan ocalił pamięć o ich bliskich, będzie najlepszą i najtrwalszą oceną i nagrodą pańskiej pracy.”

Zygmunt BOHUSZ-SZYSZKO.

Epizod ukraińskiego romansu historycznego

WSTĘP

Trudno o inny tytuł dla przedstawienia tych usiłowań ukraińskich, które w zakresie uzyskania niepodległości państwowej, podjęte były w latach 1940-1945 na polskich i sowieckich ziemiach ukraińskich w oparciu o okupację niemiecką na Wschodzie.

W zakresie organizacji państwowej nadzieje ukraińskie okazały się mrzonką. W zakresie organizacji kościelnej były to tylko próby dalekie od pełnej realizacji, a przeprowadzane w społeczeństwie rozbitym ideowo-politycznie, podzielonym na różne odłamy, nie wykazującym solidarności w działaniu.

Dlatego też był to raczej epizod romansu historycznego, w którym marzenia i dążenia rozbijały się o smutną, a chwilami wręcz tragiczną rzeczywistość. Scisły przebieg wypadków nie był dotąd dostatecznie znany, a ujawnił on mimowoli rolę i znaczenie Polski w emancypacyjnym ruchu ukraińskim polityczno-kościelnym.

Ostatnie dwa lata przyniosły publikacje, zawierające materiał historyczny i dokumentację do prób odrodzenia ukraińskiej Cerkwi prawosławnej, jako ewentualnej zwiastunki odrodzenia niepodległego państwa ukraińskiego w oparciu o Trzecią Rzeszę i w wyniku oczekiwanego przez Ukraińców zwycięstwa nad Związkiem Sowieckim.

Z tych publikacji na uwagę zasługują dwie: bardzo poważna, a na prawach rękopisu wydana praca p. Senex'a (pod tym pseudonimem ukrywa się wybitny działacz ukraiński z Polski) pt. „Ukraińska Cerkiew Prawosławna w czasie drugiej wojny światowej”, wydana w Monachium (1946 r.) oraz tendencyjna i znacznie mniej poważna, ale zawierająca sporo nieznanych szczegółów, praca rosyjska p. S. Raniewskiego (może też pseudonim?) pt. „Ukraińska Cerkiew Autokefaliczna” (Yordanville, N. Y., 1948 r.).

1. NADZIEJE NA NIEPODLEGŁOŚĆ

Złudzenia Ukraińców, dotyczące powstania niepodległego państwa ukraińskiego w chwili wybuchu wojny niemiecko-sowieckiej, opierały się na szeregu faktów i domysłów, a przede wszystkim na fakcie popierania przez Niemców na długo przed wybuchem wojny nacjonalistów ukraińskich, przebywających w Berlinie i prowadzących akcję dywersyjną na terenie polskim. Powołane tu źródło ukraińskie przemilcza ten fakt, natomiast obszernie mówi o tychże złudzeniach ukraińskich w oparciu o konflikt niemiecko-polski i wybuch wojny. W wybuchu wojny

widzieli Ukraińcy wyjście z ciężkiej rzekomo sytuacji ich w Polsce, gdzie w roku 1938 padały w gruzu niektóre świątynie prawosławne na Chełmszczyźnie, a oddziały K.O.P.-u prowadziły na Wołyniu akcję nawracania na pograniczu prawosławnych na katolicyzm.

Ponadto — wespół z emigracyjnymi Rosjanami — liczyli Ukraińcy również i na wojnę niemiecko-sowiecką, która przyniesie rozbięcie Związku Sowieckiego i wyzwolenie Ukrainy wschodniej. Jedno i drugie prowadziłyby już prosto — zdaniem tych Ukraińców — do odbudowy wolnej i niezależnej Ukrainy.

Pan Senex stwierdza z pewnym zdziwieniem (zastrzegając się, iż nie wie, na czym opierał swoje działanie człowiek tak wybitny jak metropolita Szeptycki) fakt wydania przez metropolitę w dniu 1 lipca 1941 r. odezwy do ludności ukraińskiej z politycznym powstaniem we Lwowie rządu ukraińskiego. Powstanie rządu narodowego miało być słusznie zapowiedzią powstania niepodległego państwa. Odezwa metropolity Szeptyckiego stwierdzała: „Z woli Boga Wszechmogącego w Trójcy Świętej Jedynej zaczęła się nowa epoka w życiu państwowej, Niepodległej Ukrainy. Zgromadzenie narodowe, odbyte wczoraj (to znaczy 30 czerwca) we Lwowie stwierdziło i ogłosiło to historyczne wydarzenie”. Po słowach powitania armii niemieckiej, jako oswobodzicielki od wroga, metropolita Szeptycki pisał: „Ustanowionej władzy przyrzekamy należny posłuch; za kierownika rządu krajowego Zachodniej Ukrainy uznajemy pana Jarosława Stećko. Od rządu, powołanego przez niego do życia, oczekujemy mądrego i sprawiedliwego przeprowadzenia zarządzeń, jakie uwzględnić mają potrzeby i dobro wszystkich zamieszkujących nasz kraj obywateli bez różnicy wyznania, narodowości i warstwy społecznej”.

Niedługo jednak trwały uroczyste obchody i zebrania radosne, dające wyraz nadziejom i oczekiwaniom ukraińskim. Rząd p. Stećki został wywieziony. Małopolska Wschodnia przyłączona administracyjnie do Generalnego Gubernatorstwa, szkoły ukraińskie, ledwie otwarte, zostały pozamykane, a cała uwaga Niemców skierowana na wydobycie maksimum kontyngentów zbożowych oraz uzyskanie maksimum siły roboczej na miejscu i do Niemiec przede wszystkim.

W ogólnym, a naiwnym zapale, niewielu tylko Ukraińców pamiętało do niedawna — przed właściwym rozwojem wypadków na Wschodzie — jak melancholijnie zauważa p. Senex — co uczynił hitlerizm na Rusi Przykarpackiej, jak lekko oddał bolszewikom w r. 1939 „Zachodnią Ukrainę”, czym była w swej treści teoria rasizmu, jaką rolę przeznaczono „Übermensch'om” niemieckim w dziejach Europy i świata.

W tej rozterce duchowej i politycznej postanowili Ukraińcy zająć się organizacją narodowej Cerkwi ukraińskiej, która w ich słusznym pojęciu była zawsze przedsiönkiem niepodległego państwa, budzicielką życia narodowego i kulturalnego.

Ale i na tym polu niebawem spotkały Ukraińców zawody i... prześladowania.

2. POWSTANIE NARODOWEJ CERKWI WŚRÓD ROZŁAMU SPOŁECZNEGO

Dwie równoczesne okupacje Polski — niemiecka i sowiecka — rozbiły jednolity dotąd organizm polskiej Cerkwi prawosławnej. W Generalnym Gubernatorstwie pozostał metropolita warszawski Dionizy z biskupem Tymoteuszem i nieznaczną częścią wiernych. Po krótkim okresie przymusowego usunięcia się od władzy, niebawem nastąpił powrót metropolity Dionizego do rządów kościelnych, ograniczanych w swobodzie działania warunkami okupacji. Cerkiew w granicach Generalnej Gubernii otrzymuje dwóch nowych arcybiskupów: Iłariona (prof. Ohijenko) w Chełmie i Palladiusza (arch. Wydybida-Rudenko) w Krakowie. Obaj Ukraińcy, b. członkowie rządu ukraińskiego z r. 1919, ukrainizują, za zgodą metropolity Dionizego, Cerkiew na tych terenach. Lecz nie tutaj powstaje właściwa Cerkiew ukraińska, tutaj natomiast, jak zobaczymy, tkwi właściwe źródło kanoniczne niebawem mającej powstać „niezależnej” Cerkwi ukraińskiej.

Tymczasem pod okupacją sowiecką odbywa się proces uzależniania polskiej Cerkwi prawosławnej od centrum wyznaniowego Moskwy, a głównym aktorem tego procesu jest arcybiskup wołyński Aleksy. Poddaje się on Moskwie i w zależności kanonicznej od patriarchatu rosyjskiego tworzy tzw. autonomiczną Cerkiew ukraińską. I znowuż nie ta cerkiew ma być narodową Cerkwią ukraińską. Natomiast cerkiew ta stanie się niebawem powodem rozłamów w ukraińskim życiu kościelnym i przyczyną załamania się jednolitej organizacji kościelnej dla Ukraińców prawosławnych na ziemiach Polski i Związku Sowieckiego.

Metropolita Dionizy nie mógł uznać „autonomistów” arcybiskupa Aleksiego już choćby dlatego, że poddali się oni niekanonicznie zwierzchnictwu Moskwy, a poza tym obwołali jako kandydata na urząd metropolity kijowskiego wspomnianego arcybiskupa Iłariona z Chełma. Powstała paradoksalna sytuacja: arc. Aleksy utworzył autonomiczną Cerkiew w ścisłej zależności kanonicznej od Moskwy, rozciągnął jej działalność na ziemie polskie i sowieckie (Kijów), a nazwał ją... ukraińską. Błędy natury kanoniczno-ustrojowej pociągały za sobą już nie błąd, lecz zbrodnię polityczną.

W końcu r. 1941 metr. Dionizy, uwzględniając prośby Rad cerkiewnych na Wołyniu, zlecił arcybiskupowi Polikarpowi, dotąd wikariuszowi diecezji wołyńskiej, „tymczasową administrację prawosławnej autokefalicznej(?) Cerkwi na uwolnionych ziemiach Ukrainy”. Nie będziemy tu się wdawali w roztrząsania natury kanonicznej. Wiadomo, że władza metr. Dionizego ograniczała się do terenu państwa polskiego w granicach 1939 r., lecz nadzwyczajne okoliczności wojenne mogły wywołać tym-

czasowe poszerzenie tej władzy dla dobra duchowego ludności. Dość, że tak oto powstała nowa administracja kościelna, która pod nazwą Autokefalicznej Cerkwi Ukraińskiej rozpoczęła działać na terenie ziem, zamieszkałych przez Ukraińców w Polsce i w Związku Sowieckim.

Ten właśnie odłam kościelny miał zorganizować centrum wyznaniowe w Kijowie, nawiązać do przeszłości niezależnej metropolii kijowskiej, związać tę narodową Cerkiew ukraińską z mającą ewentualnie powstać niepodległą Ukrainą.

Jednak arc. Aleksy, który w r. 1942 podpisał akt połączenia obu cerkwi — autonomicznej i autokefalicznej — mających odłączyć się od wspólnego ciała pod wspólnym zarządem kościelnym, umowy nie dotrzymał. W konsekwencji utrwalił się rozłam kościelny, dzielący też Ukraińców politycznie, co było na rękę okupantom niemieckim i przyszłym sowieckim.

Odłączyły się resztki złudzeń ukraińskich już nie tylko co do możliwości powstania własnego państwa, lecz nawet i własnej, jednolitej, niezależnej Cerkwi narodowej.

Dalszy rozwój wypadków wykazał cały tragizm przepaści pomiędzy polityką i dążeniami Ukraińców, a beznadziejną rzeczywistością dnia.

3. POLITYKA. I RZECZYWISTOŚĆ

Polityka niemiecka na Wschodzie nie miała określonej koncepcji politycznej. Przed wojną Niemiec ze Związkiem Sowieckim operowała mglistymi pomysłami niezależnych państw narodowych na podbitych terenach na Wschodzie. Opór Polski musiał w znacznej mierze wpłynąć na zaniechanie tych koncepcji, bowiem trudno było już w czasie zwycięskiej wojny tworzyć „niepodległe” państwa na terenie Związku Sowieckiego, nie dając „niepodległości” Polsce. Zresztą brak jednolitej koncepcji niemieckiej, przy niespodziewanie łatwym zwycięstwie w początkowych dwóch latach wojny, zdecydował o sposobie najłatwiejszym organizowania terenu: Niemcy zdecydowali się na utworzenie swoich kolonii na Wschodzie, a polityka kolonialna prowadziła do najgorszego ucisku.

Nadzieje Franka na objęcie w administrację pokonanego Związku Sowieckiego zawiodły, a jedynym bodaj ich śladem były — jak twierdzi cytowane źródło rosyjskie — wydrukowane blankiety metropolity Dionizego z tytułem „Patriarchy moskiewskiego i Wszechrusi”. Rosenberg, jako wielkorządca „wyzwolonych ziem rosyjskich” zaczął realizować brutalnie swój „Mit XX wieku”.

Przy obraniu tego rodzaju polityki, rozdwojenie wśród Ukraińców było na rękę Niemcom. Chętnie uznali oni istnienie dwu ukraińskich cerkwi prawosławnych i najwyraźniej zaczęli faworyzować autonomistów, uzależniających się od Moskwy i niechętnych pełnej ukrainizacji życia kościelnego. Autokefaliści byli coraz bardziej ograniczani w swobodzie swojej działalności,

a niektórzy ich biskupi prześladowani i więzieni przez Niemców. Zawiedziony w swych nadziejach ukraiński ruch narodowy uchodził w podziemia, rozpoczynając walkę z Niemcami. Polityka niemiecka doprowadziła do wytworzenia partyzantki najbardziej niepodległościowych elementów tzw. „Zachodniej Ukrainy”.

Sami jednak Ukraińcy przyznają, że na „wyzwolonych” terenach Ukrainy Sowieckiej nie zastali sprzyjających warunków do organizacji niepodległego i kościelnego życia ukraińskiego. Prześladowania bolszewickie w stosunku do narodu ukraińskiego wyniszczyły zasoby narodowe ukraińskie, osłabiły dążenia niepodległościowe. Bezbożnictwo i prześladowanie religii na Ukrainie Sowieckiej pozostawiły ślady obojętności religijnej u ludności, zanik potrzeb moralno-religijnych, powstanie ateizmu.

Zetknięcie się Ukraińców polskich w bezpośrednim stosunku z Ukrainą Sowiecką i Ukraińcami znad Dniepru przekonało Ukraińców z Zachodu, jak bardzo się różnią od swych rodaków wschodnich dynamizmem narodowym, siłą religijnych wierzeń, dążeniem do prawdziwej niepodległości.

W wyniku następowało nie tylko rozczarowanie do Niemców, ale też i zawiedzenie nadziei w prężność narodową terenów, przeoranych 25-leciem rządów sowieckich.

Tym więcej sił poświęcił organizacji swej Cerkwi autokefalicznej; przyjmując do niej resztki pozostałej z r. 1921 ukraińskiej cerkwi, stworzonej przez metropolitę Lipkowskiego. Ściągnęli za to gromy na swoją cerkiew, bowiem cerkiew Lipkowskiego powstała na tle odszczepieńczych z ogólnorosyjskiej cerkwi prawosławnej przez wyświęcenie hierarchii kościelnej przez zwykłych duchownych, nie zaś biskupów, zgodnie z kanonami wschodniego prawa kościelnego. Ci „samoświaci”, jak ich przezwano, zostali użyci przez bolszewików w pierw do rozbicia i demoralizacji cerkwi w Rosji i ujawnienia ukraińskich nacjonalistów, a później nielitościwie wytepieni za ukraińską świadomość narodową.

Dzisiaj jest to już kwestia ściśle teoretyczna, bowiem hierarchia cerkwi „lipkowskiej” wymarła, względnie została wytepiąta przez władze sowieckie (jedynie ocalał z biskupów przebywający dzisiaj w Kanadzie „arcybiskup” Teodorowicz), natomiast bardzo już nieliczni niżsi duchowni weszli w skład autokefalicznej Cerkwi ukraińskiej. Naraziła się ona przez to na ciężkie zarzuty niekańoniczności.

Dla uzasadnienia w ogóle racji swego bytu i prawno-kanonicznych podstaw istnienia oraz odparcia zarzutów, musiała szukać argumentacji historyczno-kościelnej u źródeł właściwych... w polskim Kościele autokefalicznym i w polskiej przesiłności państwowej.

4. U ŹRÓDEŁ UKRAIŃSKIEJ NIEZALEŻNOŚCI KOŚCIELNEJ I NARODOWEJ

Pan Senex, szukając uzasadnienia prawno-kanonicznego i historycznego dla istnienia autokefalicznej Cerkwi ukraińskiej, musiał sięgać wciąż i bez przerwy do źródeł polskich. Do dawnej Rzeczypospolitej, do istnienia w niej niezależnej metropolii kijowskiej, do Kongregacji Pińskiej z r. 1791 i Sejmu Wielkiego, do Rzeczypospolitej odrodzonej (1918-1939) i ogłoszonej przez Sobór Biskupów a przez rząd potwierdzonej autokefalii Cerkwi Prawosławnej w Polsce na podstawie uzyskanego „Thomосу” patriarchy konstantynopolińskiego; do władzy kanonicznej metropolity Dionizego czasu tej wojny. Uzasadnia on tezę, że obecna Cerkiew autokefaliczna ukraińska jest dalszym ciągiem dawnej Cerkwi w Rzeczypospolitej, a przedtem jeszcze Rusi Kijowskiej, jako niezależnego księstwa.

Stwierdzamy to z tym większym zadowoleniem, że odpowiada to faktom historycznym, które w krótkości ująć można w sposób następujący: Polska dążyła zawsze na przestrzeni wieków, do utrzymania niezależności cerkiewnej w swoich granicach państwowych i odseparowania Cerkwi od wpływów i władzy wyznaniowego centrum moskiewskiego. W ramach niezależnej Cerkwi polskiej umożliwiała Polska rozwój właściwości narodowych jej wyznawców, co do dziś dnia pozostało w tradycji kościelnej i w ukraińskiej wymowie kościelnej, w soborowym ustroju Cerkwi, w udziale czynnika świeckiego obok duchownego w jej zarządzie.

Pan Senex musiał bezstronnie przyznać, iż w Polsce w latach 1918-1939 nastąpiła znaczna ukrajinizacja Cerkwi na ziemiach zamieszkałych przez Ukraińców i że Ukraińcy cieszyli się ze znacznych swobód w swoim życiu narodowo-kościelnym. Niepotrzebnie więc w pracy swojej p. Senex używa w najrozmaitszej postaci określeń w rodzaju „była Polska” itp., zwłaszcza, iż w decydującym wniosku dla uzasadnienia prawności charakteru swego nowopowstałego Kościoła zmuszony jest raz wreszcie powiedzieć o prawnej ciągłości istnienia Polski, która „czasowo utraciła niepodległość” w r. 1939!

A polska autokefalia i metropolita Dionizy potrzebni byli nowemu Kościołowi Ukraińskiemu w następujących, decydujących chwilach:

- 1) gdy arc. Polikarp otrzymał nominację na administratora Cerkwi,
- 2) gdy trzeba było stwierdzić niekanoniczność postępowania arcybiskupa Aleksego,
- 3) gdy sama Cerkiew ukraińska uznała władzę kanoniczną metr. Dionizego i powołała go na urząd strażnika tronu metropolity kijowskiego,
- 4) gdy podczas ucieczki ze Wschodu biskupi tej Cerkwi prosili w Warszawie metropolitę Dionizego o przyjęcie tytułu

„patriarchy całej Ukrainy” w dowód wdzięczności za opiekę i zasługi dla Cekrwi ukraińskiej, przebywającej dziś na emigracji.

ZAKOŃCZENIE

Gdy mówimy o źródłach ukraińskiej niezależności kościelnej i narodowo-państwowej wciąż słyszymy poszum historii polskiej, dawniejszej i całkiem bliskiej.

Niezależność metropolii prawosławnej w granicach Rzeczypospolitej Polskiej w przeszłości i do niedawna stała się czynnikiem utrzymania odrębności ziem ukraińskich wobec unifikacyjnych zakusów Kremla nawet w okresie, gdy Kijów odpadł od Polski.

Próby uzyskania niezależności państwowej Ukrainy znalazły w przeszłości swój wyraz polski w Ugodzie Hadziackiej. Próby organizacji niepodległej Ukrainy na przestrzeni ostatnich lat trzydziestu znalazły swój polski wyraz w wyprawie kijowskiej Piłsudskiego, poprzedzonej umową z atamanem Petlurą i uznaniem Ukraińskiej Republiki Ludowej. Od ostatniego wolno obranego hetmana Jana Mazepy, była to jedyna poważna próba, obok wysiłków Ukraińców z lat 1917-19 stworzenia niezależnej Ukrainy, nawiązująca do tradycji Ugody Hadziackiej i utworzenia nowego Związku Narodów.

W ten sposób ukraińskie dążenia niepodległościowe i kościelne zbiegają się u źródeł polskiej wolności — dawniej i dzisiaj.

Pamiętać o tym powinni Ukraińcy i Polacy w tych ciężkich politycznie czasach, które przeżywamy i jeszcze cięższych, które nadchodzą.

Wiesław ŻYLIŃSKI.

P O L S K A
PLACÓWKA KSIĘGARSKA W ARGENTYNIE
SKŁADNICA KSIĄŻKI POLSKIEJ
 w BUENOS AIRES, Av. Leandro N. Alem. 641

zapewnia emigrantowi stały dopływ dobrej polskiej lektury oraz najpoważniejszych polskich czasopism wychodzących na emigracji, m. in. *KULTURY*, *WIADOMOŚCI* i *ORLA BIAŁEGO*.

O książkach Adolfa Rudnickiego

Jest rzeczą ogólnie wiadomą, że większość pisarzy traktuje swoją twórczość, która czasami nazywana bywa sztuką — jako środek zdobywania i skupiania naokoło siebie czytelników. Ci, którym na tym nie zależy jakże są nieliczni, wyjątkowi, powie-działbym — paradoksalni. Bo przecież, każdy to rozumie — pisze się po to, by być czytany. Stwierdzenie to nie jest żadnym odkryciem, jest po prostu pewną prawdą psychologiczną, którą czasami warto sobie przypomnieć. Ale za tą prawdą psychologiczną idzie zaraz następna. Ież to osób pisze, a jak mało ludzie czytają. Więc o tych czytających trzeba walczyć, trzeba o nich zabiegać, o nich dbać, o ich upodobaniach pamiętać. Walka ludzi piszących o rzeszę bezimiennych i nielicznych czytelników przybierać może najróżniejsze formy, począwszy od szlachetnych, starannie zamaskowanych, wstydliwych, aż do bezcelnie cynicznych, nieliczących się z niczym i niczym nieusprawiedliwionych, poza jedynie zakochaniem się w sobie piszącego.

Środki tej walki są także najprzeróżniejsze. Jest rzadkie i szlachetne dążenie do budzenia w czytelniku zainteresowania dla rzeczy pięknych, jest namiętność posłannictwa, jest snobizm odkrywczoci i epatowania, jest mało wzniosłe granie na ogromnej skali uczuć i zamiłowań publiczności. Więc się mówi czytelnikom rzeczy smutne, wzruszające i tkliwe, lub odwrotnie przykuwa się ich uwagę dowcipami, paradoksami, kalamburami, stara się widzieć rzeczy, których oni nie widzą, jest się zabawnym; wesołym, w miarę rozkosznym. Na ogół pisarze często niezmiernie wdzięczą się i mizdrzą przed czytelnikiem jak stara kokota. Typowym pisarzem wdzięczącym się przed publicznością jest dla mnie na przykład — wśród pisarzy polskich, Antoni Słonimski. Kroniki tygodniowe były takiego mizdrzenia się nieustannym popisem. Słonimski musiał być zabawny, wesoły i oczywiście Słonimskiemu chodziło o to tylko, by Słonimskiego czytano. Słonimski w grze zdobywania czytelników i popularności umiał być nie tylko zabawny i rozkoszny, ale umiał także być stanowczy, groźny, bezkompromisowy. Tam, gdzie Słonimski był bezkompromisowy chodziło o rzeczy niezmiernie ważne, o walkę o idee, postęp, oświecenie, racjonalizm, liberalizm, demokrację, humanitaryzm. Tyle było słów. Słowa te i stanowczość Słonimskiego były — ośmielam się twierdzić — przebiegłym tylko parawanem, mającym ukryć przed oczami wtajemniczonych starą jak świat grę mizdrzenia się przed publicznością. Wyszło to na jaw w sposób niebudzący wątpliwości teraz, w czasie i po wojnie. Ale dosyć o Słonimskim.

Czy mizdrzenie się przed publicznością może być jakąś miarą pisarza? Na pewno, nie. Można pisać genialnie — wdzięcząc się i można pisać smutne bzdury — obnosząc swe niezrozumie-

nie i pogardę dla popularności i poklasku. Wdzięczenie się jest tylko miarą charakteru pisarza. Natomiast zupełny brak wdzięczenia się jest na pewno zjawiskiem ciekawym i godnym uwagi.

Przeczytałem teraz dwie książki Adolfa Rudnickiego pod tytułami: „Lato” i „Szekspir.”*) „Lato” to książka pisana przed wojną, „Szekspir” w czasie i po wojnie. Obie one wykute są z tego samego kruszcu, obie mają ten sam, charakterystyczny dla Rudnickiego ton (Marcel Jouhandeau w swojej książce pt. „Essai sur moi-même”, pisze — *Ecrire c'est placer sa voix. Le ton a plus d'importance que le vocabulaire. Le ton est la part inalienable, inimitable de chacun.*) i obie pisane są w zdumiewającej, godnej podziwu negacji praw rządzących upodobaniami czytelników. Rudnicki książki swe pisze, jakby wbrew czytelnikom. Nie jest to cecha, która decyduje — jak powiedzieliśmy powyżej — o wartości utworu, ale jest to fakt, który stawia i Rudnickiego i jego książki na innej płaszczyźnie, każe myśleć o nich w innych kategoriach znacznie donioślejszych, o poważniejszym i szerszym stopniu obowiązywania i wymagań. By powiedzieć to samo płasko i popularnie — po przeczytaniu książek Rudnickiego staje się wiadome, że c o ś w Rudnickim siedzi.

Najpierw kilka słów o „Lecie”. Książka ta to życie małego miasteczka nad rzeką, jak się domyślamy Kazimierza nad Wisłą, latem, w okresie, gdy zapełnia się ono tłumem napływających letników. Letnicy i autochtoni, dwa odrębne światy, dwa inne sposoby widzenia rzeczywistości, które krzyżują się przypadkowo, na krótko, powierzchownie. Rudnicki w żadnym z tych dwu światów nie jest zanurzony, stoi na uboczu, przygląda się im uważnie, notuje ich odmienności, odkrywa prawa nimi rządzące, szuka spięć, widzi ich przypadkowość. Ale błędne byłoby przypuszczenie, że w tej małej, zwężonej, świetnie pisanej książce Rudnicki zasklepia się tylko w obserwacji ocierania się o siebie dwu odrębnych rzeczywistości. Miasto zalane słońcem i zalane letnikami, którzy jak tabun koni pędzą nad rzekę, wygrzewają swe ciała na plaży, a wieczorami w zaduchu, upałe i hałasie witańcowują na dancingu u Berensa, jest dla niego tylko odskocznią do wyciągania wniosków, ustalania spostrzeżeń sięgających znacznie głębiej, snucia refleksyj o niezmienności i smutku, wiecznie takich samych, paradoksalnie uporczywych ram i nakazów naszego istnienia. W tym odskakiwaniu od jakiegoś wydobytego na wierzch szczegółu otaczającej rzeczywistości do spostrzeżeń ogólnych, w tej umiejętności kojarzenia obserwacji i ich — że się tak wyrażę — intelektualizowania, w tym marszu myśli od rozszczępionego jakiegoś elementu życia do ustaleń jego znaczenia w zestawieniu

z innymi elementami — jest cały Rudnicki. Intelektualny marsz Rudnickiego jest frapujący, często najbardziej nieoczekiwany, zawsze ciekawy. To jest jedna z zasadniczych cech książki Rudnickiego.

A druga i mam wrażenie ważniejsza, to szukanie przez niego nie tylko czysto myślowych skojarzeń, ale jednoczesne widzenie uczuciowego napięcia tych skojarzeń, ich uczuciowego oblicza. W tym Rudnicki jest konsekwentny, nad podziw wrażliwy i czuły. Czytając „Lato” ma się wrażenie, że rzeczywistość niezawierająca ładunku uczuciowego nie istnieje. Dla Rudnickiego bowiem złoza uczuciowe kryją się zarówno w migoczącej w świetle księżycowym rzece, jak i w losach Jana Karnego i Matywieckiej, lub opowiadaniu Weroniki. Rudnicki tych spięć uczuciowych szuka, jest na nie wrażliwy, ma się wrażenie, że stanowi to jego żywioł i pasję. Dla niego świat to cieniki pokost zneutralizowanej i zobiektywizowanej powłoki, pod którą płynie rzeka potężna i groźna uczuciowych powikłań i nieporozumień. Tę cienką i neutralną powłokę Rudnicki przebija co chwila, chciałby ją odsunąć, odnosi się wrażenie, że jej nienawidzi i jej nie chce. Interesuje go rzeka, do niej dąży, ją wydobywa na wierzch. Ale rzeka ta nie jest tylko potężna i groźna, jest często absurdalna. Absurdalność powikłań ludzkich, ich niezrozumiały i zastanawiający deseń, ich paradoksalny sens, nadbrzmiały od uczuciowego ładunku jest dla Rudnickiego przedmiotem wewnętrznego przeżycia. Absurdalność poczynań ludzkich, Rudnickiego uderza przede wszystkim, wywołuje w nim bolesny niepokój, pewnie pcha do buntu. Ale bunt byłby rzeczą równie absurdalną i bezsensowną. Dlatego w Rudnickim nie ma buntu — a jest oddalenie. W „Lecie” Rudnicki patrzy na życie miasteczka i letników z oddalenia, widzi wiecznie ten sam i absurdalny charakter ich kroków, dostrzega ich nieporozumienia i uwikłaną w cierpieniu bezradność w stosunku do potężniejszych od nich sił i te ich nieporozumienia i cierpienia zamyka w zimnej, spokojnej formie, często we wszystko rozumiejącej, pełnej drwiny poincie. Obiektywna forma i ironiczna pointa są tym, czym rzeczy tak bliskie Rudnickiemu od niego oddalają, stwarzają dystans i pozór spokoju.

Gdybym koniecznie chciał postawić jakiś zarzut książce Rudnickiego — bo podobno nie można napisać recenzji, by nie powiedzieć chociaż kilku uwag krytycznych — to wysunąłbym tezę, że w książce tej istnieje pewne zachwianie proporcji między opisem rzeczywistości a intelektualną budową myśli i skojarzeń, którą ta rzeczywistość nasuwa. Opisywana rzeczywistość w „Lecie” cieknie dosyć wąskim strumykiem, jest nam komunikowana w największym skrócie, skąpo, niechętnie tak, jakby była zupełnie nieważna w porównaniu ze światem myśli, który nasuwa. W konsekwencji daje to wrażenie pewnego zawieszenia w próżni owego świata myśli i pewnej jego sztuczności. Czytając „Lato” wydaje się czasami, że Rudnickiemu się śpieszy do zrobienia owego skoku myśli, że nie ma czasu na opis wszyst-

*) Adolf Rudnicki: *Lato*. Wydanie drugie. Spółdzielnia Wydawnicza „Książka”. 1946.

„ *Szekspir*. Spółdzielnia Wydawnicza „Książka”. 1948.

kiego tego, co jakieś spięcie uczuciowe poprzedza, że nawet wszystko to, co spięcie to poprzedza jest dla niego nieważne. W rezultacie książka Rudnickiego jest skondensowana i zwarta jak nabój. Powiedziałbym zanadto zwarta.

W skondensowaniu „Lata” tkwi niechęć i pogarda Rudnickiego dla upodobań czytelnika. Przeciętny czytelnik natknie się w niej na skrót i skojarzenia, które może będą mu niedostępne, co chwila natrafiać będzie na ostre skondensowanie treści, na mocny chwyt myśli, który wymagać od niego będzie wysiłku mózgowego i uczuciowego. Atmosfera „Lata” jest gwałtowna, niecierpliwa, nie pozwala na spokojne zaczerpnięcie oddechu. I atmosfera taka nie jest, na pewno mizdrzeniem się przed czytelnikiem, jest tego mizdrzenia zaprzeczeniem. Jest dowodem tego jak świat Rudnickiego, świat jego odczuć i wrażeń pochłania go, absorbuje, ciągnie, każe zapominać o wygodach i sybarytyzmie czytających.

Jak wygląda „Szekspir” w zestawieniu z niniejszymi uwagami i w porównaniu z „Latem”?

„Szekspir” jest bezsprzecznie rozszerzonym, pogłębionym i udoskonalonym dalszym ciągiem „Lata”. Ale obok tych momentów stanowiących znacznie pełniejsze przedłużenie „Lata” istnieje w „Szekspirze” cały obszar nowy, obszar, gdzie zaznaczyły się przemiany i przeobrażenia, gdzie nastąpiła ewolucja. Najpierw odpowiedź na pierwsze pytanie — czym „Szekspir” jest do „Lata” podobny?

Jest podobny do niego tymi samymi elementami, które stanowiły istotę „Lata”, a więc i tutaj świadkami jesteśmy ciekawych i odkrywczych skoków myślowych i tutaj książka narodziła się do gwałtownych spięć uczuciowych i tutaj Rudnicki tymi spięciami żyje, innej rzeczywistości jakby nie dostrzega i jej nie notuje i tutaj nie odstępował go na chwilę świadomość panoszenia się absurdalności, która do tragicznych powikłań prowadzi. Rozszerzenie i udoskonalenie tych elementów w porównaniu z „Latem” polega na tym, że w „Szekspirze” rzeczywistość nie jest już skąpym strumykiem, do którego autor odnosił się jakby z niechęcią, lecz dana nam jest hojnie, szczerze, pełnymi garściami. Mowy o zachowaniu jakimkolwiek proporcji już tutaj nie ma. Na fakt ten złożyło się na pewno okrzepnięcie talentu pisarskiego Rudnickiego, ale także i pewien zbieg okoliczności, którym była wojna. „Szekspir” — to zbiór opowiadań, z których jedno tylko, pierwsze, pt. „Koń” rozgrywa się w czasach przedwojennych, wszystkie inne zaś poświęcone są tragicznym losom ludzi w czasie wojny. Czyż istnieją jakieś możliwości porównania ogromnej i przytłaczającej rzeczywistości spleźnionej wybuchem wojny, a życiem miasteczka w gorącym słońcu z tłoczącymi się letnikami, szukającymi w nowych warunkach ucieczki od ich dotychczasowego życia? Tam w „Lecie” trzeba było szukać podskórnych powikłań, tam potrzebna była wola ich widzenia, umiejętność ich odkrywania, pasją niespokojnego i niecierpliwego poszukiwacza. Tutaj zaś

tragiczne losy ludzi narzucały się same, nie można było przejść bez ich dostrzeżenia, tutaj potrzebny był wysiłek woli, by oczy zamykać. Rzeczywistość wojenna wbrew woli i pragnieniom ludzi im się narzucała. Dla Rudnickiego zaś stworzyła odpowiedni element.

Nie chcę przez to bynajmniej powiedzieć, by Rudnicki w wojnie znalazł w końcu to, czego szukał i by w wojnie się wyżywał. Odwrotnie, wojna w Rudnickim skumulowała wrażliwość odczuwania, jeszcze jaskrawiej i boleśniej podkreśliła mu absurdalność losów ludzi, zaostrzyła cierpienie. Wojna Rudnickiego wyrwała z oddalenia, popchnęła do protestu. Tym protestem „Szekspir” jest wypełniony. Drwina i ironiczna pointa zastąpione zostały gniewem buntu. Na każdej niemal stronie tej książki jest protest przeciwko niezrozumiałym krzywdom, jest dążenie do dostosowania siebie do krzywd tych, do zespolenia się z nimi, do schylenia głowy przed bohaterstwem i cierpieniem. Jest też w konsekwencji próba obrachunku ze samym sobą w obliczu tego, co wojna przyniosła, jest krytyczna ocena swej dotychczasowej działalności pisarskiej i wysunięcie postulatów i żądań w stosunku do sztuki w przyszłości.

Scalenie się Rudnickiego z rzeczywistością wojenną jest całkowite i głębokie. I dlatego powiedziałem, że rzeczywistość ta stała się dla Rudnickiego nierozzerwalnym elementem. Na tym scaleniu się z rzeczywistością z pewnym odsunięciem się od świata myśli polega pierwsza charakterystyczna cecha ewolucyjna, która w twórczości Rudnickiego się zaznaczyła.

Druga jest znacznie głębsza i posiada inny gatunek. Rudnicki przed wojną patrzył na zagadnienia z punktu widzenia ogólnoludzkiego, jego myśl szukała podobieństw sytuacyjnych w ludziach, praw wspólnych im wszystkim. W czasie wojny zainteresowanie Rudnickiego zwięzło się do świata Żydów. Czym to zasklepienie tłumaczyć, co to zwięzienie pola obserwacji spowodowało?

W „Lecie” zainteresowanie światem Żydów u Rudnickiego już się manifestowało. Mamy poruszone w nim zagadnienie antysemityzmu i stosunku pisarzy żydowskich piszących żargonem do pisarzy piszących po polsku i mamy opowiadanie poświęcone opisowi uroczystości religijnych związanych z Sądym Dniem, które właściwie z całością książki posiada związek dosyć dowolny. W „Szekspirze” to manifestowane uprzednio zainteresowanie objęło całość książki, wszystkie opowiadania związane są z losami Żydów, z których nawiasem mówiąc najwyższemu stawiam osobście opowiadanie pt. „Ginący Daniel” — jedno tylko pt. „Major Hubert z Armii Andersa” światu Żydów nie jest poświęcone. Krok więc jest wyraźny, nie budzi żadnych wątpliwości. I krok ten Rudnicki postawił jakby wbrew swoim uprzednim zapatrywaniom. Postawa Rudnickiego przed wojną była postawą człowieka, który nie tylko nie dostrzegał istnienia jakichkolwiek związków krwi, lecz który ustalenie związków tych uważał za bzdurę i barbarzyństwo. Ludzie w brunatnych koszu-

lach, którzy kryterium krwi wprowadzili i którzy w zależności od składu krwi tej ustalali odpowiedzialności byli niebezpiecznymi i niepoczytalnymi maniakami. Tymczasem w czasie wojny nieśmiałe zainteresowanie Rudnickiego rozrosło się ogromnie, wypłynęło na wierzch, stało się dominujące. Związki krwi obudziły się w nim, doszły do głosu, zajęły pierwsze miejsce. Rudnicki poczuł konieczność zespolenia się ze światem żydowskim i poczuł ciężar tej solidarności. Droga tej ewolucji była drogą najbardziej szlachetnej wrażliwości, prowadzącej często do samozatrącenia i była zapewne drogą ludzi słabych. I myślę, że ewolucja ta, przez którą przeszedł Rudnicki i na pewno wielu innych była nieoczekiwanym i najzupełniej paradoksalnym zwycięstwem doktryn hitlerowskich, które dokonało się wbrew woli zainteresowanych i w dziedzinie — wydawało się — najmniej podatnej do zmiany, najmniej na porażkę wystawionej. Ewolucja ta — to był nieprzewidziany rykoszet. Ale myślę też, że skutki tego rykoszetu nie zatrą się szybko i w krótkim czasie nie zostaną wymazane.

U Rudnickiego w świecie jego przeżyć artystycznych kierunkiem tej ewolucji rządziły jeszcze dodatkowe i jemu właściwe tylko prawa. Omawiając „Lato” powiedzieliśmy, że wrażliwość Rudnickiego koncentruje się przede wszystkim na pewnym aspekcie cierpienia ludzkiego — na jego absurdalnych, zaprzeczających zdrowemu rozsądkowi przyczynach. Absurdalność cierpienia Rudnickiego uderza, pochłania, wciąga. I czyż cierpienia Żydów w czasie tej wojny, cierpienia ghetta, obozów koncentracyjnych żydowskich, Żydów ukrywających się poza ghettem, zmieniających nazwiska, niewychodzących całymi dniami na ulice, starających się zamaskować swój wygląd zewnętrzny, upodobnić w najmniejszych szczegółach do otoczenia — nie były owym skumulowaniem absurdalności. Kształt nosa i ciemny zarost decydować mogły o życiu lub śmierci. Wydaje mi się też, że dla przyczyn tych także „Szekspir” losem Żydów w czasie wojny tej jest poświęcony.

Polacy w „Szekspirze” występują tylko jako tło, lub rozbiawieni widzowie krwawych scen masakry Żydów w ghetcie. Centrum są Żydzi i ich sprawy. Nikt oczywiście nie może mieć pretensji do Rudnickiego za to, że ze spraw Żydów stworzył centrum swej książki, że ich cierpieniom, bohaterstwu i problemom opowiadał swe poświęcił. Do tego popchnęło go i pochodzenie i wojenna rzeczywistość i gatunek jego talentu pisarskiego. Ale co w „Szekspirze” wydaje się nam krzywdzące, co bezsprzecznie wywołuje w nas protest — to rola, jaką Polakom Rudnicki w książce tej wyznacza. Jest na pewno wiele form i sposobów deformowania rzeczywistości, jest na pewno wiele odmian kłamstwa. Na pewno też do kategorii bardziej perfidnej i subtelnej odmiany kłamstwa należy — przemilczanie. Ludzie przyglądający się masakrom Żydów w ghetcie jak jakiemuś interesującemu widowisku byli bez żadnej wątpliwości. Ale obok ludzi tych, byli i inni, którzy z narażeniem własnego życia, a czę-

sto życia całej rodziny przechowywali u siebie ukrywających się Żydów. Fakt, że Rudnicki w książce swej wspomina tylko o Polakach, którzy przyglądali się zabijanym Żydom i którzy w okresie Wielkiej Nocy, okresie największego znęcania się nad Żydami wychodzili obojętnie tłumami z kościołów stwarza w „Szekspirze” w tej dziedzinie irytujący dysonans i nieprawdziwe wykrzywienie.

Na wstępie wspominałem, że twórczość Rudnickiego jest zapreczeniem jakiegokolwiek mizdrzenia się przed czytelnikiem. W „Lecie” cecha ta uwydatniła się w skondensowaniu książki, w jej sprężonej atmosferze. W „Szekspirze” sprężenie atmosfery jest jeszcze większe, spiecia uczuciowe jeszcze częstsze, silniejsze i bardziej przekonujące. W „Szekspirze” czytelnik nie ma na prawdę chwili wytchnienia. Ale w „Szekspirze” wspomniana wyżej cecha uwypukla się jeszcze w czymś innym.

Historia rodu człowieczego, zdarzenia, które na historię tę się składają się zawsze i bezzmiennie doczekują się tego — co nazwać by można — wersją ogólną czy oficjalną. Taki jest nieuchronny porządek rzeczy. Wszystko, co kiedyś miało miejsce z czasem krzepnie w wersji oficjalnej. Czasami wersje te ustalają się z trudem i w walce, czasami są przedmiotem sporów, czasami krystalizują się powoli, czasami nieprawdziwie. Raz jednak ustalone, mają to do siebie, że trzymają się uporczywie. Ludzie na ogół nie lubią, by byli zmieniane, by coś wbrew im się działo. W tym tkwi siła oficjalnej wersji.

W związku z tym przywiązaniem ludzi do raz ustalonej wersji przypominam mi się taka historia. W drugiej połowie dziewiętnastego wieku, w okresie burzy wywołanej teoriami ewolucjonistycznymi Darwina i w okresie pierwszych odkryć kości zwierząt prehistorycznych rzeźbiarz angielski Waterhouse Hawkins rozentuzjasmowany tymi nowymi możliwościami ujrzenia dalekiej i jak dotychczas spowitej w niewiedzy przeszłości naszej ziemi postanowił na zasadzie posiadanych danych odtworzyć przeszłość tę rzeźbiąc sylwetki zwierząt prehistorycznych. W ten sposób powstało w Crystal Palace w Londynie pierwsze muzeum zwierząt prehistorycznych. Rzeźby Waterhouse Hawkinsa odznaczały się tym, że tylko w części odpowiadały odkryciom naukowym, reszta zaś była po prostu produktem fantazji rozentuzjasmowanego rzeźbiarza. Richard Owen i inni wykazali to na całym szeregu przykładów, z których podobno najbardziej drastycznym była sylwetka ogromnego zwierzęcia, zwanego iguanodonem i u którego Hawkins w zapale umieścił pięć pazurów u nóg zamiast trzech. W jakiś czas potem Hawkins swe ogromne rzeźby przewiózł do Ameryki, gdyż i tam pragnął pokazać ludziom jak wyglądała daleka przeszłość naszej ziemi. Zainstalowane z ogromnym nakładem trudów i kosztów w jednym z parków w New Yorku rzeźby Hawkinsa zostały w kilka dni potem zniszczone z nakazu władz miejscowych nie za to, że były niezgodne z odkryciami naukowymi, ale za to, że odtwarzanie zwierząt prehistorycznych przeczyło w owym czasie ustalonej

wersji o powstaniu świata. Taka jest siła wersji oficjalnej.

Ale wróćmy do Rudnickiego. Ogólnie przyjęta obecnie wersja o ostatniej wojnie domaga się, by o morzu cierpienia wywołanego zalaniem Europy hitleryzmem już nie mówić. Nikt istnieniu tego cierpienia nie przeczy, ale ludzie nie chcą już o nim słyszeć. Może dlatego, że tyle już o nim się mówiło, może dlatego, że tylu ludzi przez cierpienia te przeszło, może przyczyny tej chęci przemilczenia są głębsze i po prostu ludzie nie chcą, by im przypominać o tym, jak cienką warstwą tak zwanej kultury są pokryci i jak mało od zwierząt, rządzonych prymitywnymi instynktami odeszli. Słuszności wersji tej nie bronię — odwrotnie, jestem zdania, że należy ją zwalczać z tysiąca powodów i politycznych także — nie wiem również jak długi będzie jej żywot, stwierdzam tylko jej istnienie. Otóż książka Rudnickiego na przekór wersji tej jest pisana. W cierpieniach wywołanych wojną tkwi, poza nie nie wychodzi. I to także na pewno nie jest mizdrzeniem się przed czytelnikami.

„Szekspir” poza wyżej wspomnianymi i tylko w największym skrócie naszkicowanymi cechami posiada jeszcze wyraźny aspekt polityczny, uwydatniony najprzejrzyściej w opowiadaniu pt. „Major Hubert z Armii Andersa”. Dyskusji ze stroną polityczną książki Rudnickiego nie podejmuję, uważam, że dyskusja taka byłaby bez przyszłości. Chciałbym tylko powiedzieć co skłania mnie przede wszystkim do tego, by dyskusji takiej nie podjąć. Skłania mnie do tego obietnica, czy zapewnienie Rudnickiego, złożone na ostatniej stronie tej książki, że „Szekspir” i zawarte w nim opowiadania są tylko częścią całego cyklu, który nosi ma tytuł „Epoka Pieców”. Wierzę i chcę wierzyć, że Rudnicki w dalszych częściach tego cyklu wyjdzie poza opis Polski pod okupacją niemiecką. I chcielibyśmy, by Rudnicki te inne opowiadania napisał. Tego od niego czekamy.

Józef URSYN.

Varia

Przewodnik dla piszących Polaków

jak podbić rynek amerykański? — jak zarabiać dolary piórem? — nieocenione rady dla debiutujących — cenne sugestie dla pisarzy już drukowanych po polsku — nieśmiata wskazówki dla mistrzów...

New York, w maju.

OGÓLNE TŁO:

„Stań się pisarzem i zrób milion. Wory pieniędzy dla początkujących!” Tak brzmi tytuł całostronicowego ogłoszenia w jednym z wielu tutejszych czasopism, poświęconych technice pisania i sprzedaży produktów tej techniki na rynku amerykańskim.

„Naucz się pisać” zachęcają broszury, albo książki ekspertów, wyspecjalizowanych w podpowiadaniu kandydatom na poczytnych autorów skutecznego zaspokojenia tej ambicji, „a będziesz mógł doskonale zarabiać”.

W kraju, w którym wyższe szkoły posiadają osobne kursy „twórczego pisarstwa” oraz seminaria, gdzie studenci uczą się sztuki produkowania nowel albo artykułów, pisania dla radia albo pisania powieści (!), kariera literacka jest taką samą specjalnością, jak zawód szewca, lekarza, architekta lub bankowca.

Somerset Maugham dawno jednak zauważył, że zawód artysty byłby tylko wówczas do przyjęcia, gdyby go można było zacząć od stania się od razu sławnym.

A nie mniej przeto tysiące ludzi w tym kraju, chociaż nie mogą sobie rościć żadnej pretensji do literackiej sławy, zarabia doskonale i żyje niezgorzej z pióra. Nauczyli się specjalnej techniki uprawiania tej sztuki w taki sposób, aby móc jej pisane produkty regularnie i stale zamieniać na tłusty szelest pokazanych czeków. Przeciętą zarobków pisarza w Stanach wynosi 2.300 dol. rocznie.

Im dłużej przygląda się człowiek rynkowi amerykańskiej prasy, magazynów i książek, który corocznie płaci piszącym kilkanaście milionów dolarów w honorariach, tym większa go zbiera pokusa, aby w tym niebywałym konkursie możliwości wziąć udział. Z uwagi jednak na istniejącą szansę dorobienia się piórem majątku istnieje w Stanach, kraju prywatnej inicjatywy, nacisk tak olbrzymiej konkurencji (liczą tutaj około 250.000 potencjalnych pisarzy (powieść, dramat), a pół miliona producentów nowel, tzw. short stories), że na to, aby przeszkody, tworzone przez nią, skutecznie przebrnąć, trzeba nie tylko talentu, ale i techniki, nie tylko uporę, ale także wysokiej specjalizacji i znowstwa zapotrzebowań, istniejących w tym świecie, nie tylko własnej pomysłowości, ale także pomocy innych. Na terenach, gdzie może się trafić nafta wszyscy próbują wiercić. A nuż komu tryśnie? Tryska ostatecznie tylko bardzo upartym, albo bardzo szczęśliwym. Ale na to, aby się znaleźć między nimi, trzeba być także ekspertem w sztuce wiercenia.

Szkic niniejszy piszę w przekonaniu, że niejednemu z pisarzy polskich śni się na pewno sukces amerykański, niczym dolarowa korona dla ich kariery, mało który jednak wie, jak się do osiągnięcia jej zabrać, jaką techniką, jakim tematem, jakim sposobem wreszcie dotrzeć do tutejszych rozdawców patentu na sukces.

Zajmują się od pewnego czasu pośrednictwem między autorami, niekoniecznie zresztą polskimi tylko, a tutejszym rynkiem wydawniczym. Coś jak gdyby agent literacki. Z doświadczeń i nauk, wyniesionych z krótkiej, ale intensywnej działalności na tym polu chcę dziś podzielić się z czytelnikami garścią spostrzeżeń, uwag i wskazówek, które być może niejednemu z nich, piszących dziś, a nie widzących szansy wydania czegokolwiek po polsku, ułatwi orientację w tutejszych możliwościach, w grze popytu i podaży, oraz regułach obowiązujących na rynku obstukanym przeze mnie z różnych już stron.

Dostają bowiem coraz to grube i kosztowne, nie tylko jako produkcja, tłumaczenie, przepisywanie, oprawa, ale nawet jako portoria, paczki z manuskryptami i z wyraźną w osobnym liście nadzieją, że „znając moją ruchliwość, uczynność” — Zygmunt Nowakowski powiedziałby **obrotność**, ale to w związku z czym innym — „i nieże już otrząskanie z amerykańskim terenem, na pewno znajdę wydawcę dla takiej to powieści, lub wspomnień”.

Zacznijmy od kilku cyfr, które powinny podzielać na próbujących tej sztuki pisarzy, jak kubeł zimnej wody, wylany na rozpalone gorącymi twórczymi i marzeniem o amerykańskich sukcesach głowy. (Andrzej Bobkowski w liście, który otrzymałem niedawno, powiada, że jestem pod wpływem ks. Kneippa: „Moje leczenie zimną wodą”. Więc właśnie.) Otóż do każdego z dwudziestu największych domów wydawniczych w Stanach przychodzi rocznie około dwóch tysięcy niezamówionych rękopisów z propozycjami wydania. Dwadzieścia razy dwa ty-

siące składa się na pokazną cyfrę czterdziestu tysięcy proponowanych książek. W jednym z owych wydawnictw statystyka za ostatnich osiem lat wykazuje, że na szesnaście tysięcy nadesłanych, a niezamówionych rękopisów przyjęto do wydania — trzy. Ale w tej liczbie trzech znalazł się np. manuskrypt pewnej młodej panny, mieszkającej pod numerem 1268, Piedmont Avenue, N.E. Atlanta, Georgia, która do wydawnictwa Harper's przysłała w swoim czasie olbrzymią pakę zapisanych na maszynie kartek powieści, o którą nikt nie prosił i której nikt nie zamawiał. Margaret Mitchell oblicza dzisiaj, że sprzedano w samych Stanach 3 miliony 800.000 egzemplarzy jej książki, zagranicą zaś około 2.700.000. Nazywa się ona „Przemiętło z wiatrem”.

Można by tezę o małych potrzebach kulturalnych Ameryki, rozpowszechnioną w Europie, poderwać, a nawet zbić do pewnego stopnia przytoczeniem cyfr np. o wymiarze czytelniczności zapotrzebowań tutejszego rynku. Znowu przykład i porównanie: Paryż a Brooklyn. Ilość mieszkańców mniej więcej ta sama (2.750.000). Ogłoszono ostatnio, że biblioteki miejskie Paryża w roku 1948 wypożyczyły zaledwie 2.000.000 książek w przeciwstawieniu do brooklyńskich, które się szczycą rekordem 5.098.368 wypożyczonych książek.

Być to może, powiedzą pedanci, ale dla określenia „kulturalności” danego kraju ważnym, a kto wie czy nie decydującym momentem jest nie tyle cyfra odbiorców, co ilość producentów tego towaru, któremu na imię kultura i którego jedną z postaci jest właśnie książka. Francja w roku 1948 „wydała” 16 tysięcy nowych książek, w porównaniu z Ameryką o rynku tyle większym, która notuje jedynie 9.900 tytułów.

Trzeba jednak pamiętać, bronią się Amerykanie, że z książkami w Europie jest tak jak z prasą: byle cztery zadrukowane strony nazywają się już gazetą. U nas w Stanach gazeta zaczyna się od 30 stron, książka natomiast jest rzeczywiście książką a nie broszurą — mało jest w Ameryce wydań, liczących mniej niż 200 albo 250 stron, w przeciwieństwie do Europy gdzie np. znani pisarze wzbogacają często swoje pozycje bibliograficzne drukiem kilkunastu zaledwie stronnic, luksusowo wydanych być może, ale nie reprezentujących w tutejszym pojęciu książki. Porównywać trzeba by więc nie ilość tytułów, a liczbę stron. Nie mówiąc o nakładach...

Nie mówiąc także o zawartości książek — odpowiadam sobie — bo przecież tu dopiero mieści się prawdziwy sens takiego porównania, no i wyścigu, o laur pierwszeństwa we wpływie, w przewodnictwie, w twórczym zmaganiu się z zagadnieniami naszego czasu, dziś i na przyszłość. Ale ten temat wykracza już poza ramy orientacyjnego szkicu na praktyczny użytek naszych kandydatów do amerykańskich sukcesów.

Wspomnijmy więc jeszcze tylko nacisk na czytelnika i zdobywanie go sobie w Ameryce przez kilkanaście klubów książkowych w rodzaju Book-of-the-Month-Club, instytucji założonej w r. 1926 jako pierwsze tego rodzaju przedsięwzięcie na świe-

cie i wzór dla wszystkich innych. O ogromie jego wpływu i zasięgu świadczy fakt, że sam jeden na przestrzeni 25 lat swojego istnienia wpompował prywatnym nabywcom sto milionów książek, wybranych jako wyborowe.

Trzeba więc sobie w związku z Ameryką uświadomić to przede wszystkim, co kiedyś tłumaczył mi Teodor Dreiser, mówiąc, że obszar tego kraju i jego pojemność sama w sobie jest olbrzymim potencjałem, mnożącym każdą szansę sukcesu i jego rezultaty w stopniu nigdzie poza tym nie spotykanym na świecie. Dreiser używał tego argumentu, aby określić przy jego pomocy odpowiedzialność jednostki, która tym warunkom i temu potencjałowi tła względnie gruntu zawdzięcza ewentualne osiągnięcie szczytów wyższych, praktycznie czyli finansowo rzecz biorąc, niż wszędzie indziej — dlatego też według zdania Dreisera zaciąga ona wobec tego kraju i społeczeństwa dług większy, niż wszędzie indziej.

Ja użyję tego argumentu, aby podkreślić, że warto zrobić wysiłek, ponieść trudy i ryzyko wybijania się właśnie tutaj, gdzie rezonans może być tak potężny, powodzenie tak szerokie i zarobki tak wielkie, pod warunkiem oczywiście, aby wiedzieć czym tu grać, a czym straszyć, jak mawiają brydżyści, nie posiadający w ręku karty specjalnie mocnej.

POLSKIE POZYCJE.

Na tym tle dopiero wypadnie nam badać jakie książki autorów polskich ukazały się tutaj na przestrzeni ostatnich lat i które z nich zdobyły sobie powodzenie. Czołowe miejsce zajmuje bezsprzecznie Zofia Kossak, zawdzięczając je właśnie wyborowi Blessed are the meek (Bez oręża) przez Book-of-the-Club, co automatycznie podnosi cyfrę nakładu do kilkuset tysięcy egzemplarzy i stawia książkę w rzędzie best-sellerów. Jednak trzy następne jej powieści, „Krzyżowcy” (Angels in the dust), „Król Trędowaty” (The Leper King) i „Suknia Dejaniry” (The meek shall inherit) już ani w przybliżeniu nie osiągnęły powodzenia pierwszej, a co za tym idzie i jej nakładów.

Jeżeli idzie o polską literaturę „czystą”, to byłoby już właściwie wszystko. Żaden inny pisarz nie zdobył ostatnio w Ameryce miejsca i nie osiągnął sukcesu. Trzeba by się cofnąć daleko w czasie przed drugą wojną i wymienić Goetla „Z dnia na dzień” (wybór klubu „Literary Guild”), a zwłaszcza Ossendowskiego, który cieszył się w Ameryce znacznym pokupem. Nie mówiąc już o rekordowym i nigdy nieprześcignionym Sienkiewicz. Inne chwilowe sukcesy, albo po prostu wydania polskich autorów, np. dwie książki Ryszarda Bolesławskiego, dalej „Popioły”, albo nawet „Soból i Panna” i wreszcie „Chłopi” dawno są już przykryte kurzem zapomnienia.

Ale istnieje także literatura o podłożu pamiętnikarsko-politycznym; błysnęło tu w związku z wojną kilka polskich nazwisk. Dwie zwłaszcza książki cieszyły się jeszcze nie dawno znaczną

popczytnością, jedna: Jana Karskiego (The Story of the Secret State — także będąca wyborem Book-of-the-Month-Club), druga (Defeat in Victory) byłego ambasadora w Waszyngtonie Jana Ciechanowskiego. Obie ukazały się we właściwym czasie, i obie zawierały sporo rewelacyjnego i nikomu nie znanego materiału. Już jednak wydana później książka Mikołajczyka przyćmiona została w znacznej mierze opisującym podobne czasy i wydarzenia pamiętnikiem b. ambasadora w Warszawie Bliss Lane'a, nie uzyskała też (z wyjątkiem poprzedzających ją artykułów w prasie Hearst'a) ani w przybliżeniu takiego rozgłosu, jak książka Lane'a. Kiedy zapytałem jednego z sprzedawców książek, czym tłumaczy większe powodzenie książki Lane'a o Polsce, spojrzał na mnie jak na człowieka, który widocznie nie rozumie tutejszego kraju: „Bo przedstawia punkt widzenia amerykański”, powiedział. A potem dodał „No i dlatego także, że była pierwsza”.

Ważną dla powodzenia książki okoliczność stanowi fakt wydania jej przez wielkie i mocno wprowadzone na rynku firmy wydawnicze, posiadające wielkie budżety reklamowe i zorganizowany na przestrzeni całych Stanów własny aparat dystrybucji. Istnieją wprawdzie firmy osobno zajmujące się rozprowadzaniem książek między księgarniami, ale to już nie to samo co posiadanie własnej w tym celu organizacji. Bo trzeba to przypomnieć, co stwierdza zastępujący przez krótki czas recenzenta „N. Y. Herald-Tribune”, John Hersey: „bywa przecież, że trzydzieści siedem książek ukazuje się w Stanach jednego dnia. W czasie jednego miesiąca wydawcy rzucili na biurko recenzenta 281 nowych tomów! Łatwo zrozumiemy jak wielką rolę gra w tych warunkach ciężar gatunkowy wydawcy i jego wpływ, mogący ogłoszeniami zaważyć na wyborze tej lub innej książki na omówienie. Każde poważne pismo daje dziennie jedną, rzadziej kilka recenzji o ukazujących się nowościach. Te stosunkowo nieliczne wybrane dzieła zostawiają wszystkim innym najwyżej kilka wierszy w omówieniu, często jednak nie dopuszczają nawet takiego wyróżnienia. Jak na ilość wychodzących pism miejsca na omawianie produkcji książkowej jest w Stanach stosunkowo bardzo niewiele. Tygodniowe dodatki poświęcone książce, których dostarcza czytelnikom „New York Times” i „New York Herald Tribune” są właściwie jedynym dla nich drogowskazem. Pism literackich w stylu „Nouvelles Littéraires” itd. nie ma tu wcale, chyba żeby przytoczyć „Saturday Review of Literature” jako wyjątek potwierdzający regułę. Drobnych, kapliczkowych, często awangardowych wydawnictw, subsydiowanych przez jakichś maniaków, albo mecenasów, albo nawet snobistycznych grafomanów nie liczę oczywiście. W kraju masowej produkcji wyroby ręczne mają z natury rzeczy zasięg nikły i nie dający żadnej szansy wydostania się ze swojego podwórka.

Mimo jednak zupełnego skomercjalizowania byznesu wydawniczego (jedynym chyba wyjątkiem jest wydawnictwo „New

Directions", awangardowe i nie liczące się często z koniunkturą rynku, oraz opierające się na donacjach niektórych wydawnictwa uniwersyteckie), to jedno trzeba oddać krytykom literackim w Stanach, że nie są przekupni i sąd swój wypowiadają, nie ulegając żadnym innym względom oprócz własnego rozumienia tego co dobre, a co złe. Tylko, że wpływ krytyki literackiej na poczytność nie jest bynajmniej tak wielki, jak to sobie oni sami nieraz próbują wmawiać. Wróć znowu do Dreisera i powtórzę w odniesieniu do krytyki to, co mi wyznał na temat literatury, że w Ameryce nie posiada ona żadnego znaczenia i żadnej wagi.

JAK PISAĆ?

Po tym orientacyjnym wprowadzeniu w tło, przechodzimy do praktycznych wskazówek. Co pisać, jak pisać, dokąd pisać, aby się mimo wszystko dostać na tutejszy rynek.

Zacznijmy od sprawy: **jak pisać?** Rzecz dotyczy w tym samym stopniu artykułów, co książek, czyli elementów, którymi najłatwiej „wejść”. Wprawdzie, jak to stwierdza jeden z sumiennych nauczycieli tej sztuki „pisania dobrze nie można nikogo nauczyć, można jedynie nauczyć się pisać dobrze”, a niemniej przeto warto wyliczyć postawowe warunki, bez których o dostaniu się tutaj ani marzyć. Pisać więc przede wszystkim „interesująco”. Pisać tak — podpowiada jeden z amerykańskich speców, — jakby do rękopisu zaglądał stale wymagający czytelnik, kapryśny i lekko znudzony i gotów natychmiast przerwać czytanie, kiedy tylko napiszesz pierwsze nudne zdanie, kiedy tylko rytm, trzymający jego uwagę w napięciu i ożywiający jego ciekawość przerwie się... Oscar Hammerstein, autor tekstów komedii muzycznych, powiedział kiedyś, że istnieje zawsze niewyczerpana ilość ludzi, którzy skłonni są powstrzymać się od przychodzenia na nudne sztuki. To samo dotyczy powieści czy artykułu.

Dalej: unikać moralizatorstwa, filozofowania, refleksji autora na tzw. wysokim poziomie, zbytecznych dygresji, wszelkich ogólników, wzamian prowadzić akcję żywo, przeplatać ją gesto dialogiem. Trzeba stale pamiętać o tym, że autor musi **uwodzić czytelnika**. Inna recepta na osiągnięcie tego rezultatu, trafna szczególnie, jeżeli idzie o czytelnika amerykańskiego brzmi: wstrząsająco, a nie serdecznie. To taka różnica, jak między Tadeuszem i Zygmuntem Nowakowskimi. Bezpośredniość i prostota stylu ma znacznie większe szanse, niż nie wiem jak uczone i wypracowane łamańce języka, myśli albo nawet tematu. Co nie wyklucza bynajmniej konieczności utrzymywania go w dramatycznym napięciu. Zdecydowawszy się na temat i bohatera, trzeba tak, jak w studio filmowym ciągle mieć go w zasięgu obiektywu, nie pozwolić mu wymknąć się spod oka ani zgubić w dekoracji, bo go zgubi także czytelnik. Tymi dniami otrzymałem list od znajomego, który proponuje artykuł

na aktualny temat i pyta jak go napisać: „krótko i sensacyjnie”, czy dłużej i z „pogłębieniem”. Odpisałem, znając tutejszy rynek, że oczywiście „krótko i sensacyjnie”, a jeśli można w ramach tych warunków zmieścić też „pogłębienie”, to to już będzie optimum. Pisarz, któremu daje się taki przepis przypomina aptekarza, który według gotowej recepty przygotowuje i odmierza lekarstwo. Albo nawet ucznia szkoły średniej, piszącego wypracowanie na zadany temat. Nie robię tych porównań ironicznie. Taki jest rynek tutejszy, podlegający w znaczniejszej niż gdzie indziej mierze prawu planowania i ustalonym prawidłom — trzeba się starać o dostosowanie do jego potrzeb, bo wszystko co się z nimi nie zgadza, jest odrzucane. Zasada ta obowiązuje także, jeśli idzie o wymiar artykułu, czy książki. Powieść zaczyna się od jakich 60.000 słów i nie powinna przekraczać 120.000. Wyjątki są oczywiście zawsze dopuszczalne, ale w kraju stadartu wyjątek jest luksusem, na który mogą sobie pozwolić tylko bardzo mocni, bardzo wprowadzeni, albo bardzo bogaci i których stać na ryzyko. Prezentacja rękopisu jest także ważna. Bezbłędny maszynopis z marginesem i podwójnym odstępem, około 250 słów na stronę, jest swego rodzaju typem.

Wśród współczesnych publicystów emigracyjnych są pisarze, których styl i sposób pisania predestynuje właściwie do możliwości na gruncie amerykańskim, chociaż na pewno nie zrobili w tym kierunku potrzebnych starań, a nawet prób. Wymienię przykładowo Wacława Zbyszewskiego, Hostowca, Bobkowskiego, Florczaka, Tadeusza Nowakowskiego. Są i inni. Żaden, o ile mi wiadomo, po angielsku nie pisze. Hemar pisze i to doskonale, ale też go nie widać. Koszt produkcji towaru pisarskiego Polaka, który próbuje wejścia na rynek amerykański jest oczywiście wysoki. Dobrych tłumaczy prawie nie ma. Tłumaczenie nie zawsze wystarcza, trzeba czasem stosować dodatkowo metodę re-writing'u. Język polski, tak jak używa go większość Polaków, to strzelanie śrutem, angielski — kulą. Jeżeli jednak surowiec jest dobry, załatwią tę sprawę wydawca amerykański, rzadko kiedy uznający przysłany mu manuskrypt za „gotowy do druku”. Nie ma mowy, aby autor upierał się przy zasadzie drukowania go „bez zmian”. Ostateczny kształt książki lub artykułu jest najczęściej wynikiem solidnej pracy przykrawań, przeróbek, skrótów i innych zmian, dokonanych tutaj przez wydawcę, względnie redaktora. Pasja poprawek i owego przystosowania przypomina na naszym gruncie robotę Grydzewskiego, który rządził się w manuskryptach swoich autorów jak na własnym podwórku, ale każdemu potem w korekcie przesyła ostateczny wynik. Ponieważ jest dobrym redaktorem, więc jego redukcje nie wychodzą najczęściej na złe autorowi. Otóż redakcje amerykańskie obsadzone są samymi takimi Grydzkami. W kraju, gdzie rzeczą normalną jest ghost-writing, czyli pisanie książki przez podstawionego autora, którego robotę podpisuje (za zapłatą), kto inny, nie istnieje stosunek do manuskryptu jako do rzeczy nietykalnej. Traktowany jest rzeczywi-

ście jako surowiec, któremu dopiero specjaliści nadają odpowiedni kształt, kolor, ba, bywa że nawet styl i pointę.

W tych warunkach autor spoza sztabu redakcyjnego nie jest ważny. Musi wykazać się bardzo niezwykłym tematem, albo bardzo szczególnym ujęciem, aby przejść surowy egzamin, jakiemu poddany jest w redakcjach nadesłany przez niego rękopis. Decyzja jest najczęściej zbiorowa, jak w ogóle często w Ameryce — każdy ze sztabu redakcji opatruje rękopis uwagami, każdy praktykuje na nim swój zmysł krytyczny, szukając dziury w całym — trzeba, żeby doprawdy odpowiadał specyficznym wymaganiom pisma, aby się temu ogniovi ostać. Nagroda jednak za przejście tego egzaminu wyraża się w postaci czeku, który w kilku największych pismach sięga sumy 1000 dol., a nawet ją przekracza. Powiadają, że za trzy przyjęte artykuły do takiego „Saturday Evening Post”, albo „Readers Digest”, (który nieraz kupuje artykuł, umieszcza go w innym piśmie i potem przedrukowuje w skrócie na swoich łamach), można w Ameryce żyć nieźle cały rok. Za jeden tylko — można rok żyć w Europie.

Dla przykładu podaję wyciąg z przyjacielskiej instrukcji, jaką przysłał mi jeden z dziennikarzy, niby wskazówkę jak pisać na temat Polski tak, aby mieć szanse znalezienia się tutaj w druku: „Sprowadzać zagadnienie do poszczególnych przykładów, faktów, tego jak jeden ściśle określony człowiek czuje sytuację, co myśli, czego chce, jak żyje”.

„Strzec się eufemizmów. Nazywać rzeczy po imieniu. Nie obawiać się obrażenia Ameryki przez powiedzenie co o niej mówią, albo myślą w Polsce. Chcemy to wiedzieć, ale przede wszystkim chcemy wiedzieć **dłaczego**. To jest potężne i kluczowe słowo, kiedy pisze się o stosunkach jednego kraju do drugiego. Jeżeli nas nie lubią — dlaczego? Jeżeli mają do nas pretensję — dlaczego? Czy istnieje słuszna podstawa tych uczuć, tych rozczerowań, tych pretensji?

„Europejskie dziennikarstwo praktykuje, ogólnie mówiąc, swego rodzaju kontynentalną kurtuazję (i myślę, że polskie także), która w Ameryce **nie popłaca**. Ameryka chce silnego, uderzającego, rzeczowego pisania z wysunięciem najważniejszych dramatycznych elementów na pierwsze miejsce. Trzeba słowo ściągnąć na ziemię, nie, jak to czyni np. prasa brytyjska, która w opisie katastrofy kopalnianej fakt, że zginęło przy tym dwudziestu ludzi, chowa gdzieś na końcu kolumny, u dołu strony...”

Co pisać? Jeden z doświadczonych sprzedawców książek powiedział kiedyś, że dwa tematy mają w Ameryce zawsze powodzenie: religia i sex. Ale każda oryginalna książka, pisana z nerwem, z zacięciem, żywa i barwna, ma teoretycznie takie same szanse. Romans historyczny na przykład, byle na podłożu amerykańskim, jest tutaj niemal murowanym sukcesem, pod warunkiem, że się do jego zrobienia biorą takie pióra, jak Kenneth Roberts, albo wspomniana już Margaret

Mitchell. Zbyt odległa egzotyka jest niebezpieczna. „Vies romancées”, przygody, byle z siłą perswazji, która im daje smak autentyczności, zawsze są „mile widziane”. Czas wspomnień wojennych, obozowych itp. przeżył się już bez reszty. Przeszłość wojenna, jako temat książki może jeszcze interesować wydawcę, pod warunkiem, że opowiada ją ktoś, kto na wysokim poziomie brał udział w historii tego okresu. I tu także decydującą rzeczą będzie możliwie bliskie podejście pod punkt widzenia amerykański. W tych ramach jest miejsce na każde nowe oświetlenie zagadnienia Rosji. Jest ona i będzie przez czas długi jeszcze tematem o aktualności nie wyczerpanej. Ta sytuacja sprawia jednak, że istnieje już na rynku wydawniczym coś w rodzaju inflacji książek o Rosji. Coraz więc trudniej znaleźć ujęcie, które by wymagającym Amerykanom pozwoliło na znalezienie czegoś nowego w tym temacie, eksploatowanym na wszystkie strony. Dla ilustracji podaję program wydawniczy najbliższych kilku miesięcy: McMillan dopiero co wypuścił książkę pt. „My life in the Soviet Army”. Autor Fred Virski (!), oficer armii Andersa. Zapowiada się: pamiętniki dwóch lotników sowieckich, którzy uciekli pod wpływem słuchania „Voice of America”: nazwiska ich: Anatol Barzow i Piotr Pirogow. Lippincott wydaje pamiętnik Oksany Kasenkiny. Harper — dzieje trzynastu obywateli sowieckich, którzy uciekli. Płk. Robert G. Emmens ogłasza w prasie Hearsta dzieje przygody swojej i czterech kolegów-lotników, którzy po raidzie na Tokio w 1942 roku lądowali przymusowo na Syberii i spędzili w rezultacie 14 miesięcy w Rosji jako „goście Kremła”. Widzimy więc, że podaż materiału dotyczącego Rosji, jest ciągle żywa i bodaj czy nie zaczyna przekraczać popytu. W nieustannym wyścigu o miejsce w tej konkurencji Polacy nie potrafili zająć dotąd pozycji, jaką sobie chwylami przypisują: mianowicie ekspertów od zagadnienia Rosji.

Jedyny poważny przyczynek stanowi skrót historii „Od Białego do Czerwonego Caratu” Kucharzewskiego, który wydany został niestety jakby na marginesie wydawniczego rynku Ameryki i przeszedł niezauważony, zarówno w prasie jak wśród czytelników.

Jest to przykład, że nawet najwartościowsza książka niewłaściwie podana nie ma szans na to, by ją zauważono.

W tym miejscu pora zauważyć znaczną ilość tłumaczeń z literatury francuskiej, która znajduje w Ameryce wielką liczbę odbiorców. Trzy tomy „Journalu” Gide'a, prawie cały Sartre, Camus, ostatnio pod wpływem powodzenia „La Folle de Chaillet” na Broadway'u, także Giraudoux, i wielu innych świadczą, że Francja z krajów obcojęzycznych jest ciągle na pierwszym miejscu wśród tłumaczeń i że to, co dzieje się w Paryżu, tu w Ameryce ma nadal wzięcie, że zwraca uwagę, że bardzo dolarowo owocuje...

To samo, jeżeli idzie o filmy i o malarstwo francuskie. W związku z filmami — i nadal mając na uwadze interes ewen-

tualnych polskich dostawców scenariuszów — ta konieczna wskazówka: droga do filmu w Ameryce prowadzi via sukces książki, albo sztuki, nie inaczej. Niemal z reguły scenariusz bywa odrzucony — co nie znaczy wcale, aby z jego pomysłów nie miano tutaj korzystać. Wytwórnicy płacą ciężkie pieniądze wynajętym przez siebie autorom, którzy nie są bynajmniej zainteresowani w ułatwianiu outsiderom dostępu do tej dojrzałej krowy. Istnieje poza tym w przypadku rękopisu nadesłanego do wytwórni, trudność zapewnienia sobie ochrony praw do niego, tak, jak je zapewnia wydana książka. Innymi słowy autorzy, którzy mają pomysły filmowe powinni zostawić pisanie scenariusza innym, wziąć się natomiast do zrobienia z tego pomysłu książki, względnie sztuki i tę najpierw wydać lub wystawić. Oszczędzi ten system każdemu z nich niejednego zawodu, bo przejście przez dziurkę od klucza wydawniczego jest na pewno łatwiejsze, mimo wszystko, niż przedostanie się przez ucho igielne filmowej wytwórni, dziurka natomiast naprowadza wcale skutecznie na możliwość trafienia w owe ucho.

KOMU POSŁAĆ RĘKOPIS?

Autor nie mieszkający w Stanach potrzebuje koniecznie agenta. Instytucja agentów literackich rozrośnięta jest w Stanach jak nigdzie na świecie. To tylko świadczy o ich potrzebie i użyteczności. Niejeden z piszących oszczędzi sobie dużo kłopotu i pracy, jeżeli zamiast gotowego manuskryptu przyśle na ręce takiego agenta projekt jedynie tego, co chce napisać. Z trzech, albo pięciu stron skrótu można się już na ogół zorientować czy gra warta jest świeczki. Jedna strona wystarcza, jeżeli idzie o projekt artykułu. Piszący książkę dobrze zrobią, przysyłając razem z dyspozycją i skrótem (tzw. synopsis) trzy do pięciu rozdziałów, jako próbkę. Wskazówki agenta, który zna rynek i jest na ogół sam człowiekiem piszącym, mogą nakierować autora na właściwą drogę, prowadzącą w ostatecznym wyniku do uzyskania kontraktu. Mogą także wpłynąć na zarzucenie projektu jako nie mającego szansy. Oszczędność, jak widzimy, dość znaczna. Dobry temat w niewłaściwym ujęciu wymagać może gruntownego re-writingu, którym w zależności od umowy, zajmie się także agent — w takich wypadkach bywa, że po opłaceniu kosztów przez autora, dzielą się potem agent i autor po połowie tą gotówką, jaką sprzedaż książki przyniesie. Możliwości sprzedaży są liczne, bo nie tylko obejmują wydanie książkowe, ale w przypadku książki o sensacyjnym politycznym temacie np. istnieje szansa przepuszczenie części jej przez prasę — tzw. serializacji, przynoszącej nieraz dochód, przekraczający sumy uzyskane za książkę. Nie mówiąc o adaptacjach na film itp. Wszystko to jest już w ręku agenta, którego zakrzętnięcie się i znajomość terenu może wydatnie podnieść dochody autora. Rynek jest oporny i ostrożny — tzw. book business w obecnej chwili przechodzi kryzys, tak że bar-

dziej, niż kiedykolwiek przebiera w nawałach materiału i propozycji, oblegających tę twierdzę z nieustającym uporem. To też zrobienie w niej wylomu jest osiągnięciem niebanalnym. Ale taranem, który w nią bije jest przede wszystkim agent, pod warunkiem, że jego autor ma się naprawdę czym popisać.

Z własnego doświadczenia przytoczę jeden tylko przykład, świadczący o trudnościach do zwalczania i konieczności niezrażenia się już nie jedną odmową, ale całą ich serią. Uzyskałem w Indiach prawa do książki, będącej kluczem do poznania i zrozumienia Gandhiego. Jest to opracowanie dokonane przez uczonego sanskrytologa, który esencję filozofii Gandhiego ujął w swego rodzaju katechizmie zasad, ilustrowanych autentycznymi wypowiedziami Mahatmy. Byłem pewien, że jest to książka, która z uwagi na dramatyczną śmierć proroka i zainteresowanie, okazywane jego osobie, znajdzie od razu wydawcę. Kiedy odrzucił ją dziesiąty z kolei i każdy z argumentami, tłumaczącymi, że jest to książka, która na rynku amerykańskim nie ma zastosowania, uległem zrozumieliemu w takich wypadkach zmęczeniu i byłem gotów dać za wygraną. Namówiono mnie jednak, żeby próbować dalej. Jedenasty wydawca przyjął książkę z entuzjazmem. Ukazuje się tego lata pt. „Gandhi-sutras”.

I to już wszystko, w nadziei, że może posłużyć jako orientacja dla niektórych polskich pisarzy, którzy mają odwagę i ochotę podbijania świata, zamiast czekania na zmiłowanie losów i historyczne poprawki złej, ciasnej i nieżyczliwej koniunktury.

Aleksander JANTA.

SUBSKRYPCJA. Londyńska „Veritas” rozpisala poprzez wydawane przez siebie „Zycie” i „Gazetę Niedzielną” subskrypcję na książkę A. Krakowieckiego pt. „Książka o Kołymie”. Subskrypcja trwa od 15 maja do 15 czerwca, a cena książki wynosi 6 sh i 6 d.

Książka ta liczyć będzie ponad 240 stron dużego formatu oraz zawierać kilkanaście reprodukcji dokumentów, planów i map. Prenumeratory otrzymają tę książkę w lipcu br.

Czytelnicy, którzy chcieliby zaprenumerować „Książkę o Kołymie” zechcą wpłacać przedpłatę postal orderem lub kreslonym czekiem w wysokości 6/6 na adres: „Veritas Foundation Press” — 12, Pread Mews, LONDON, W. 2.

Z ŻYCIA KLUBU POLSKICH ZIEM ZACHODNICH

W dniu 28 kwietnia 1949 odbyło się — pod przewodnictwem p. amb. Edwarda Raczyńskiego — Walne Zebranie Klubu Polskich Ziem Zachodnich, na którym wybrano nowy Zarząd Główny w składzie następującym:

Przewodniczący: p. Mec. Stanisław Krause.

Wiceprzewodniczący: p. Kazimierz Majewski.

Sekretarz: p. Marian Jagła.

Skarbnik: p. Marian Tomaszewski.

Członkowie: pp. Olgierd Czarliński, Maksymilian Dybowski, Maksymilian Mela, Leon Bolesław Wujek, Franciszek Zbyt-niewski.

Klub Polskich Ziem Zachodnich jest najstarszą organizacją regionalną obecnej emigracji, (zawiązał się w listopadzie 1939 r. w Paryżu) i zrzesza Pomorzan, Wielkopolan i Ślązaków. Siedzibą władz Klubu jest Londyn.

Klub P.Z.Z. w działalności swej szczególny nacisk kładzie na szerzenie zagadnień dotyczących Ziem Odzyskanych, zarówno wśród społeczeństwa polskiego na emigracji, jak i wśród obcych.

Klub wydaje „Komunikat Informacyjny” rozsyłany bezpłatnie wszystkim członkom.

Zarząd Główny apeluje do wszystkich rozproszonych po świecie ziomków o wstępowanie do Klubu Polskich Ziem Zachodnich. Składki wynoszą sh. 1/- miesięcznie (wstępne: sh. 2/). Rodacy mieszkający poza Anglią mogą regulować składki międzynarodowymi kuponami pocztowymi.

Adres Klubu jest następujący: **Polish Western Club, 74, Corn-wall Gardens, London, S. W. 7. Great Britain.**



(Prosimy wypełnić i wysłać)

Do :

„GRYF” PUBLICATIONS, LTD.

59/61, Hatton Garden, London E. C. 1.

Zamawiam niniejszym prenumeratę „KULTURY” na okres

pół roku — za cenę sh. 16.

jednego roku — za cenę £ 1. 10. 0.

(Prosimy oznaczyć krzyżykiem wybraną prenumeratę).

Proszę o wysyłanie do mnie pisma, poczynając od wydania za miesiąc

O każdorazowej zmianie swego adresu będę Panów zawczasu powiadamiał, dołączając 1 sh. na koszty sporządzenia nowej matrycy adresowej.

Imię, nazwisko, dokładny adres:
(drukowanymi literami)

(Prosimy wypełnić i wysłać)

Do :

LIBRAIRIE „LIBELLA”

12, rue St-Louis en l'Île, Paris IV^e.

Zamawiam niniejszym prenumeratę „KULTURY” na okres

pół roku — za cenę 650 frs. plus 120 frs. na porto.

jednego roku — za cenę 1200 frs. plus 240 frs. na porto.

(Prosimy oznaczyć krzyżykiem wybraną prenumeratę).

Proszę o wysyłanie do mnie pisma, poczynając od wydania za miesiąc

Imię, nazwisko, dokładny adres:
(drukowanymi literami)

„POD PRĄD”

(wychodzi 3 razy w miesiącu)

Pismo polskiej myśli niepodległej w Szwajcarii

ADRES REDAKCJI I ADMINISTRACJI:

FRIBOURG 1, case 155, SUISSE.

DO NABYCIA:

FRANCJA: «Libella», 12, rue St-Louis en l'Île, Paris IV^e
(cena 25 fr.).

NIEMCY: Administracja «Universum», Waldhornstr. 25,
München-Allach. (mies. 2 DM., kwart. 6 DM).

W. BRYTANIA: Pokrzywy Londyńskie, 49, Mill Hill
Grove, London W.3. (cena 6 d.).

BELGIA: Księgarnia Polska, 42, rue Defacqz, Bruxelles,
(cena 7 fr.).

WŁOCHY: Jan Grochowski, via della Croce 81, Roma.
(cena 60 lirów).

PRZEDSTAWICIELEM KULTURY

I INSTYTUTU LITERACKIEGO

NA W. BRYTANIĘ JEST

„GRYF” Publications Ltd.

59/61, Hatton Garden, LONDON, E.C. 1

Tel.: CHAncery 5094

We wszelkich sprawach związanych z prenumeratą
„Kultury”, zamówieniami książek itp., prosimy zwracać
się do wymienionej firmy

KULTURA

pod redakcją Jerzego Giedroycia

Adres Redakcji: 1, Avenue Corneille, Maisons-Laffitte (Seine-et-Oise).

Telefon: Maisons Laffitte (S.-et-O.) 19-04

PRZEDSTAWICIELSTWA	Egzempl. pojed.	Prenumerata	
		½ roczna	Roczna
FRANCJA: «Libella», 12, rue St-Louis en l'Île, Paris IV ^e	120 fr.	650 fr.	1200 fr.
W. BRYTANIA: «GRYF» Publications Ltd., 59/61 Hatton Garden, London E.C. 1.	3 sh.	16 sh.	30 sh.
WŁOCHY: Jan Grochowski, 81, via della Croce, Roma.	200 lir	1200 lir	2000 lir
SZWECJA: Red. Norbert Zaba, Kallskärgatan 3, Stockholm	2,50 kr.	12 kor.	22 kor.
NIEMCY: Wydawn. «Kronika», (16) Eppstein (Taunus), Hotel Bienberg, U. S. Zone ...	2,50 DM	15 DM.	25 DM.
SZWAJCARIA: Redakcja «Pod Prąd», Fri- bourg 1, case 155.	1,80 sfr.	10 sfr.	18 sfr.
ARGENTYNA: Jan Miecznikowski, «Składnica Książki Polskiej», Av. Leandro N. Alem 641, Buenos Aires	2,50 pes.	15 peso	25 peso
KANADA: Books and Newspapers Agency, H. R. Radomski, 400, Palmerstone Blvd., Toronto/Ont., tel. ME 0509	75 cent.	4 dol.	6 dol.
U.S.A.: Zamówienia i wpłaty kierować: «Har- vard Trust Company», Harvard Square, Cambridge, Mass., na konto M. K. Dzie- wanowski	75 cent.	4 dol.	6 dol.
BELGIA: Imprimerie «La Colonne» S.P.R.L., 22, rue de la Braie, Bruxelles (Bourse) ..	20 bfr.	100 bfr.	180 bfr.

Koszta przesyłki pojed. nru: 20 fr. fr., przy prenumeracie rocznej — 240
fr. fr.; przy półrocznej — 120 fr. fr.

Cena ogłoszeń: cała strona 6.000 fr. fr.; ½ strony 4.000 fr. fr.

Redaktor przyjmuje po uprzednim porozumieniu się
listownym lub telefonicznym

Redakcja KULTURY rękopisy nadesłane a nie zamówione zwraca
jedynie przy załączeniu znaczków pocztowych na portu

KULTURA omawia w pierwszym rzędzie książki i czasopisma
nadsyłane do redakcji w 2-ch egzemplarzach

WYDAWNICTWA
INSTYTUTU LITERACKIEGO

ADAM MICKIEWICZ

KSIĘGI NARODU I PIELGRZYMSTWA

HENRYK SIENKIEWICZ

LEGIONY

STANISŁAW SZPOTAŃSKI

PROMETEUSZE

JULIUSZ KADEN-BANDROWSKI

MIASTO MOJEJ MATKI

LEON BLUM

NA MIARĘ CZŁOWIEKA

PAWEŁ HOSTOWIEC

DZIENNIK PODRÓŻY DO AUSTRII I NIEMIEC

STANISŁAWA KUSZELEWSKA

KOBIETY

JÓZEF CHAŁASIŃSKI I JAN ULATOWSKI

PRZESZŁOŚĆ I PRZYSZŁOŚĆ INTELIGENCJI POLSKIEJ

SERGIUSZ PIASECKI

**JABŁUSZKO
NIKT NIE DA NAM ZBAWIENIA
SPOJRZĘ JA W OKNO...**

TADEUSZ FELSZTYN

ENERGIA ATOMOWA

WACŁAW SIEROSZEWSKI

BENIOWSKI

ARTHUR KOESTLER

KRUCJATA BEZ KRZYŻA

ANTOLOGIA NOWELI WOJENNEJ (1939-45)

W OCZACH PISARZY

BOLESŁAW MICIŃSKI

PORTRET KANTA I TRZY ESSAYE O WOJNIE

JAN BIELATOWICZ

**BRYGADA KARPACKA ..
PASSEGGIATA**

STANISŁAW GRYZIEWICZ

ŚRODKI POLITYKI GOSPODARCZEJ

WERONIKA HORT

TUŁACZE DZIECI

JÓZEF CZAPSKI

NA NIELUDZKIEJ ZIEMI

20